

Kod dostępu  
do **Wyborcza.pl**  
na weekend

WOLNA  
SOBOTA



Rozmawiamy: • o nadziei  
w miłości i truskawkach  
• o pokoju w Gazie • o błędach  
Stephena Hawkinga  
• o myślących muchach  
i ośmiornicach



WYSOKIE OBCASY  
**Joanna Kulig**  
Zakochujemy się  
w osobach,  
nie w płci



GAZETA  
**wyborcza**  
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

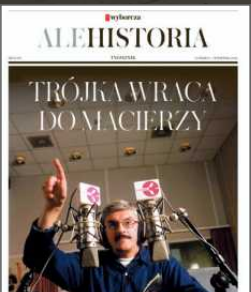
Rodzina  
Jakubików  
Święta bez jakiegś  
afery są stracone

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA  
nr indeksu 348198



**Trójka**  
Czy da się wejść  
drugi raz do tej  
samej rzeki



**Ojciec chirurgii  
plastycznej**  
Blaszany nos  
dla żołnierza

**Odchudzanie**  
Wielki brzuch  
Tomasza  
z Akwinu

**Każdy sobie  
z nim poradzi**  
Sernik  
po baskijsku ▶ 8

Agnieszka  
Kublik



## Tragedia krzywej grzywki

Wisława Szymborska opowiadała, że ktoś kiedyś powiedział, że ludzie głupieją hurtowo i mądrzeją detalicznie. – Dlatego kochamy i popieramy przypadki detaliczne – dorzuciła do tego ktosia poetka. I dlatego – dorzucam ja – nienawidzę hurtowego zidiocenia. Właśnie obserwowaliśmy to zjawisko zalewu bredniami na Wyspach Brytyjskich. Tamtejsze brukowce, jak zwykle, nie cofnęły się przed niczym, opisując sytuację księżnej Kate. Sieć i bulwarówki były pełne spekulacji. Głupich. Idiotycznych. Żenujących. Absurdalnych. A zaczęło się tak. W połowie stycznia poddani dowiedzieli się, że Kate jest w szpitalu, że przeszła operację. 29 stycznia podano, że księżna wyszła ze szpitala. 5 lutego okazało się, że król Karol III ma nowotwór. O Kate nie było nowych wieści, więc w mediach zaczęły pączkować teorie spiskowe. A gdy jej nieobecność się przedłużała, teorie stawały się coraz dziksze.

**Kilka naiwnych życzeń na Wielkanoc w imieniu księżnej Kate**

Że Kate jest w ciąży i źle ją znosi.  
Że księżę William ma romans z Rose Hanbury, dawną kochanką.  
Że mają nieślubne dziecko.  
Że księżna ma sobowtóra.  
Że Kate ma złe obciętą grzywkę i czeka, aż jej odrośnie.  
Ta ostatnia teoria byłaby tyl-

ko żenująca, gdyby nie to, że koncerty kosmetyczne naprawdę reklamują zwyczajny tusz do rzęs czy farbę do włosów sloganem, że dzięki nim kobieta może poczuć się silna, wolna i może robić, co chce. Takie reklamy to dla nas od lat oczywistość, element tła – ale przyczyniają się do obrazu świata, w którym fatalnie ucięta grzywka może zrujnować osobowość.

Jednocześnie ilość informacji tworzonych co dwa dni jest w przybliżeniu taka, jak ilości informacji, która została wytworzona między początkiem ludzkiej cywilizacji a 2003 rokiem. A my, chcąc nie chcąc, je przyswajamy. Już samo to obciąża mózg i mechanizmy poznawcze ponad miarę, do jakiej przystosowała nas ewolucja. A tu jeszcze trzeba by znaleźć siłę na krytyczną selekcję... Nie, skrolnę się dalej, po kolejną dawkę narkotyku.

I tak głupiejemy hurtowo. No i 22 marca księżna wszystko zepsuła. Wyjawiła: ma raka, przechodzi chemioterapię zapobiegawczą.

Nie liczę, że światu zrobi się głupio, zmityguje i zmadrzeje, nie jestem taka niemądra. Ale może chociaż nie będzie coraz bardziej idiocić? A jeśli nie świat, to przynajmniej jednostki. Ty, ja, ktoś. Zawsze coś.

Świat internetu to naturalne środowisko ogłupiania i głupienia. Że bulwarówki, mimo że pochodzą ze starej, analogowej rzeczywistości, muszą w tym brać udział, też rozumiem – kliki to dawne nakłady, a nakłady to kasa. Ale naiwnie, pięknoduchowsko (czyżby tak działała bliskość Wielkiejnocy?) pytam: okej, nie ma co doszukiwać się w tym rozumu, bo wiele rozumów z premedytacją takie mechanizmy nakręca – ale gdzie, chociaż, resztki ludzkich odruchów? Minimum empatii?

Już nie zmartwychwstaną? ●

## Wielkanoc bez mamy Teksas



FOT. EUTERS/ADREES LATIF

Wtorek, granica z Meksykiem na Rio Grande. 22-letnia Eliana błaga żołnierza Gwardii Narodowej, żeby wpuścił ją do Ameryki. Ariana, jej 6-letnia córeczka, już tam jest – przenieśli ją inni, którym udało się przedostać przez dziurę w drucie kolczastym. Obie dotarły tu z Wenezueli. Podobnie jak kilkaset tysięcy rodaków każdego roku, przynagła je bieda. Z nękanego brakiem prądu, żywności, paliwa i pracy kraju uciekło już 7 mln obywateli. ●

## Kod dostępu do Wyborcza.pl



## Ronde van Vlaanderen Kolarska droga krzyżowa

Nie oglądacie kolarstwa, bo 200 kilometrów jadą, jadą i nic się nie dzieje, dopiero przed metą albo na podjeździe (ale też przez chwilę, gdy ktoś ucieka, bo potem znowu jadą, jadą, tylko że pod górkę) zaczyna się widowisko? No to obejrzyjcie ten wyścig, a przeżyjecie nawrócenie. „Dookoła Flandrii” – to brzmi jak jedna z wielu lokalnych – i przez to egzotycznych – belgijsko-holenderskich imprez napędzanych lokalnym patriotyzmem i piwem. Ale to wyścig ważniejszy niż te, które potrafi wymienić nawet laik, jak Paryż-Roubaix. Przez sto lat u zawodników dorobił się miana czyścica lub drogi krzyżowej. Kilometrowy podjazd o kilkunastoprocentowym nachyleniu nie brzmi nie tak strasznie – ale powtórzone kilkanaście razy, takie ścianki wysysają siły bardziej, niż jedna porządna wspinaczka na wielką alpejską górę. A do tego wąziutkie drogi, liczne ciasne, śliskie zakręty, kilometry pamiętającego fin de siècle bruku (też na podjazdach



FOT. PAIP/PAIPORAMIC/JAN DE MEULEN

– poślizgniesz się w deszczu i już nie ruszysz), i tak przez 270 kilometrów. Ronde van Vlaanderen to korzenie, romantyzm i dusza kolarstwa. We Flandrii znika na chwilę przekleństwo ostatnich lat, czyli specjalizacja – najsłynniejsi górale, sprinterzy, czasowcy, którzy potrafią nie dokończyć samego Tour de France (wygrałem pasujący mi etap czy dwa, cel osiągnięty, po co się dalej honorowo męczyć) – tu jadą „w trupa”. Jak sto i pięćdziesiąt lat temu, i jak my kiedyś na podwórkach, i jak dziś dzieciaki na ścieżkach rowerowych i w parkach – po prostu ścigają się na rowerach, kto pierwszy, ten lepszy. ● **mm**  
• Niedziela wielkanocna, start o 10, transmisja w Eurosporcie od 9.45

## Andrzej rysuje



## Cytat dnia

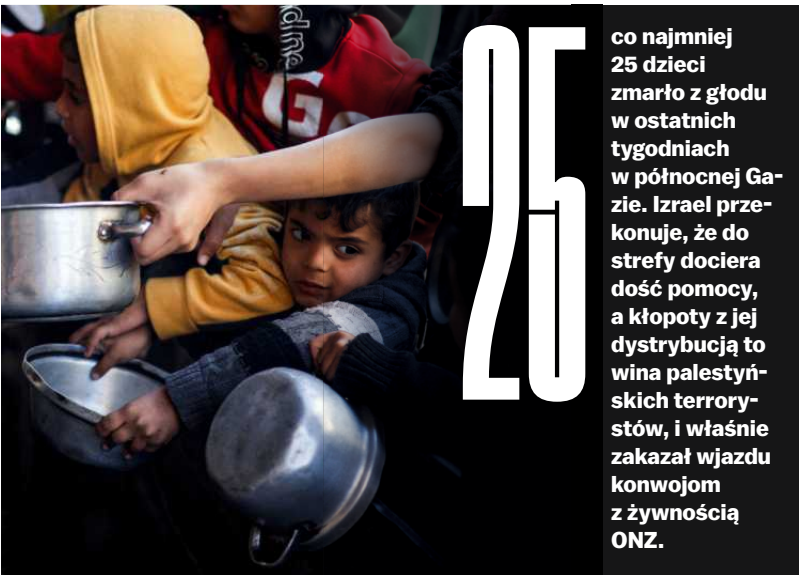
Jeśli szkoły miałyby się zamykać z szacunku dla każdej tradycji, musiałyby to robić sto razy w ciągu roku



ATTILIO FONTANA  
prezydent Lombardii z prawicowej Ligi, o dniu wolnym na zakończenie ramadanu w szkole w Pioltello

FOT. PAIP/PIER NATEOBAZZI

## Zagłodzić terrorystów



FOT. REUTERS/MOHAMED SALEM

NBP, Fundusz Sprawiedliwości – rozliczenia przyspieszają

# Glapiński niechcący pomoże

W wielu ważnych sprawach, włącznie z doprecyzowaniem przepisów dotyczących nadzwyczajnych wydarzeń, jak pandemia czy globalny kryzys finansowy

Wielowieyska



Po sporach wokół składki zdrowotnej czy aborcji Koalicja 15 Października za-prezentowała jedność. Chodzi o dwie sprawy: o wniosek o Trybunał Stanu dla prezesa NBP Adama Glapińskiego i o przeszukania w domach byłego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry i jego współpracowników z Suwerennej Polski. Te wydarzenia spajają rządzących, mają więc duże znaczenie w kampanii wyborczej. Bo wyborcy lubią jedność, nie lubią kłótni w rządzie, który popierają. Na konferencji prasowej dotyczącej Glapińskiego byli przedstawiciele wszystkich klubów parlamentarnych tworzących koalicję. I nikt w tej koalicji nie ma wątpliwości, że trzeba przeświecić Fundusz Sprawiedliwości, którym zarządzali ziobryści, a z którego wypływały setki milionów na cele niezwiązane ze statutowym wsparciem ofiar przestępstw.

Wniosek ma osiem punktów. Jego autorzy zwracają uwagę, że dotyczy o tyle prezesa NBP, ponieważ członków Rady Polityki Pieniężnej nie można postawić przed Trybunałem Stanu. Trwa dyskusja, na ile poszczególne punkty mają uzasadnienie, wiele rodzi pytania, ale odpowiedzi otrzymamy tylko wtedy, gdy zajrzymy do dokumentów banku centralnego. Tymczasem Glapiński dostępu do nich broni jak lew. Nie tylko przed opinią publiczną, ale także przed niektórymi członkami zarządu NBP (skarżył się na to Paweł Mucha, były prawnik prezydenta Andrzeja Dudy) i członkami RPP. Co samo w sobie jest skandaliczne. I ta patologia znalazła się we wniosku złożonym w Sejmie.

Komisja odpowiedzialności konstytucyjnej ma prawo zażądać dokumentów. I to jest główna zaleta tego przedsięwzięcia. Nawet jeśli niektóre punkty wniosku wydają się dyskusyjne, to ostatecznie liczy się sprawozdanie sejmowej komisji.

Przy rozliczaniu Glapińskiego - jak radzi członek RPP Ludwik Koteci - trzeba oddzielić kwestie gospodarcze od prawnych. Przykład: jednym z punktów wniosku jest sprawa skupu obligacji przez NBP w pandemii. Bank centralny drukował pieniądze, aby sfinansować tarcze antycovidowe i zapobiec masowemu bankructwom firm. Konstytucja zasadniczo zabrania takich operacji, ale diabeł tkwi w szczegółach: jak ten skup był przeprowadzany. Pytanie brzmi: czy to nie była nadzwyczajna sytuacja? Pamiętamy nagraną rozmowę z 2013 r. między ówczesnym szefem MSW Bartłojem Sienkiewiczem a prezesem NBP Markiem Belką za poprzednich rządów Donalda Tuska. Sienkiewicz martwił się, że idzie druga fala potężnego kryzysu finansowego i rząd może potrzebować wsparcia banku centralnego, by nie dopuścić do załamania finansów publicznych.

Ktoś mógłby powiedzieć o PO: sami to planowali, a teraz oskarżają PiS.



Adam Glapiński, prezes NBP

Jednak w rozmowie Belki i Sienkiewicza istotne jest to, że obaj panowie zgadzają się, iż by przygotować taką operację, trzeba zmienić ustawę o NBP. Ostatecznie tego nie zrobili i skupu obligacji, a więc drukowania pieniędzy, nie było. A i ustawa o NBP w tym punkcie pozostała niezmienną. I o ile można dyskutować, czy Glapiński, zmuszony przez premiera Mateusza Morawieckiego, zrobił dobrze czy źle, to nie ulega wątpliwości, że należało to przeprowadzić zgodnie z prawem. A ono każe Glapińskiemu poprosić o zgodę Radę Polityki Pieniężnej. Co więcej, to Rada, a nie sam Glapiński, powinna ustalać zasady operacji. Trzeba sprawdzić, czy tu wszystko było legalne, także dlatego, by w przyszłości tego instrumentu, a więc drukowania pieniędzy, nie nadużywano. Choćby w celach wyborczych, np. do rozrzucania pieniędzy z helikoptera.

To zresztą bardzo dobra okazja, by na spokojnie doprecyzować przepisy dotyczące tak nadzwyczajnych wydarzeń jak pandemia czy tsunami w światowych finansach.

I tak praktycznie jest ze wszystkimi punktami wniosku do Trybunału Stanu. Można odnieść wrażenie, że Glapiński czuł się jak pan i władca, którego przepisy nie obowiązują. Dziwię się Partii Razem, która twierdzi, że wniosek to hucpa. Nie, to istotna kwestia dotycząca polityki monetarnej i gospodarczej.

Analizy wymaga publiczna działalność prezesa NBP, który jest zobowiązany do politycznej bezstronności. Tymczasem Glapiński notorycznie wychwalał PiS i atakował opozycję. Mniejsze znaczenie ma to, iż w zarządzie NBP zasiadają byli politycy. Tak było i przed Glapińskim, natomiast kluczowe jest to, czy z chwilą, gdy zaczęli zarządzać bankiem centralnym, trzymają się zasad bezstronności. Wystąpienia publiczne prezesa NBP mają olbrzymi wpływ na rynek finansowy. Są instrumentem kształtowania polityki monetarnej. Stąd surowe zasady dotyczące apolityczności i bezstronności. Argument PiS, że przecież w pierwszej połowie lat 90. prezes NBP Hanna Gronkiewicz-Waltz to nawet startowała w wyborach prezydenckich, jest bez sensu. Właśnie z powodu tego typu wydarzeń zmieniły się przepisy w konstytucji i ustawach.

I kolejny punkt: Glapiński wysłał w sierpniu zeszłego roku pismo do re-

sortu finansów, że zysk NBP wyniesie 6 mld zł. Jednak zysk zamienił się potężną stratą. Autorzy wniosku uważają, że prezes podał nieprawdziwe dane, ponieważ miał na biurku raport jednego z departamentów, że strata wyniesie (wedle ówczesnych danych) ponad 17 mld zł. Opublikowaliśmy ten dokument w „Wyborczej”.

Skąd Glapiński wziął owe 6 mld zł? Czy nie chodziło o to, by rząd mógł przedstawić ładne liczby w kampanii wyborczej? Prezes NBP mówi teraz, że list do resortu był „nieformalny”. Czyżby przestraszył się odpowiedzialności? Bo urzędnik, który poświadcza nieprawdę w dokumentach, odpowiada przed sądem. Ten fikołek byłby nawet zabawny, gdyby nie dotyczył danych, na których opiera się budżet państwa.

Wielkie emocje wywołały działania prokuratury i ABW, które przeszukały domy Ziobry i jego współpracowników. Tu także widzimy jedność po stronie koalicji, bo sprawa wymaga wyjaśnienia. Istnieją poważne podejrzenia, że konkursy na dotacje z Funduszu Sprawiedliwości były ustawiane. Sugeruje to raport NIK.

Ziobro we wtorek wieczorem zorganizował konferencję prasową przed swoim domem. Mówił słabym głosem, na szyi miał ślady po niedawnej operacji. Nigdy nie negowałam faktu choroby Ziobry. Natomiast nie mam wątpliwości, że cała konferencja była obliczona na wzbudzenie współczucia. To zabieg marketingowy, który ma pogorszyć wizerunek służb i prokuratury, a Ziobrę przedstawić jako męczennika represjonowanego przez władzę.

Sprawę FS trzeba wyjaśnić, a przeszukania są częścią tego procesu i samego chorego nie angażują. Co innego, gdyby prokuratura miała Ziobrę

**Pozornie sprawa przeszukania domów Ziobry i jego ludzi cementuje obóz PiS, ale warto zauważyć, że konferencji Mariusza Błaszczaka w obronie kolegów z Suwerennej Polski nie było nikogo z frakcji Mateusza Morawieckiego. Część PiS boi się pułapki radykalizmu**

przesłuchiwać w przyszłości: wtedy potrzebna jest opinia biegłych lekarzy, którzy stwierdzą, czy to możliwe.

Ziobro twierdzi, że przeszukania były nielegalne. Jednak prokuratura powiadomiła jego teściów o wejściu do domu polityka i krewni mogli uczestniczyć w tym wydarzeniu. Przeszukanie było nagrywane, towarzyszył mu sąsiad – tak, jak wymagają tego przepisy. Ziobro ma prawo do zażalenia do sądu na działania służb. Niech je złoży, poczekajmy na ocenę sędziów.

Obóz PiS najpierw się oburzał, że przeszukuje się domy posłów, których chroni immunitet, a gdy przypomniał im, że robiono to także za czasów PiS, zmienili front. Patryk Jaki stwierdził, że prokuratura powinna poczekać na Ziobrę, który - jak się okazało - był zagranicą. Dziwne, że zaraz po doniesieniach o wyjeździe z kraju Ziobro zjawił się podczas zaimprovizowanej konferencji.

I powiedział, że w sumie, to decyzje podejmowali głównie jego podwładni. Nie wątpię, że były minister bardzo się pilnował. Pamiętam aferę hejterską, która też powinna być wyjaśniona. Tam też Ziobro występował w tle, a całą robotę wykonywali jego współpracownicy. Jeden z wiceministrów stracił stanowisko.

Media od lat opisywały patologie związane z Funduszem, ale nic z tymi doniesieniami się nie działo. Ludzie czuli bezsilną wściekłość, że pieniądze publiczne są rozkradane. Wśród zatrzymanych jest ks. Michał O., który na budowę ośrodka medialnego miał dostać 100 mln zł (ostatecznie dostał 66, resztę nowy rząd zablokował). Wykonawca budowy jest pod lupą skarbówki i prokuratury już od dawna, śledczy zainteresowali się też ojcem Michała O., jednak zaufana prokuratura Ziobry w Lublinie sprawę zamknęła. Rodzina O. jest związana ze środowiskiem Ziobry, bo zapewniło ono posadę prezesa Alior Banku bratu ks. Michała, Grzegorzowi. Dodajmy, że ksiądz to ważna postać - rzecznik zespołu Episkopatu ds. Nowej Ewangelizacji. Te wydarzenia są więc obciążające także dla Kościoła instytucjonalnego.

Pozornie sprawa przeszukania domów Ziobry i jego ludzi cementuje obóz PiS, ale warto zauważyć, że konferencji Mariusza Błaszczaka w obronie kolegów z Suwerennej Polski nie było nikogo z frakcji Mateusza Morawieckiego. Część PiS boi się pułapki radykalizmu i nie chce brać na swoje konto grubej afery. Będą musieli teraz wyrażać solidarność z kolegami, ale najchętniej uciekaliby od tematu.

A wyborcy oczekują rozliczeń i zdecydowanych działań wymiaru sprawiedliwości, i dziś mogą mieć poczucie, że śledczy poważnie wzięli się do pracy. Ale też obecna koalicja i prokuratura będą rozliczane za swoje działania: na ile będą skuteczne, czy sąd nie dopatrzy się uchybień przy przeszukiwaniach, czy będą akty oskarżenia i poważne dowody świadczące o przestępstwach konkretnych osób. Taka sama ocena czeka sejmową komisję odpowiedzialności konstytucyjnej, która zajmie się Glapińskim. I rządzący nie mogą tu liczyć na taryfę ulgową. ● Dominika Wielowieyska

# Gdzie szukać nadziei i dlaczego można ją znaleźć w truskawce

Z PSYCHOLOGIEM **BARTŁOJEM DOBROCZYŃSKIM\*** ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

**AGNIESZKA JUCEWICZ:** Gdzie szukać nadziei?

**BARTŁOJEM DOBROCZYŃSKIM:** – Już samo spojrzenie na jakąś rzecz inaczej niż dotychczas, daje oddech. Tak jak moi studenci zareagowali ulgą, kiedy powiedziałem im, że przecież nie mają wpływu na to, w jakiej rodzinie przyszli na świat, jaki mają kolor włosów, jakie talenty. To nie ich wina ani ich zasługa, że dostali takie, a nie inne karty. Jedyne, na co mają wpływ, to jak tymi kartami zagrają.

Wartością, którą sobie cenię również jako akademik, jest wielość opowieści, wielość narracji, wielość spojrzeń. To często ma naprawdę wyzwalający charakter. Przez kilkanaście lat prowadziłem grupy twórczego myślenia i jedną z najważniejszych rzeczy, jakich tam nauczyliśmy, była umiejętność przededefiniowania problemu. Czyli właśnie patrzenia na rzeczy w inny sposób.

Tomasz Szasz, psychiatra, twierdził, że w świecie ludzi albo opowiadasz, albo jesteś opowiadany. I jeśli zdecydujesz się, że to ty chcesz opowiedzieć swoje życie, to może być dla ciebie uwalniające. Bo wtedy stajesz się kimś, kto zarządza nim nie tylko w sensie aktywności, działania, ale również w sferze symbolicznej, w sferze narracji, w której się w końcu odnajdujesz i czujesz jak u siebie.

Przecież jedną z najważniejszych rzeczy, jakie chcą odzyskać różne grupy wcześniej wykluczane, prześladowane, wyzyskiwane, jak kobiety, osoby LGBT+ czy osoby, które wyrwały się z jarzma kolonializmu, jest prawo do opowiedzenia swojej historii własnym językiem.

**Widzę tu pewien problem. Otwarcie się na wielość opowieści, a z drugiej strony na tworzenie swojej własnej wymaga odwagi, elastyczności, pomieszczenia różnych sprzecznych wątków. A żyjemy w świecie pełnym niepewności i lęku. Ludzie pytają dziś – jak mam żyć? I oczekują prostych, przekonujących odpowiedzi. Stąd między innymi popularność prawicowych polityków, którzy udają, że je mają. Pan natomiast mówi: otwórzcie się na różne perspektywy, zaryzykujcie.**

– Zgadza się. I jedyne, co mogę na to odpowiedzieć, to to, że życie niestety wymaga odwagi.

Ale wróć jeszcze do nadziei i tego, gdzie jej szukać, bo bardzo długo nad tym myślałem. I wymyśliłem dwie odpowiedzi. Jedna mówi o szukaniu nadziei w kontekście negatywnym, druga – w kontekście pozytywnym.

**Jak można szukać nadziei w kontekście negatywnym?**

– Można ją znaleźć na przykład w tym, że po prostu nie ma innego wyjścia. Jest źle, tragicznie, trzeba się więc czegoś złapać.

Nie wyznaję żadnej religii, nie przynależę do żadnego Kościoła ani związku wyznaniowego. Kiedyś byłem związany z Kościołem katolickim, ale to się skończyło prawie 30 lat temu. Natomiast gdybym miał powiedzieć, jakie tradycje widzą rzeczywistość w sposób mi najbliższy, to pomijając moich ulubionych In-

dian, wskazałbym na buddyzm i taoizm. Każdy jest troszeczkę inny.

**Na czym polega różnica?**

– Taoizm jest systemem bardziej afirmatywnym, buddyzm jest mroczniejszy, w takim sensie, że buddyjska diagnoza ludzkiej kondycji wychodzi od cierpienia. Od tego, że jesteśmy rozdarci pomiędzy pragnienia, które zwykle się nie spełniają, i lęki, które zwykle się spełniają. I jest taka przypowieść, właśnie o szukaniu nadziei w beznadziejnej sytuacji, którą w jednej ze swoich książek przytacza buddyjska mniszka Pema Chödrön. Na pierwszy rzut oka ta przypowieść jest przygnębiająca, ale tak naprawdę jest cudowna. I ma charakter leczniczy. To znaczy pozwala się ustawić w stosunku do ponurej rzeczywistości tak, że będziemy mieli twardszą podstawę, lepszy grunt.

**To proszę ją opowiedzieć.**

– Pewna kobieta ucieka przed tygrysami. Biegnie, one za nią, aż dociera do urwiska. Za sobą ma tygrysy, przed sobą ma przepaść i kawałek wąskiego krzaka. Kiedy zwierzęta prawie ją dopadają, opuszcza się po zbocz urwiska na jakiejś gałązce, patrzy w dół i nagle się orientuje, że na dole też są tygrysy. W dodatku ni stąd, ni zowąd pojawia się mysz i zaczyna jej tę gałązkę przegryzać. No więc mamy taką sytuację – nad nią są pazury i kły, pod nią są pazury i kły i wiadomo, jak się to skończy. Ale kobieta kątem oka dostrzega, że na tym krzaku, który wyrasta ze szczeliny w skale, rosną truskawki. I zamiast panikować z przerażenia, sięga po nie i zaczyna się nimi delectować.

**Pięć sekund przed śmiercią.**

– Otóż to.

Pema Chödrön tłumaczy to tak: takie właśnie jest nasze życie. Tkwisz między jednym tygrysem a drugim. Zawsze czyhają na ciebie różne dramatyczne okoliczności. Co możesz w tej sytuacji robić? Możesz powiedzieć: nie chcę takiego świata, usuwam się z niego. I popaść w depresję. Albo tak jak kobieta z opowieści możesz mimo wszystko próbować delectować się tymi truskawkami. Bo być może to jedyny, a może i ostatni moment, kiedy jest to możliwe. Innymi słowy, możesz uznać, że skoro jest tak ciężko i beznadziejnie, to w takim razie każda chwila, w której żyjesz, jest bardzo cenna.

**Co może być taką truskawką w życiu przeciętnego człowieka?**

– Każda rzecz. Nie chcę teraz zabrzmieć jak jakiś domorosły nauczyciel buddyzmu zen, ale to mogą być pieczone ziemniaki, herbata, spacer. Dla mnie taką truskawką jest siedzenie w parku i patrzenie się na drzewo albo jeżdżenie na hulajnodze nieelektrycznej i słuchanie muzyki, podglądanie ptaków, które krzątają się między drzewami.

Opowiem coś pani, chociaż się trochę wstydzę...

Kiedyś śniło mi się, że jestem członkiem gangu. Moje sny są często bardzo wyraźne, realne, są jakby odrębną rzeczywistością, i to był właśnie taki sen. Panowało w nim straszliwe poczucie zagrożenia. Chodząc po ulicach, wchodząc do różnych miejsc, jeżdżąc samochodami, w każdym momencie spodziewałem się, że może dojść do strzelaniny, wybuchu bomby, jakiegoś aktu przemocy.

FOT. KEITH SZAFRAŃSKI / ISTOCK



Naprawdę tylko  
kochanie daje sens.  
I to wcale nie chodzi o  
to, żeby być kochanym.  
To jest zdecydowanie  
mniej ważne

Jak w filmie akcji.

– I to takim najbrutalniejszym. A wie pani, co mną najbardziej wstrząsnęło w tym śnie? I o czym długo myślałem po przebudzeniu? Że odczuwałem ogromną rozkosz z tego powodu, że życie w nim było tak intensywne. Świadomość, że w każdej następnej minucie, każdej następnej godzinie może się zdarzyć coś bardzo groźnego, dawała mi poczucie, że dojmująco wyraźnie odczuwałem każdą chwilę. Było w tym jakieś napięcie, magnetyzm, elektryczność. Na co dzień nie prowadzę takiego życia. Jestem akademikiem, który wprawdzie rozmyśla o szalonych przygodach i podróżach, ale w istocie prowadzi życie momentami zbliżone do życia Immanuela Kanta, który codziennie tą samą drogą chodził na spacer – ja tą samą trasą chodzę do pracy.

Ten sen to jest jeszcze inna wersja opowieści o truskawkach.

W jakim sensie?

– Ona mówi o tym, że naszym największym wrogiem nie jest tylko to, że jesteśmy zmrożeni w jakiejś jednej opowieści, ale i to, że z tego zmrożenia często wynikają same negatywne rzeczy. Nuda, skapcanienie, skostnienie, rutyna codzienności. Pewna amerykańska profesorka powiedziała mi kiedyś: „Życie to jest coś, co

się rozgrywa poza mną, kiedy jestem zajęta codziennymi trudami”.

Strasznie smutne.

– A jednak wszystkie te opowieści pokazują nam, że mamy jakiś wybór, nawet kiedy jest bardzo złe. Polega on na tym, że albo ruszymy i zaczniemy coś, cokolwiek z tym robić, albo się całkowicie poddamy.

Na jednej z książek Pemy Chödrön widnieje takie zdanie: „No Escape No Problem”. Oznacza ono, że skoro nie ma ucieczki, to nie ma też problemu. Oczywiście, można codziennie wstawać i powtarzać sobie: „Jest złe, mam potężny kredyt, w państwie nie jest tak, jak bym chciał, moi bliscy chorują i umierają, sam mam różne dolegliwości zdrowotne, nie chcę tego, a tamto mi się nie podoba”. Tylko że nie posunie mnie to ani o milimetr do przodu.

Podsumowując, ta quasi-buddyjska diagnoza, jeśli jest dobrze zrobiona, powinna być jedynie punktem wyjścia, a nie punktem dojścia. Dlatego że jeśli stanie się punktem dojścia, czymś, w czym będziemy trwać, to po prostu będziemy bardzo cierpieć. I możemy się na to zgodzić, powiedzieć: dobra, no to będę cierpieć. Ale możemy też się zastanowić, czy jednak da się coś z tym zrobić.

Co jeszcze można, poza tymi truskawkami i ziemniakami?

– To teraz przejdę do szukania nadziei w kontekście pozytywnym. Mam takie swoje prywatne objawienie. Jest to film przyrodniczy o życiu pingwinów cesarskich w rejonach arktycznych, na który trafiłem jakiś czas temu. Jego główną treścią było to, jak te pingwiny dobierają się w pary i jakiego wysiłku wymaga od nich poczęcie i wychowanie małego pingwinka. To jest horror! Jest strasznie zimno, potwornie wieje, więc najpierw ci rodzice wysiadują te jaja w wicherze, a potem, kiedy pingwinek się wykluje, pingwinie mamy pędzą kilometrami nad morze, tam nurkują w lodowatej wodzie, wylawiają ryby i wracają. W tym czasie ojcowie z tymi małymi pod opieką czekają na nie w tych arktycznych warunkach. No naprawdę, lekko nie jest.

Oglądając to, myślałem sobie, jaki ten kosmos jest asymetryczny. Doprowadzenie do powstania takiego pingwina, wysiedzenie go, wyklucie, wyżywienie jest sprawą nieomal przekraczającą pingwinie siły. A ile trwa rozdeptanie jaja pingwina cesarskiego? Pół sekundy? Sekundę?

I to było to objawienie?

– Tak! Powiedziałem sobie wtedy: mnie nie pasjonuje rozdeptywanie jaja pingwina cesarskiego. Mnie pasjonuje wyhodowanie pingwina cesarskiego!

Co chce pan przez to powiedzieć?

– To, że jakby powiedział Fromm, jestem biofilem i mimo notorycznego czarnowidztwa oraz pesymizmu kocham życie. Może takiego odkrycia mogą dokonać też inni? A to już by było dużo!

Wie pani, jaki był główny powód mojego pójścia na psychologię? Miałem być entomologiem, chciałem badać owady, a wcześniej chciałem zostać malarzem, ale w pewnym momencie przeczytałem O sztuce miłości Ericha Fromma i to była książka, która ostatecznie pchnęła mnie na ten kierunek studiów. A teraz wróciła do mnie.

Dlaczego akurat ona?

– Bo przygotowując się do tej rozmowy, chciałem opowiedzieć o tym, co jest moim zdaniem jedynym naprawdę pozytywnym źródłem nadziei. Obawiałem się jednak, że jeśli powiem o tym językiem, w jakim zwykle się o tym mówi, to wywrze to fatalne wrażenie. Dlatego zacząłem szukać innego języka, u osób, po których nie można się tego spodziewać. Bo mam poczucie, że wtedy to trafia bardziej. I znalazłem go, oprócz Fromma, u bell hooks w jej książce „Wszystko o miłości”. Dla tych, którzy nie wiedzą: bell hooks była afroamerykańską pisarką, feministką i marksistką. Erich Fromm był zaś Żydem, psychoanalitykiem i również marksistą. I oni oboje powiedzieli coś, do czego ja też jestem przekonany – że jedynym pozytywnym źródłem nadziei jest... miłość. Ha, ha, ha...

Dlaczego się pan śmieje?

– Bo w dzisiejszych czasach, jak to mówi Świetlicki, wszyscy mówią „kocham cię”. „Miłość” to najbardziej wyświechtane, znieprawione, wytarżane w błocie słowo, jakie istnieje w ludzkim języku. Trawestując Marka Twaina, ludzkość po walila je na ziemię i odtarńczyła na nim tańiec wojenny.



**A jednak mówi pan o niej?**

– Bo w nią wierzę.

U bell hooks i u Ericha Fromma zafascynowało mnie to, że piszą o miłości zarówno w kontekście erotycznym, rodzinnym, przyjacielskim, jak i w kontekście duchowym. Co jest zaskakujące, bo przecież żadne z nich nie było religijne. W „O sztuce miłości” Fromm cały rozdział poświęcił miłości Boga. Pisz: „Psychologia jako nauka ma swoje granice i tak samo, jak logiczną konsekwencją teologii jest mistycyzm, tak samo ostateczną konsekwencją psychologii jest miłość”. Brzmi to trochę jak słynny wywód Pawła z Tarsu: „Jeśli miałbym wszystko, a miłości bym nie miał, byłbym jak cymbał brzmiący”, nie? bell hooks z kolei cytuję mistyków, na przykład trapistę Thomasa Mertona, albo eksdominikanina Matthew Foxa. Wszyscy oni są zdania, że miłość pozwala złagodzić strach, wytrzymać cierpienie, dać nadzieję. Nawet taki „degenerat” jak William S. Burroughs w Last Words: The Final Journals pisze: „Love? What is it? Most natural painkiller what there is” (W wolnym tłumaczeniu: Miłość? Co to jest? Najbardziej naturalny środek przeciwbólowy, jaki istnieje).

## Moja żona Doda powiedziała mi kiedyś, że wierzy w coś, co nazywa „otwarcie nowego portalu”

**bell hooks pisze tak: Miłość sprawia, że czujemy się bardziej żywi. Gdy jej nam brakuje, mamy wrazenie, że równie dobrze moglibyśmy nie żyć; wszystko w nas jest milczące i nieruchome. Nic nas nie porusza. „Morderstwo duszy” – tak psychoanalizyści nazywają ten stan. Pobrzmiewa w tym echo biblijnego stwierdzenia, że „kto nie miłuje, pozostaje w śmierci”.**

– Pisz też, że miłość daje nam odwagę do zaprzysiężenia się z tą śmiercią. Jeśli przyjąć, że jednym z naszych najtrudniejszych i najważniejszych lęków jest właśnie lęk przed unicestwieniem, przed utratą wszystkiego, to – pisze hooks – „gdy na łóżu śmierci uświadamiamy sobie potęgę miłości, doznajemy ekstazy”. I dalej: „Mielibyśmy szczęście, gdybyśmy czuli tę potęgę przez wszystkie swoje dni, a nie tylko u ich kresu”. Proszę zobaczyć, to się zgadza z tym, co mówiliśmy wcześniej: że zadaniem naszego życia, co powtarzają zgodnie wszystkie tradycje duchowe, jest podmiana tożsamości. Żeby to nasze stare, postrachane „ja” walczące w zaciętrzewieniu o swoje się poszerzyło. Ale być może nie powiedzieliśmy jeszcze tego dość wyraźnie, że najlepszym sposobem poszerzenia jest właśnie kochanie kogoś bądź czegoś.

Fromm mówi z kolei, że miłość jest w ogóle pewną postawą. To nie jest kwestia tego jednego, konkretnego kochania, bo można kochać też w sposób zabójczy. Istnieją przecież miłości toksyczne czy histeryczne, czyli takie, kiedy kocha się kogoś albo coś, jakieś idee, opowieści, narracje w taki sposób, że się im szkodzi. Nie chcę wskazywać teraz palcem, ale myślę, że łatwo to sobie dopowiedzieć. Widzimy polityków, polityczki, duchownych, różnych ludzi, którzy za pomocą deklarowania i nakłaniania innych do miłości właściwie ten obiekt miłości unicestwiają.

Miłość to w ogóle nie jest uczucie, rozmawialiśmy o tym kiedyś. Uczucia to są emocje, a emocje są krótkotrwałe, pojawiają się i przemijają. Gdyby miłość była uczuciem, rodzice przestawaliby kochać

swoje dzieci po paru miesiącach i oddawałaby je do adopcji.

**Filozofka Iris Murdoch też uważała, że miłość nie jest uczuciem, tylko działaniem. Miłość to czasownik.**

– Fromm mówi więcej: miłość jest przede wszystkim daniem, a nie braniem. Innymi słowy, miłość jest aktywna. Nasze pierwsze doświadczenia miłości rodziców, opiekunów są raczej pasywne, ale jeśli ktoś na zawsze pozostaje na tym etapie, to znaczy, że utknął w dziecięctwie.

Powiem jeszcze inaczej: miłość przynależy do sfery postanowienia, decyzji. Jest pewną orientacją, sposobem funkcjonowania w świecie. I wymaga pielęgnowania.

**Jest też chyba wyzbyciem się siebie w pewnym sensie?**

– A jeśli nie wyzbyciem, to przynajmniej poszerzeniem siebie.

Przyznam, że kocham bell hooks za ten tekst. Czytałem go, płacząc łzami wzruszenia, że to, co sam chcę powiedzieć o tym, co może nas wyzwolić z lęku, niepewności, wyciągnąć z kryzysu, mówi czarna kobieta, feministka, marksistka, czyli ktoś, kto – wydawałoby się – nie powinien ta-

kich rzeczy mówić. Współcześni prawicowi politycy powiedzieliby, że z tej genderowej neomarksistki samo zło się powinno łać, a ona mówi, za przeproszeniem, jak natchniona mistyczka. I to jest niesamowite.

Naprawdę tylko kochanie daje sens. I to wcale nie chodzi o to, żeby być kochanym.

**Nie?**

– To jest zdecydowanie mniej ważne. Jak mówię, że źródłem nadziei jest miłość, to mam na myśli to, że mam kogoś lub coś do kochania. I że chcę dla nich tego, czego chcą pingwiny cesarskie dla swojego dziecka, żeby hulało po morzach i oceanach świata. To jest paradoks, że mogą być kochani i nieszczęśliwi, może być mi bardzo ciężko, ale jeśli kocham, to już wszystko inne jest jakby w porządku.

**Pytanie, gdzie ma znaleźć nadzieję ktoś, kto nie kocha?**

– Na to już nic nie poradzimy. Jak bell hooks nie pomoże, to już nic nie pomoże...

Dodałbym jeszcze, że chyba się trzeba bardzo nad sobą zastanowić, jeśli się nie ma nikogo ani niczego do kochania. Ani patyczaka, ani psa, ani kamienia, ani człowieka, ani sztuki.

**Gdzieś jeszcze jednak ta nadzieja musi się kryć.**

– Moja żona Doda powiedziała mi kiedyś, że wierzy w coś, co nazywa „otwarcie nowego portalu”. W ekonomii mamy podobne pojęcie – to „czarny labędz” – czyli wydarzenie, którego nikt wcześniej nie brał pod uwagę, nieprzewidywalne, które jakby przyszło znikąd. Gamechanger, jak mawiają politycy, czyli coś, co wywraca stolik i zmienia reguły gry. Może to też mogłoby być źródłem nadziei?

**Wiara w „czarne labędzie”?**

– Wolałbym powiedzieć, że wiara w pisklęta czarnych labędzi. Albo w mikroportale, a więc w to, że w każdym momencie może się zdarzyć coś nieoczekiwanego, co całą moją rzeczywistość przetasuje i ustawi na

nowo. A jeśli już nie całą, to przynajmniej sporą jej część.

I teraz, jeśli traktuje się życie tak, że wszystko musi być pod kontrolą, każda rzecz musi być sprawdzona na tysiąc sposobów, to oczywiście myśl, że może się wydarzyć coś nieprzewidzianego, budzi lęk. Natomiast jeśli to nasze „wszystko” wygląda źle i dziwnie, to na takim mikropoziomie każda sytuacja, która otwiera na coś nowego, daje nadzieję. Bo ten nowy portal, czy też mikroportal, staje się po prostu furtką do nowych możliwości.

**I co jest dla pana taką furtką?**

– Na przykład to, że nagle na placu Na Stawach w Krakowie podchodzi do mnie człowiek i mówi: „Dzień dobry, mieszkam parę ulic dalej, czy zechciałby pan poznać moją twórczość? Obejrzeć moje obrazy i zobaczyć książkę, którą o mnie napisano?”. W 99 procentach przypadków pomyślałbym, że mam do czynienia z kimś szalonym i bym grzecznie odmówił. Ale w tym przypadku portal się otworzył, poszedłem za tą sytuacją i dzięki temu zyskałem przyjaźń z jedną z najbliższych mi w tej chwili osób, malarzem Jakubem Julianem Ziółkowskim.

**Wydaje mi się, że to jest o podejmowaniu ryzyka. O tym, że w ryzyku też czai się nadzieja, bo po drugiej stronie może czekać na nas coś pięknego. Jest taka książka, która o tym mówi, Pochwała ryzyka francuskiej psychoanalityczki Anne Dufourmantelle.**

– Dodam tylko, że miłość też jest ryzykiem. Choć słowo „ryzyko” w naszej kulturze chłopskiej ma złe konotacje. Kojarzy się ze stratami, głównie finansowymi, z porażką, więc wolałbym w to miejsce przywołać inne – „przygoda”. Pochwała przygody. I ciągle powtarzam swoim studentom: „Nie wolno wam skapcanieć, nie wolno wam się zamrozić. Na to przyjdzie jeszcze czas. Jak już się unieruchomicie, to właściwie raz na zawsze, więc nie ma co uprzedzać nieuniknionego”.

Tym, co łączy wszystkie światowe zagrożenia – różne populizmy, opresyjne ideologie i narracje – jest chęć odzyskania rajy utraconego, czyli czegoś, czego w ogóle nie było, co zostało wyidealizowane, zmitologizowane. ●



FOT. MICHAŁ ŁEPECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

### \*Bartłomiej Dobroczyński

● psycholog, dr hab., profesor nadzwyczajny w Instytucie Psychologii UJ. Członek Kolegium Interdyscyplinarnego Centrum Etyki Wydziału Filozoficznego UJ oraz zespołu miesięcznika „Znak”. Zajmuje się historią psychologii, psychopatologii i psychoanalizy, irracjonalizmem, relacją między duchowością a psychiką, a także sztuką i alternatywnymi ruchami kulturowymi.



Rozmowa pochodzi z książki „**Tańcząc. Rozmowy o kryzysie i przemianie**” Bartłomieja Dobroczyńskiego i Agnieszki Jucewicz.

Premiera 10 kwietnia 2024, książka będzie dostępna m.in. na [Kulturalnysklep.pl](https://Kulturalnysklep.pl) i w formie e-booka na [Publio.pl](https://Publio.pl).



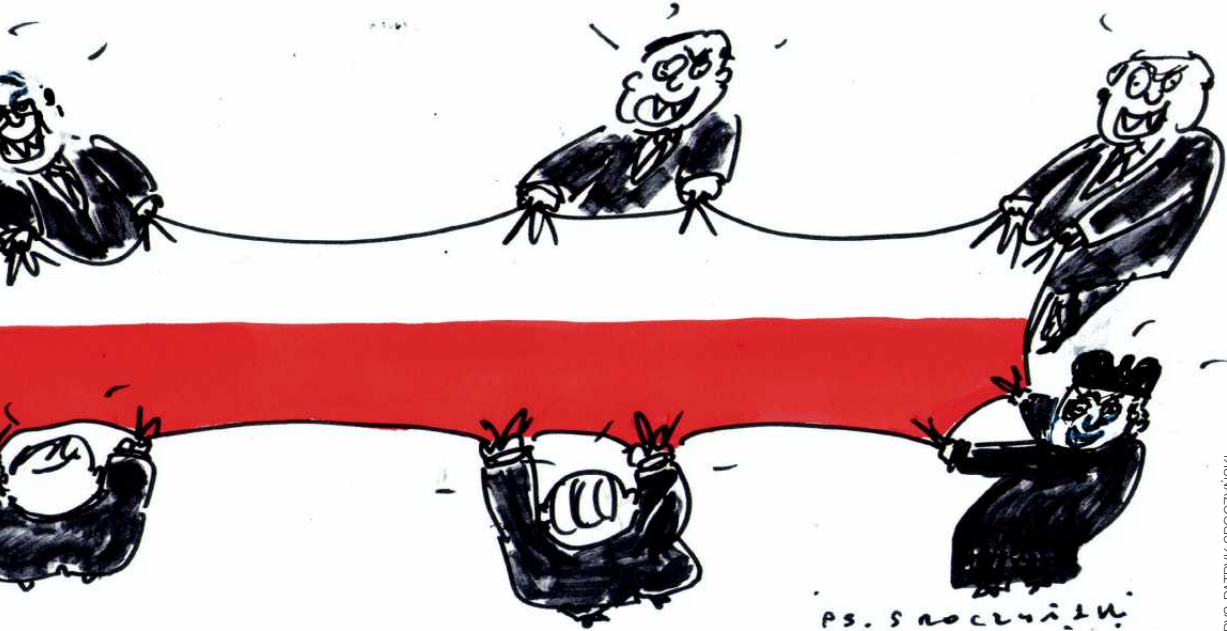
## Radykalizacja – to w najbliższych latach najpoważniejsze wyzwanie dla Polski

**Bartosz T. Wieliński**

**I**arosław Kaczyński nie tylko do dziś nie zrozumiał, co się stało, że utracił władzę. On nie brał pod uwagę takiej możliwości. Regularnie okazuje się bowiem, że pisowskie zabezpieczenia wmontowywane w demokrację można w miarę łatwo obejść. Demokratyczna koalicja zabrała nominatom Zjednoczonej Prawicy kontrolę nad publicznym radiem i telewizją. Minister Adam Bodnar wymienił wiernego Zbigniewowi Ziobrze prokuratora krajowego Dariusza Barskiego, odwołał mianowanych przez niego rzeczników dyscyplinarnych i prezesów sądów. Ukrywane w szafie śledztwa dotyczące przekrętów polityków PiS nagle nabrały biegu.

I są pierwsze efekty: ABW przeprowadziła rewizję w domu Ziobry i innych polityków Suwerennej Polski. Na celowniku śledczych znalazły się wcześniej bezkarni Dariusz Matecki i Łukasz Mejza, posłowie, którzy symbolizowali moralny upadek projektu Zjednoczonej Prawicy. Wcześniej instytucje państwa wyegzekwowały wykonanie wyroku trzech lat więzienia na Mariuszu Kamińskim i Macieju Wąsiku. Od odsiadki uratowała ich dopiero interwencja prezydenta Andrzeja Dudy, który obu ulaskawił. Po raz drugi, ale wreszcie skutecznie, co jednak nie uchroniło ich od utraty poselskich mandatów. Wpływ Dudy na politykę zagraniczną został zaś ograniczony. W najbliższym czasie ambasady opuści 50 pisowskich nominatów, choć prezydent próbował to zablokować. Kruży się pisowska redukcja w Narodowym Banku Polskim, pisowski prezes Adam Glapiński wkrótce stanie przed Trybunałem Stanu, a po postawieniu w stan oskarżenia straci stanowisko.

Gdy tworzył się rząd Tuska, wydawało się, że w Polsce PiS wykroi sobie osobne państwo. Chroniony



RYŚ. PATRYK SRODZYŃSKI

# POJEDNANIA NIE BĘDZIE

przez prezydenta i Trybunał Julii Przyłębskiej aparat medialno-prokuratorski będzie dbać o interesy PiS i paraliżować nową władzę, zachowana zostanie przynajmniej część synekur, a co więcej zagwarantowana będzie bezkarność. I tak Kaczyński przeczeka, aż wielopartyjna koalicja Donalda Tuska straci poparcie z powodu braku sprawczości i się rozsypie.

Przed Bożym Narodzeniem stało się jasne, że plan nie wypadł. Gdy minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz zmienił władze TVP, a propagandzie PiS wyłączono sygnał, pisowscy nominaci od razu powołali swojego prezesa, rozpoczęli okupację pomieszczeń telewizyj. Pisowscy notabie w prokuraturze krajowej nie chcieli wpuszczać do budynków swoich następców powołanych przez ministra sprawiedliwości Adama Bodnara. Zawieszony, a następnie odwołany sędzia Piotr Schab, prezes Sądu Apelacyjnego w Warszawie z nadania Ziobry, ściągnął wersalkę do gabinetu, w którym się okopał.

Miało być podwójne państwo Tuska i Kaczyńskiego. Też nie wyszło, głównie dlatego, że nawet najbardziej zagorzali zwolennicy PiS tracili rezon do demonstrowania, gdy okazało się, że odwoływani przez nową władzę funkcjonariusze zarabiali miliony.

Kaczyński zna jeden sposób rozwiązywania problemów: podnieść temperaturę, pogłębić konflikt, docisnąć pedał gazu. Po przegranych wyborach rzucił się na Unię Europejską, oskarżając, że dąży do anihilacji polskiego społeczeństwa. Tuska z mównicy sejmowej nazwał niemieckim agentem. Później krzyczał o wprowadzaniu dyktatury, łamaniu demokracji i praworządności, o zbrodniach. I zapowiadał odwet.

Po zwolnieniu z więzień Wąsika i Kamińskiego na czele gru-

py posłów PiS próbował szturmować Sejm. Co zrobi po akcji prokuratury i ABW wobec Ziobry i posłów Suwerennej Polski? Tym bardziej że wiele wskazuje na to, że to dopiero początek rozliczeń? I że wkrótce padną kolejne oplecione siecią synekur bastiony PiS, tym razem w samorządach...

Hasło narodowego pojednania nie pojawiło się jesienią 2023. Padło jeszcze w roku 2016, gdy demolka państwa prawa i demokracji dopiero powoli się rozkręcała i trudno było sobie wyobrazić, że władza będzie inwigilować opozycję za pomocą Pegasusa albo że propagandyści z tzw. mediów narodowych zaszczują nastolatka ze Szczecina. Ludwik Dorn, dawniej bardzo bliski współpracownik Kaczyńskiego, tzw. trzeci bliźniak, który odsunął się od dawnego towarzysza na wielki dystans, mówił na łamach „Wyborczej”: „Melodia [wobec polityków i wyborców PiS] powinna być taka: »Nie akceptujemy waszych działań, ale jesteście pełnoprawną częścią wspólnoty«. A nie częścią chorą na głowę. »Plujecie to plujecie, trudno. I tak jesteście dla nas ważni«. W Polsce wygra ta strona, która pierwsza zacznie w ten sposób mówić i wystąpi z konsekwentnym projektem budowy chłodnej przyjaźni politycznej dla pożytku wspólnoty”.

Tuż przed wyborami, podczas marszu miliona Tusk zapowiedział narodowe pojednanie, choć dopiero po rozliczeniu pisowskich przewalów. Zapowiedź tę powtórzył w noworocznym orędziu. Szymon Hołownia bez warunków wstępnych zapowiadał, że „Polska będzie domem dla wszystkich, nawet wyborców PiS”. Wielu publicystów sprzyjających obozowi demokratycznemu rzuciło się wzywać do deeskalacji,

pokoju, by dać ludziom normalnie żyć, by wyluzować. Pojawił się nawet pomysł, by w imię wzmacniania demokracji porzucić plany odbijania instytucji z rąk PiS, tak by drugi kanał TVP mógł – na wzór włoskich mediów publicznych – pozostać w rękach pisowskiej opozycji.

Tak, pogodzenie ze sobą Polaków to nawet pociągająca wizja. Gdybyśmy po wyborach potrafili usiąść przy okrągłym stole, użyć starej formuły polskich biskupów „wybaczymy i prosimy o wybaczenie”. Gdybyśmy mieli kraj, w którym przycichłyby spory o religię, dalszą i bliższą historię i o bieżącą politykę, byłby zapewne lepszym miejscem do życia. Gdyby posłów z opcji rządzącej i opozycji łączyło poczucie, że stanowią wspólnotę, którą spaja powaga Sejmu. Gdyby ponadpartyjny konsensus był szerszy niż tylko kwestia członkostwa Polski w NATO. Gdyby język politycznej debaty był rzeczowy, nie toksyczny...

**Pojednanie, na jakie liczymy, w praktyce nie występuje. Nie doszło do niego w Polsce po 1989 roku, a Polska wcale nie jest wyjątkiem. Spory o przeszłość, o to kto ponosi winę, kto powinien przeproszać, zawsze targają krajami, które zrzuciły jarzmo dyktatury**

Problem w tym, że takie pojednanie w praktyce nie występuje. Nie doszło do niego w Polsce po 1989 roku. Okrągły stół nie miał przecież na celu godzenia się PZPR z Solidarnością, tylko ustalenie warunków, na jakich opozycja przejmie odpowiedzialność za kraj. Ostry spór między postkomunistami a ugrupowaniami wywodzącymi się z Solidarności definiował pierwsze kilkanaście lat wolnej Polski.

A Polska pod tym względem wcale nie była wyjątkiem. Spory o przeszłość, o to, kto ponosi winę, kto powinien przeproszać, targają innymi krajami, które zrzuciły z siebie jarzmo dyktatury. W RPA, po obaleniu apartheidu, pojednanie między białymi a uciskanymi czarnymi mieszkańcami kraju miała wzmacniać specjalna Komisja Prawdy i Pojednania, której zadaniem było wyjaśnianie kulis zbrodni reżimu Afrykanców. Przed komisją stanęły tysiące osób: ofiar i sprawców. Pojednanie pozostało na papierze. Tak jak w kilkudziesięciu innych krajach, gdzie tworzono podobne instytucje.

Dawne konflikty jedynie przegasały, by w sprzyjających okolicznościach rozpalic się na nowo. Dotyczy to również relacji międzynarodowych. Odważny apel polskich biskupów o pojednanie, skierowany w 1965 r. podczas soboru watykańskiego drugiego do biskupów niemieckich, nie spotkał się z pozytywną reakcją. Pół wieku później PiS dalej był w stanie zbijać polityczny kapitał na antyniemieckich resentymatach...

Gdybyśmy mieli odbudowywać wraz z politykami PiS narodową wspólnotę, godzić się, pojednać, musiałby tego chcieć Kaczyński. A pierwszym krokiem w tym kierunku musiałoby być złagodzenie języka, odciecia się od najbardziej radykalnych postulatów, no i przyznanie się do błędów. W grudniu 2023 r. przez moment miałem wrażenie, że Kaczyński mógłby pójść w tym kierunku. W obiegu pojawił się postulat zmiany nazwy Prawa i Sprawiedliwości. Taki zabieg przeprowadziła na swojej partii – Frontie Narodowym – Marine Le Pen, gdy w 2017 r. sromotnie przegrała wybory prezydenckie z Emmanuelem Macronem.

A przegrała, bo walczyła iście po pisowsku z inteligencją Francji, Unią Europejską czy euro. Nad Frontem Narodowym unosił się zresztą duch jej ojca, Jean Marie Le Pena, niekryjącego antysemickich poglądów. Le Pen, zmieniając nazwę partii na Zjednoczenie Narodowe, odcięła się od niego i od błędów kampanii. Przyznała przy tym, że stara nazwa dla wielu Francuzów stanowi barierę psychologiczną. Partia pod nowym szyldem wydaje się mniej radykalna, choć skrajnie prawicowy duch pozostał ten sam.

Spekulacje o porzuceniu nazwy PiS uciły szybciej, niż pogłoski o zmianie partyjnego kierownictwa. Kaczyński wybrał inną drogę: wszedł na kurs Alternatywy dla Niemiec.

AfD powstała w 2013 r. jako partia konserwatywnych intelektualistów, którzy nie potrafili znaleźć sobie miejsca w chadecji kierowanej przez Angelę Merkel.

W dobie kryzysu wspólnej waluty i gospodarczej zapaści w Grecji założyciele AfD domagali się demontażu strefy euro. Ówczesną partię można porównać do wczesnego PiS. Konserwatywna, radykalna, ale nie przekraczająca granic. Ta linia przyniosła AfD umiarkowany sukces i partia, by przetrwać, musiała się radykalizować.

Gdy w 2015 r. Europą wstrząsnął kryzys migracyjny, politycy AfD zachowywali się podobnie jak politycy PiS, nieustannie szczuli na uchodźców. W Polsce padały słowa o przyniesieniu przez przybyszy pasożytów i zarazków. W Niemczech wzywano do strzelania do nielegalnie przekraczających granic. Antychodźcza retoryka pozwoliła AfD wejść w 2017 r. do Bundestagu.

A potem partia jeszcze bardziej się radykalizowała, oddając swoje szeregi neonazistom. Politycy Alternatywy otwarcie kwestionują powojenne granice Niemiec, domagają się szacunku dla dokonania Wehrmachtu, uważają, że pomnik wystawiony w Berlinie ofiarom Holocaustu Niemcy hańbi.

A teraz w Polsce doradzający Kaczyńskiemu w sprawach międzynarodowych prof. Andrzej Przyłębski, mąż Julii, pisowskiej prezes Trybunału Konstytucyjnego, były ambasador w Berlinie, na łamach periodyku niemieckiej skrajnej prawicy wzywał swoją partię do zawarcia z AfD sojuszu, by bronić Europy przed brewierami lewicy. Kaczyński z funkcji szefa delegacji PiS do Parlamentu Europejskiego wyrzucił blokującego współpracę z największymi radykałami prof. Ryszarda Legutkę. Jego miejsce zajął nieobliczalny wyznawca Trumpa, Dominik Tarczyński.

To symptomy, że PiS tak jak niemiecka skrajna prawica będzie coraz bardziej radykalny, antysystemowy, przemocowy.

Trudno uwierzyć, by taktyka Kaczyńskiego przysporzyła partii nowych wyborców. Kurs na radykalizm à la AfD ma raczej utrzymać przy PiS żelazny elektorat i wymusić na politykach – poprzez syndrom obłożonej twierdzy – pozostanie na wspólnejłodzi. Tak skonsolidowana partia będzie czekać na swój moment. Tak jak teraz swój moment przeżywa AfD, która prześcignawszy w sondażach socjaldemokrację, stała się drugą siłą na niemieckiej scenie politycznej, a jesienią przejmie władzę w trzech landach wschodnich Niemiec, co będzie wydarzeniem bez precedensu.

Dalsza radykalizacja PiS będzie miała cenę. Sam fakt obecności na politycznej scenie ugrupowania o ponad 20 proc. poparcia, które wyznaje radykalnie antydemokratyczny program, będzie zatruwać polską demokrację. To właśnie AfD robi Niemcom, a z powodu niebezpiecznego radykalizmu partię oficjalnie rozpracowuje kontrwywiad. W Polsce z zagrożenia powinniśmy zacząć zdawać sobie sprawę z tego zagrożenia. Przestać wieścić koniec Kaczyńskiego, snuć wizję pojednania i ponad partyjnej współpracy.

Jej nie będzie. Będzie walka. ●

Przepis  
Rozkosznego

- tortownica 23 cm
- 180 g ulubionych ciasteczek, najlepiej digestives
  - 3 łyżki masła
- 750 g serka śmietankowego typu Philadelphia (albo 500 g twarogu sernikowego i 250 g mascarpone)
- 250 g gęstego jogurtu greckiego, odsączonego z serwatki na sitku
  - 1,25 szklanki (250 g) drożdżowego cukru
  - 6 dużych jajek „zerówek”
- 1 ½ szklanki (400 ml) śmietany kremówki 36%
- 1 płaska łyżeczka drobnej soli morskiej
  - 1 łyżeczka ekstraktu waniliowego
  - 2 łyżki cukru pudru (opcjonalnie)

**1**  
Rozgrzej piekarnik wraz z blachą do 200 stopni (góra-dół). Tortownicę wysmaruj masłem, spód i boki wyłóż papierem do pieczenia tak, aby wystawał 4–5 cm ponad formę. Ciasteczka zblenduj na pył, wymieszaj z roztopionym masłem. Przelóż do tortownicy, dokładnie dociskając masę. Piecz przez około 6 minut, do „wysuszenia”. Wystudź. Podnieś temperaturę piekarnika do 240 stopni Celsjusza (220 st. C jeśli twój piekarnik ma tendencję do spiekania). Przypilnuj, aby był mocno nagrзany.

**2**  
Ser, jogurt i cukier utrzyj mikserem, aż masa będzie gładka i ak-samitna. Zaczniј dodawać stopniowo jajka, jedno po drugim, cały czas miksując. Wlej śmietanę, sól i wanilię, zmiksuj. Masa będzie dość płynna.

**3**  
Masę serową wylej bardzo powoli na wystudzony spód. Piecz przez około 30 minut, aż wierzch się skarmelizuje na kolor ciemno brązowy (możliwie, że nieregularnie np. tylko brzegi), a środek sernika będzie się trząść jak galareta, wydając się surowy w środku. Zetnie się podczas studzenia.

**4**  
Sernik wystudź w temperaturze pokojowej, a następnie przelóż do lodówki na minimum 8 godzin (po tym czasie zyska odpowiednią, wymarzoną konsystencję). Jeśli sernik się nie skarmelizował, możesz posypać go cukrem pudrem i skarmelizować go za pomocą palnika kuchennego do crème brûlée.

**5**  
Serwuj schłodzony, bez żadnych dodatków odwracających uwagę od jego perfekcyjnej perfekcji. Uwaga! Możesz pominąć spód. Wtedy sernik piecz 20–25 minut w 260 st. C.

Sernik baskijski (ale jeszcze lepszy)

SERNIK  
TRZĘSĄCY  
SIĘ JAK  
RIHANNA

**Spalony i niedopieczony. Słodki i słony. U każdego inny, ale zawsze najlepszy na świecie. Najczęściej fotografovany, choć wygląda jakby się nie udał**

Katarzyna Staszak

**T**en przepis zrobił z Rozkosznego gwiazdę. Przy okazji zwiększył dochody branży mleczarskiej i zmienił świąteczne tradycje w wielu polskich domach.  
– W 2017 r. mieszkałem w Hiszpanii. W kawiarni w Madrycie zjadłem sernik i oniemiałem. Był lekki, rozlewał się na talerzu jak włoskie lody, a z wierzchu był przypalony. Nie przypominał serników z polski czy sernika nowojorskiego, który jest wprawdzie kremowy, ale z wierzchu równy jak stół i jasny. Zapytałam obsługę i dowiedziałam się, że to wariacja na temat deseru, który wymyślił szef kuchni w San Sebastian. Poczulem, że muszę tam pojechać – wspomina Michał Korkosz, znany jako Rozkoszny, autor bloga o tej samej nazwie.  
Gdy poznawał hiszpańskie smaki, w Polsce zrobiło się o nim głośno po raz pierwszy – zdobył w USA dwie nagrody Saveur za fotografię kulinarną. W tej branży to jak zdobycie Oscara.

W San Sebastian i okolicach jest największa restauracja wyróżnionych gwiazdką Michelin na kilometr kwadratowy. Ale La Viña zasłynęła czymś innym – sernikiem, który w 1990 r. wprowadził do menu syn założycieli restauracji, Santiago Rivera. Deser przyciągał tłumy i kulinarne gwiazdy z całego świata. Wracały do domów z przepisem od Rivery, ale żeby go odtworzyć, potrzebowały zamiennika dla hiszpańskiego kremowego serka San Milán. Najbardziej podobny okazał się globalnie znany produkt – serek Philadelphia. Ma niemal tyle samo tłuszczu, ale jest nieco mniej słony, więc dla uzyskania zapamiętanego smaku masę trzeba bardziej posolić.  
W każdym kraju ktoś inny przyczynił się rozsławienia sernika baskijskiego. Są lokalne wersje z dodatkiem koziego sera czy skórki cytrynowej.  
W Polsce szal zaczął się w grudniu 2019 r. Rozkoszny opublikował wtedy przepis „Sernik baskijski (ale jeszcze lepszy)”. We wstępie przyznał, że poczynił

„dość drastyczne zmiany” w recepturze, żeby sernik wyszedł doskonale. Dodał jogurt dla uzyskania kwaśności, której brakuje sernikom bez twarogu. I wanilię – pasuje do sera i soli. Oryginalny sernik nie ma spodu, a Rozkoszny go doradzał.  
– Sernik w San Sebastian nie rozlewał się po talerzu, smakował jak obłoki. Kluczowe dla uzyskania takiej formy jest odstawienie upieczonego sernika na co najmniej osiem godzin do lodówki. To najtrudniejsza część przepisu – wstrzymanie się ze zbyt szybkim jedzeniem. Wnętrze jest bardzo delikatne, dlatego dodałem spód ze zmielonych ciasteczek. Uznałem, że moi czytelnicy pokochają smak sernika, ale mogą nie zaakceptować nieco niechlujnego wyglądu. W Madrycie sernik pływa po talerzu i jest to wersja znormalizowana, u nas byłaby kontrowersyjna – tłumaczy Korkosz.

Na platformie TikTok Rozkoszny zamieścił filmik z trzęsącym się sernikiem. Tak właśnie wygląda po upieczeniu – ciasto zetnie się dopiero w lodówce. Dodał podpis: Sernik baskijski, co twerkuje jak Rihanna w teledysku do „Work”.  
Twerkowanie to potrząsanie pośladkami w rytm muzyki. Przepis i trzęsący się sernik stały się wiralem, czyli treścią, którą przekazują dalej kolejne osoby jak wirus. Od niemal pięciu lat sernik baskijski jest najpopularniejszym przepisem na blogu Rozkosznego. Nie ma dnia, żeby nie dostał powiadomienia na Instagramie, że ktoś wrzucił zdjęcie swojego wypieku i go oznaczył. – W okolicy Wielkanocy i Bożego Narodzenia takich powiadomień dostaję codziennie tysiące.  
Co piąty Polak zna przepis na sernik baskijski – wynika z badania przeprowadzonego na zlecenie Pyszne.pl. Ten dostawca jedzenia opublikował raport o trendach kulinarnych, w którym widać, jak ważnym źródłem inspiracji są wirale. Z najmłodszej grupy dorosłych Polaków (18-24 lata) aż 56 proc. poszukuje przepisów na TikToku i Youtube, a 48 proc. na Instagramie.  
Sprawdzam w Google Trends wyszukiwania hasła „sernik baskijski”. Widać, jak zainteresowanie tym przepisem rosło. Piki są w okolicach świąt. Krzywa pokazująca wyszukiwania hasła „serek Philadelphia” odwzorowuje googlowe wzloty sernika.  
Poprosiłam producenta serka o udostępnienie informacji, jak zmieniła się jego sprzedaż w Polsce od roku 2019, czyli od czasu, gdy Rozkoszny opublikował swój przepis. W ciągu czterech lat sprzedaż Philadelphii wzrosła u nas o 37 proc.  
– Rozmawiałem z przedstawicielem innej firmy, która produkuje serek kojarzo-

ny ze śniadaniem. Rozpaczal, gdy mówił o serniku baskijskim: „Dlaczego to nie my! Dlaczego nam coś takiego się nie przytrafiło?” – opowiada Korkosz.  
Ale Philadelphia nie jest tania. Kosztuje 7-8 zł za opakowanie. A to zaledwie 125 g. Do sernika Rozkosznego potrzeba sześciu. Dlatego internet pełen jest dyskusji o możliwych zamiennikach. Na popularności sernika baskijskiego zyskują więc też producenci innych serków.  
Dla branży mleczarskiej trend z Instagrama i TikToka jest jak wielka, darmowa kampania reklamowa. Cenna w czasach, gdy krowie mleko nie pojawia się już w każdej lodówce. Wiele osób woli dolać do kawy napój roślinny.  
Weganie, czyli osoby unikające wszystkich produktów pochodzenia zwierzęcego, wciąż są niewielką grupą, ale z mleka rezygnują nawet ci, którzy regularnie jedzą mięso. Rodzice, którzy nie podają dzieciom mleka, przekonują, że „to produkt dla cielaków”, „z hormonami”, „uczulający”.  
Niechęć do mleka mogłaby przejść też na sery, a jest inaczej. Oferta branży mleczarskiej w Polsce wciąż się rozszerza.  
– Mody i trendy w oczywisty sposób przekładają się na wzrost popularności konkretnych produktów. Tak jest w przypadku serka Mascarpone, który używany jest do sernika baskijskiego – mówi Małgorzata Cebelińska, wiceprezesa zarządu SM Mlekoop.  
Ostatnio internet zalewają przepisy z sernikiem wiejskim na różne sposoby – w zapiekance, z makaronem, nawet w sosie z dodatkiem wódki. – Wiele trendów ma bardzo krótką żywotność, np. deski z rozsmarowanym masłem i dodatkami zamiast wędlin. Serek baskijski jest czymś więcej niż chwilową modą. To nowa tradycja – ocenia Rozkoszny.  
Dlaczego właściwie zakochaliśmy się masowo właśnie w tym deserze? Na pewno znaczenie ma smak. Sól przebija się przez cukier, jak w lodach o smaku solonego karmelu, który od lat należy do najpopularniejszych smaków i jest odtwarzany w różnych słodyczach. – Szczypta soli powoduje uwolnienie nut smakowych i pogłębia odczuwanie słodczy, dlatego dodaje się ja do słodkich wypieków – mówi dr hab. Grażyna Cacak-Pietrzak z Katedry Technologii i Oceny Żywności Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie.  
Rozkoszny dodaje, że sól i tłuszcz to najlepsze nośniki smaku. Połączenie kremowego serka ze śmietaną, a w wersji Rozkosznego także z jogurtem, sprawia, że sernika właściwie nie jemy. Ra-





**Pokolenie Z kocha słodczy. Zetki mogą wybrać restaurację, kierując się tym, co serwuje na deser**

czej czujemy, że coś delikatnego samo rozplywa się w naszych ustach. – Jeśli coś szybko się rozpuszcza, mózg odnosi wrażenie, że nie ma w tym kalorii, a wtedy można to jeść bez końca, tak jak popcorn – twierdzi Steven Witherly, badacz żywności cytowany w książce „Cukier, sól, tłuszcz. Jak uzależniają nas koncerny spożywcze”.

Za popularnością sernika baskijskiego stoi też jego prostota. W klasycznym serniku – krakowskim czy wiedeńskim – jajka ubija się osobno, to wydłuża przygotowanie ciasta, a poza tym brudzi się dwa naczynia. Z kolei sernik nowojorski, do

którego baskijski jest porównywany, wypieka się długo w niskiej temperaturze. Czyli też wymaga więcej czasu i uwagi. Baskijski jest jak spełnienie marzeń zabieganych amatorów: mogą mieć domowe ciasto, ale bez wysiłku i stresu, że nie wyjdzie. Ekspresowe miksowanie plus 30 minut pieczenia w wysokiej temperaturze i gotowe.

– Prostota przepisu jest kluczowa. Ale jeszcze ważniejszy jest bardzo duży margines błędu. Baskijski wyrasta w piekarniku, a potem opada. To część procesu. Wierzch może być niemal czarny, mocno skarmelizowany albo brązowy. Śro-

dek może być mocniej ścięty albo bardziej płynny. Przepis można zaadaptować do warunków swojej kuchni i preferencji. Każdemu wychodzi – podsumowuje Rozkoszny.

Popularność domowych wypieków wzrosła w pandemii. Zamknięci w domach, szukaliśmy nowych przepisów, co widać było w raportach o aktywności online na całym świecie. W polskich sklepach okresowo brakowało drożdży, a sprzedaż gorzkiej czekolady wzrosła, bo właśnie takiej używa się do ciast. Zainteresowanie domowymi wypiekami wiązało się nie tylko z zamknięciem kawiarni, znaczenie miał też terapeutyczny wymiar pieczenia. – To niedroga, ale pozytywna czynność, której efektem jest satysfakcjonujący produkt. Jeśli będziesz postępować zgodnie z instrukcjami zawartymi w przepisie, masz dużą kontrolę nad wynikiem. W czasach, gdy mieliśmy niewielką kontrolę nad stale zmieniającą się i trudną sytuacją, adaptacyjną strategią radzenia sobie z tym, było zwracanie się do działań, które możemy kontrolować – tłumaczy prof. Donna Pincus, psycholożka z Centrum Lęku i Zaburzeń Pokrewnych na Uniwersytecie Bostońskim.

Z badań wynika, że ludzie, którzy regularnie podejmują niewielkie kreatywne działania, jak gotowanie czy pieczenie, są bardziej zrelaksowani i szczęśliwsi. Pieczenie może działać jak trening uważności (mindfulness), czyli praktyka obniżająca stres.

Gdy pieczesz, skupiasz się na tu i teraz, a organizm dostaje sygnał, że nie jest tak źle, skoro są warunki do robienia ciasta. Pieczesz, bo masz powody do świętowania albo po prostu – czujesz się z weekendu. Pieczesz, gdy chcesz komuś sprawić przyjemność lub okazać troskę.

Ciastem można też troszczyć się o swój komfort psychiczny. Może lubisz zbierać pochwały za kulinarne wyczyny, czerpiesz z tego satysfakcję, poprawia to twoją samoocenę?

Najnowsza książka Rozkosznego „Nowe Rozkoszne. Polskie przepisy, które ekscytują”, jest w księgarniach numerem jeden wśród publikacji kulinarnych. To pierwsza książka kucharska w Polsce dostępna w formie audiobooka. Też ma status bestsellera. W tle słychać kuchenne odgłosy używanych naczyń. Korkosz zamieścił w książce spolszczoną wersję sernika baskijskiego – na twarogu i z polewą, która – jak mówi – kojarzy mu się z torcikiem orzechowym babci. A kilka dni temu opublikował przepis na pistacjowy sernik baskijski z sosem z białej czekolady.

Rozkoszny to przedstawiciel generacji Z, czyli osób urodzonych po 1995 r. Badacze trendów zauważyli, że zetki kochają słodczy. Mogą wybrać restaurację, kierując się tym, co serwuje na deser. Trzy na cztery osoby z generacji Z uważają, że każda wyjątkowa okazja wymaga specjalnego deseru. Połowa przynajmniej raz odpuściła klasyczny posiłek i zamiast tego zamówiła deser. Dla pokolenia Z deser jest ważną częścią ich życia społecznego, mediów społecznościowych i relacji – wynika z badania przeprowadzonego na zlecenie Hershey, amerykańskiej firmy produkującej czekoladę.

Inne badanie pokazuje, że 78 proc. ogółu konsumentów w Europie lubi wypieki, które są nową interpretacją tradycji. Ciasto, które dobrze wygląda na Instagramie i TikToku, smakuje „jak chmury”, ale wciąż jest sernikiem, spełnia te oczekiwania.

Kto i kiedy upiecze nam coś lepszego? ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34310544

## WSPRZEDAŻY

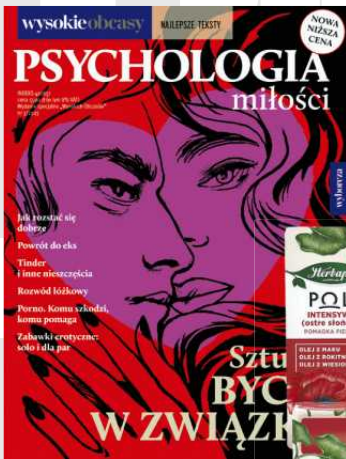
### TEMAT NUMERU

Życie we własnym tempie

**TRENDY** na wiosnę i lato 2024

### ENDOMETRIOZA

Ból to nie uroda



**PREZENT DO WYBORU\***

\*dostępny TYLKO w punktach sprzedaży



Jakubikowie

KINO DOMOWE

Z AKTORSKO-REŻYSERSKĄ RODZINĄ JAKUBIKÓW  
ROZMAWIA AGA KOZAK



FO: MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

## Kuba Jakubik: Chcę nakręcić film, w którym gramy we czwórkę. O strachu przed końcem świata. Wierzę, że w takich momentach rodziny zbliżają się do siebie jeszcze mocniej

**Z legend wynika, jesteście rodziną wyjątkową. Co jest tego „magicznym składnikiem”?**

**Arek:** Chyba nigdy nie próbowaliśmy tego nazwać. Ale faktycznie w swoim towarzystwie czujemy się świetnie.

**Agnieszka:** Żeby nie było, czasami też nie lubimy. I chyba to jest ten magiczny składnik, że są i te momenty, w których jesteśmy, ale pozwalamy sobie też na problemy, konflikty, swoje sprawy, swoje życie. To wszystko nie jest wymuszone.

**Arek:** To może ja spróbuję jakąś taką rzecz znaleźć i nazwać.

(Arek długo myśli). No i zapadła długa pauza norwidowska.

**Kuba:** Nasza rodzina jest dosyć mała i to sprawia, że u nas te wszystkie pamiętne okazje, takie jak Boże Narodzenie, Wielkanoc, urodziny itd., są spędzane w bardzo bliskim gronie i to tworzy trochę inny niż typowo polski klimat.

**Arek:** Zgadzam się z moim starszym synem. Ja nie wiem, jak ty masz Kuba, ale ja takie duże zloty, spędzy rodzinne nie do końca lubię. Czuję jakiś rodzaj dyskomfortu na weselach, chrzcinach...

**Aż się prosi skomentować, że to pokłosie grania u Smarzowskiego...**

**Arek** (śmieje się): Może. Ale myślę sobie, że my dlatego tak się kochamy, chcemy ze sobą rozmawiać i spędzać czas, bo w swoim towarzystwie czujemy się bezpiecznie. Co, myślę, jest przy wrażliwości wszystkich osób, które siedzą przy tym stole, bardzo ważną rzeczą.

**Janek:** A ja powiem też chyba w imieniu Kubu, że nam niczego nie brakowało, oprócz być może właśnie spędzenia jakiejś imprezy rodzinnej w większym gronie. Chociaż doceniam, jak ważne jest spędzanie czasu w naszym intymnym gronie, bo my po prostu siebie szanujemy i kochamy, a nawet, wbrew pozorom, jesteśmy do siebie bardzo podobni. Ja całe życie się od tego dystansowałem, a potem zrozumiałem, że to dzięki temu potrafimy się i sensownie ścierać, i absolutnie wspierać.

**Kuba:** Ja jestem impulsywny i zawsze, kiedy było coś na siłę, kiedy ktoś do czegoś zmuszał, albo te okazje rodzinne wymagały jakichś zachowań, to miałem z tym problemy, więc potrafiliśmy się wtedy bardzo kłócić.

**Agnieszka:** Poza tym święta bez jakiejś afery są stracone. Wiek nastoletni też miał swoje prawa... A ja sobie tak myślę, że to generalnie wszystko polega na tym, że jesteśmy prawdziwi i szczerzy wobec siebie. Wiem, oblani lukrem jak babka wielkanocna.

**I jest przyzwolenie na swobodną ekspresję, dobrze to rozumiem?**

**Agnieszka:** Nawet bardzo.

**Kuba:** W domu musi być introwertyk, żeby regulować nadmiar emocji.

**Arek:** U nas podział jest taki, że Janek i ja jesteśmy intro, a Agnieszka i Kuba to ekstrawertycy.

**Agnieszka:** Myślałam, że jestem intro-wertyczką!

**Arek:** Ja bym jeszcze dodał, że wbrew otwartości i energii, którą wszyscy członkowie naszej rodziny w swojej indywidualnej postaci posiadają, my nigdy nie prowadziliśmy na co dzień domu otwartego. Wiem, że może macie panowie nam to za złe. Ja ja-

koś myślę, że czasem domy otwarte to się chowają ze swoimi problemami za gośćmi. U nas zawsze byliśmy we czwórkę i wszystko trzeba było nazwać, przegadać, trzeba było się z tym zmierzyć i zaakceptować albo się nie zgodzić.

**Agnieszka:** Co nie zmienia faktu, że bardzo gości lubimy i robimy czasem jakieś fajne imprezy. Mistrzem jest Kuba, który w naszym domu rodzinnym prowadzi dom otwarty. Dzięki jego imprezom z noclegami poznaliśmy mnóstwo bardzo fajnych młodych ludzi. A u nas są głównie imprezy albo zimowe, albo letnie. Latem jest ogród, więc się spotykamy w ogrodzie, a z kolei w zimie, jak już zaczniemy w święta, to potem są Ku-by urodziny, potem jest sylwester, potem Arek ma urodziny, imieniny, potem ja mam imieniny i tak generalnie kończymy w lutym mniej więcej.

**Arek:** Ale też mamy tak, że jak coś TRZEBA świętować – jak np. sylwestra – to robimy dokładnie na odwrót. Więc spędzamy sylwestra we dwoje przy kominku.

**Kuba:** My naszą potrzebę domu otwartego spełniliśmy na studiach w Łodzi. Jak miałem 19 lat, to wprowadziłem się do mieszkania przy ulicy Struga. Gdy dostałem się na reżyserię, Janek zrezygnował ze studiów informatycznych i dostał się na aktorstwo, zamieszkał ze mną. Myśmy na tego Struga faktycznie założyli rodzaj komun-y i kilka lat takiego funkcjonowania wytrzymailiśmy. Poznaliśmy mnóstwo ludzi, którzy po prostu spali u nas, często na podłodze – z wieloma się dopasowaliśmy i zaczęliśmy pracować. Zresztą powstał nawet serial pt. „Struga”, bo nam się nudziło strasznie podczas pandemii, a szkoła nas nie potrafiła zagospodarować...

**Janek:** Ja na przykład grałem sceny przez kamerkę, co było absurdalne, od tego na niewykupionej jeszcze płatnej wersji Zoma, kolega w kulminacyjnym momencie musiał przerywać etiudę, bo kończyło się darmowe 45 minut. I tak było przez niecały pierwszy semestr.

**Kuba:** Kiedyś wchodzę do Janka do pokoju, a on „pływa” na macie na podłodze i udaje, że ma zajęcia na basenie. To zresztą było bardzo w porządku, że wuefista próbował z nimi coś zrobić... Tę naszą energię trzeba było przerobić na coś, więc nakręciliśmy serial, dostępny teraz na Youtube. Nawet mama gra w „Struga”.

**Agnieszka:** Zgadza się, leżę na katafalku. **Kuba:** Napisałem razem z moim przyjaciелеm Maćkiem Bogdańskim scenariusz o młodym chłopaku, który przychodzi na reżyserię do Łodzi i musi zmierzyć się z rodzinną traumą. Janek zagrał główną rolę, całość utrzymana jest w dosyć surrealistycznej, pandemicznej stylistyce. Nagrywaliśmy to swoim sprzętem. Po czterech odcinkach nakręconych w pandemii chcemy się zebrać jeszcze raz w czerwc-u i nakręcić kolejne dwa, już po czasie, z refleksją, co ten czas dla nas znaczył.

**Janek, a jak mówiliś, że jesteście podobni charakterologicznie, to co miałeś na myśli? Co jest w was podobne?**

**Janek:** We trzech mamy bardzo podobne głosy (śmiech). Wiesz, może nawet nie chodziło mi o charakter, tylko o pewnego rodzaju wrażliwość, sposób patrzenia na świat, może też empatię. Jesteśmy na siebie bardzo czujni. A przy okazji robimy też wspólnie rzeczy, ja robię z Kubą filmy, z tatą kilka demówek czy riffów przeistoczyło się później w piosenki Dr. Misio, dodatkowo mamy gotową całą płytę we współpracy z Olafem Deriglasoffem, która na razie leży w szufladzie, a z mamą... dobrze się dogadujemy, parę razy pracowaliśmy w dubbingu.

**Kuba:** Akurat wrażliwości na zwierzęta, np. na naszego Bazyła, ciągle się uczymy, bo myśmy nigdy nie mieli żadnego zwierzęcia. Więc nagle, kiedy pojawiła się nowa osoba w domu, to było niesamowite prze-moc się wobec czegoś, co żyje i nie mówi, a ja akurat zawsze się bałem psów! Wracając do istot mówiących – my mamy dziwną potrzebę bliskości. Młodzi ludzie nie chcą raczej spędzać czasu ze starymi, choć to

też ostatnio się zmienia, rozmawiam o tym z przyjaciółmi.

**Ja z moimi rodzicami, którzy są super-ciekawi świata, mam nieustającą giełdę kultury: filmy, seriale, książki, muzyka...**

**Agnieszka:** My też mnóstwo rzeczy sobie polecamy – filmów, książek, muzyki. Chodzimy razem do teatru, do kina – w różnych konfiguracjach. Janek jeszcze jest w Łodzi, ale Kuba mieszka cztery ulice od nas i ma klucze do domu. W związku z tym wpada tutaj niespodziewanie, o różnych porach. Myślę, że my bardzo dużo korzystamy z siebie.

**Kuba:** Dużo rzeczy robimy razem. Tata, jak byłem młodszy, powiedziałeś mi coś ważnego: że tak naprawdę nie można zrobić filmu o czymś bez przeżycia czegoś, bez nabrania doświadczenia, bo to się potem w filmie czuje. A my robimy razem taki rodzaj dziwnego kina rodzinnego, które załamuje granicę między dokumentem a fabułą, bo nie wiadomo już co jest prawdą, co nie... Bardzo mocno przeżyliśmy śmierć babci Basi, mamy taty. Na podstawie tego doświadczenia postanowiłem zrobić swój ostatni film „Lament No. 1”. Zagrał Janek, mama i nawet tata głosem z telefonu. Film miał premierę na Festiwalu Camerimage w Bydgoszczy. W kolejnym filmie chciałbym pójść jeszcze dalej. Wykorzystać nasze materiały archiwalne i zrobić film, w którym gramy we czwórkę. Tematu szukam w strachu przed końcem świata, który tak mocno zaczął towarzyszyć nam po wybuchu wojny. Wierzę, że w takich momentach rodziny zbliżają się do siebie jeszcze mocniej.

**Macie rozbieżne gusta czy raczej spójne? Zrobiliśmy serial „Struga”, bo nam się nudziło strasznie podczas pandemii, nawet mama w nim gra. – Zgadza się, leżę na katafalku**

**Macie rozbieżne gusta czy raczej spójne?**

**Arek:** Teraz panowie mają już swoje życie, już się nie spotykamy, żeby przez trzy dni oglądać razem jakiś serial. Choć jakimś pewnie gustem w domu kiedyś nasiąknęli podczas wspólnego oglądania filmów czy słuchania muzyki. Ja to powiem ci, że nieustannie prowadzę rodzicielski mobbing i oni chyba już nie mogą słuchać tych moich pytań: „Kiedy wracasz do Warszawy? A kiedy masz wolny dzień? A kiedy możemy pójść na squasha albo do kina?” – o każdą taką chwilę, którą możemy spędzić razem, walczę do ostatniej kropli krwi.

**Agnieszka:** No ale za każdym razem, jak się spotykamy wszyscy w domu albo w jakichś podgrupach, to są dyskusje do 1-2 w nocy. Kłócenie się o filmy, rozmawianie o scenariuszach, o tym, w czym Janek gra, co Kuba kombinuje...

**Arek:** DNA nie da się oszukać. Kuba skończył scenariopisarstwo, kończy reżyserię. Janek jest na ostatnim roku wydziału aktorskiego. No więc o czym innym my mamy rozmawiać?

**Agnieszka:** Aktorzy mówią często w wywiadach, że nie przynoszą pracy do domu. Nie wierzę w to. Tak naprawdę nasza praca non stop się mieli w człowieku i trzeba się z kimś skonfrontować, podzielić jakimś pomysłem...

**No dobra, ale zgadzacie się czasem?**

**Kuba:** Często się nie zgadzamy, bo mamy jednak zupełnie inne gusta. Nasze z Jankiem podejście do kina jest inne niż rodziców. Ale szanujemy swoje zdanie do takiego stopnia, że z tatą często konsultujemy nawzajem sobie scenariusze: tata mi wysyła swoje rzeczy, ja odsyłam mu uwagi i odwrotnie. Często te uwagi są hardcorowe, potrafimy się o nie pokłócić. Dobrze, że się nie

zgadzamy, bo ludzie, którzy zgadzają się ze sobą non stop, są nudni.

**Agnieszka** (śmieje się): No tak, to my jesteśmy bardzo ciekawi.

**Arek:** Ja pamiętam, jak Janek po maturze zdał na informatykę. I nie za bardzo było o czym pogadać... Mieliliśmy rozmawiać o jego całkach i różniczkach, czy o rachunku prawdopodobieństwa?

**Janek:** Żyłem w trochę innym świecie, faktycznie.

**Arek:** Janek w klasie maturalnej powiedział, że nie interesują go te nasze artystyczne fanaberie. Długo nie wytrzymał.

**Janek:** Zachowałem jednak w tym szaleństwie cząstkę swojego umysłu analitycznego. Wydaje mi się, że to może być przydatne w pracy aktora. Ja mam być może trochę nawet przerąbane przez to, że po prostu bardzo dużo rzeczy rozkładał sobie na części pierwsze i oceniam siebie, zamiast po prostu w nie wejść absolutnie na całego.

**Agnieszka:** Arek taki jest: konkret, precyzja i plan. Chłopcy wzięli z nas bardzo różne cechy – są takim naszym miszmaszem. Bo my z Arkiem jesteśmy bardzo różnymi osobami.

**Arek:** To fakt, my z Agnieszką jesteśmy totalnymi przeciwieństwami. W każdym aspekcie. Ale zgodnie z prawami fizyki przeciwieństwa się przyciągają. Nasze się znoszą, kiedy chodzi o synków – zawsze wtedy jesteśmy z Agnieszką jednością i mówimy jednym głosem. Chowamy swoje bieguny najgłębiej, jak tylko i gdzie tylko można. Różnica między nami polega między innymi na tym, że ja nie przerywam...

**Agnieszka:** ...a ja przerywam...

**Arek:** ...tylko czekam na koniec zdania rozmówcy.

**Agnieszka:** Ja w tym towarzystwie jestem ta spontaniczna: działam i żyję wrażeniowo. I zadaniowo – co się wcale nie wyklucza. No i kocham książki i nie wyobrażam sobie bez nich życia, funkcjonuję z książką przyklejoną do ręki. Kuba czytał bardzo dużo, od samego początku, za to bardzo ubolewałam nad tym, że Janek, wkręcony w gry komputerowe, nie przepadał za książkami. Na szczęście czytanie, i to dobrej literatury, odkrył kilka lat temu.

**Janek:** Musiałem do tego dojrzeć.

**A czy wy nie jesteście przypadkiem rodziną, która po prostu lubi narracje? Przecież i filmy, i nawet gry to w końcu narracje.**

**Janek:** Ja akurat grałem w FIFĘ i tata, który niby był przeciwko mojemu graniu, jest najbardziej niepokieszony, że on sam nie może już w nią grać, bo zabrałem playstation do Łodzi...

**Arek:** No jestem. Ale wolę grać z tobą niż samemu. Chociaż zawsze dostaję baty.

**Kuba:** A ja to w ogóle nie chciałem iść na żadne scenopisarstwo ani reżyserię, zawsze byłem zafascynowany historią: w rodzinie zawsze się śmiano, że mam najlepszą pamięć.

**Agnieszka:** Straszna ta Kubu pamięć do wszystkiego...

**Kuba:** ...bo wszystko mogę wytknąć, mogę sobie przypomnieć każdą najgorszą i najlepszą sytuację... Ale ponieważ zawód historyka jest w Polsce obarczony taką trudną nutą zaangażowania politycznego i braku obiektywności, a ja jednocześnie zawsze pisałem... Na przykład mogłem napisać opowiadanie, żeby skrócić karę za palenie papierosów

**Arek:** Dlatego tak dużo paliłeś, żeby pisać (śmiech).

**Kuba:** – Generalnie ta rodzina jest trochę taką rodziną włoską i faktycznie rodziną narracyjną. Choć my nie zmyślamy, nie kłamiemy, mówimy zawsze prawdę.

**Arek:** Tyle tylko, że każdy u nas ma swoją prawdę i tej prawdy broni do samego końca.

**Kuba:** Ja na przykład rozumiałem leki taty przed tym, żebyśmy nie poszli w ślady rodziców. Funkcjonuje jakiś rodzaj stereotypu, że jest to zawód łatwy, nepotyczny. Tymczasem on jest trudny: trzeba być w nim bardzo skupionym. Niekiedy jest bar-

dzo niesprawiedliwy. Bardzo mało się śpi, pracę przenosi się zawsze do domu. Właściwie ciągle się jest w pracy.

**Janek:** Nam, aktorom szkoła tworzy taką bańkę i jak się w niej jest – jest przyjemnie, a jak się wychodzi i nic się nie dzieje, nie ma ról, pracy, szumu, to nie potrafimy się w tym odnaleźć. Mam nadzieję, że się w tym jakoś odnajdę, a jak nie, to mam przygotowane plany awaryjne. Na razie chciałbym poeksplorować też drugą ścieżkę – robienia muzyki, także do spektakli i filmów. Ostatnio udało mi się spełnić swoje małe marzenie i stworzyłem większość oprawy muzycznej do naszego spektaklu dyplomowego „Hamlet” w reżyserii Maćka Gorczyńskiego, gdzie swoją drogą każdy z nas grał Hamleta. Niesamowicie, jak muzyka potrafi współgrać z aktorem na scenie, jak silnym potrafi być kanałem transmisyjnym, czasami nawet lepszym niż aktor. Absolutnie nie mam tak, że aktorstwo to cały mój świat i nie potrafię nic innego robić. Choć przyznaję, że jak zdawałem na tę informatykę, to różne miałem poglądy na temat aktorstwa. Miałem poczucie, że robiąc „coś konkretnego”, przydam się na coś, że będę miał konkretną, namacalną pracę, która daje jakiś efekt, zmienia świat. To poczucie się zmieniło: aktorzy niosą w sobie ważny ładunek emocjonalny, wrażliwość – to też jest potrzebne światu, teraz może nawet bardziej niż kiedykolwiek. Ludzie chcą słuchać historii, chcą je oglądać i przeżywać. W dobie wszechobecnego przebodźcowania i bylejakości kontakt z drugim człowiekiem niebawem będzie bezcenny.

**Kuba:** Ale też myśmy mieli – à propos naszych zawodów – jakieś poszerzone horyzonty, bo wyście nas przecież odganiaли od ról, ścianek, wywiadów. Dla nas było ważne, żeby samemu zasłużyć na swoją rozpoznawalność, mieć swoją drogę. Nie być „z klanu Jakubików”.

**Agnieszka:** Chłopcy nie byli wychowywani w garderobie teatralnej ani na planie filmowym. To nie jest miejsce dla dzieci. Raz w życiu zagraли w serialu.

**Arek:** I bardzo im się nie podobało.

**Agnieszka:** Na początku bardzo chcieli. To był „Szatan z siódmej klasy” i mieli 26 dni zdjęciowych – dużo! Nie zapomnę, jak po zdjęciach przywiózł ich tutaj bus. Kuba biegł przez ogród i krzyczał: „Nareszcie koniec tego koszmaru!”.

**Bazyli chyba chce nam coś powiedzieć, bo tu tak oczekuje.**

**Arek:** Bazyli za to od najmłodszych lat uwielbia kamerę. On akurat został wychowany w duchu showbiznesu, prawda, pie-sku?



**Agnieszka mówi, że nie jest głową tej rodziny, lecz szyją – to prawda?**

**Kuba:** Mam wrażenie, że takie podziały, kto tu jest przywódcą, kto z kim trzyma – w ogóle nas nie dotyczą, bo to się przetasowuje, zazwyczaj w momentach, w których ktoś potrzebuje wsparcia. Jak ty, tato, miałeś doła, to – mam wrażenie – byliśmy jakoś przy tobie.

**Arek:** Wtedy jak odeszła moja, mama to chyba wszyscy mieliśmy doła, synku.

**Kuba:** Ja zawsze byłem przeciwko rządowi twardej ręki – twarda ręka i szacunek nie mają ze sobą dużo wspólnego.

**Arek:** Mam wrażenie graniczące z pewnością, że przestrzeni, wolności dostaliście bardzo dużo.

**Agnieszko, oni zawsze tak dużo gadają? To bardzo intensywne!**

**Agnieszka:** Wiesz, aktor jest uzależniony – czasami myślę, że niestety – od innych ludzi, i to w sposób znaczny. Ja na przykład zawsze zazdrościłam malarzom, grafikom, tkaczom – że mogą tworzyć indywidualnie, w samotności, niezależnie. Choć oczywiście potem muszą wyjść do ludzi i to sprzedać. A aktor jest tak naprawdę tylko trybikiem w większej maszynie.

**I nie masz takiego lęku, „co to będzie z tymi moimi chłopakami?”**

**Agnieszka:** Mam... Ale bardziej ze względów politycznych i geopolitycznych. Mniej ze względów zawodowych – bo wiem, jak są otwarci, pracowici, ludzie lubią z nimi pracować. To jest bardzo cenne w tym zawodzie i dlatego głęboko wierzę, że przetrwają, nawet mimo tego, że być może takie zawody jak nasz zaczynają wydawać się zbędne, choćby przy ekspansji sztucznej inteligencji.

**Kuba:** Ktoś musi pisać AI dobre prompty.

**Agnieszka:** Słuchajcie, ja naprawdę głęboko wierzę, że sobie poradzicie. Myślę, że ludzkość się trochę opamięta i stwierdzi, że właśnie dobre historie, kultura może człowieka uratować.

**A jak tak chłopaków nie ma, to...**

**Agnieszka:** ...miej się z Arkiem ze sobą nie nudzimy.

**Arek:** Święte słowa!

**Agnieszka:** Dla mnie to jest podstawa, że śmiejemy się z tego samego. Jak ludzie nie mają tego samego poczucia humoru, to nie ma co zbierać. I w pracy, i w życiu. Ostatnio śmialiśmy się strasznie, jak byliśmy w Łodzi w szpitalu u mojej mamy po jej operacji i ona w delirium narcozowym, tak to się nazywa, opowiadała, że córka jest aktorką, zięć ukochany aktorem, starszy wnuczek reżyserem, młodszy kończy tutaj szkołę teatralną, a ona jest dentystką. I panie pielęgniarki myślały, że mama tak sobie zmyśla. Ale jak mama zapytała, czy my jesteśmy prawdziwi, to kazalam Arkowi zdjąć maseczkę i czepek. I na to wleciała asystentka anestezjologa i na cały oddział wrzasnęła: „Ja pier... To naprawdę pan?!?” No, kino za darmo.

**Arek:** Agnieszka mówiła o tych malarzach i tkaczach, i choć nasza rodzina ma dwie lewe ręce w dziedzinie sztuk plastycznych, to moim marzeniem jest, że jak będziemy już na emeryturze, to sobie sprawimy dwie sztalugi i nad piękną, pobliską rzeką Jezioroką będziemy malować nasze bohomazy.

**Agnieszka:** Ale ja nie wyrażałam żadnych takich potrzeb! Ja będę w hamaku czytać, a ty będziesz sobie malował. Ale to jest symptomatyczne, ta rozbieżność. Kiedyś mieliśmy wywiad z Arkadiuszem do pewnego czasopisma, który to polegał na odpowiedzi na te same pytania. No i czytam w tej gazecie nasze zdania... Dygresja: my od dwudziestu kilku lat jeżdżymy na wakacje do tej samej miejscowości Poddąbie – między Ustką a Rowami – gdzie pojechaliśmy pierwszy raz, jak Jasiiek miał rok, i po prostu uwielbiamy to miejsce. Więc na pytanie: „Gdzie Agnieszka najchętniej pojechałaby na wakacje?”, Arkadiusz odpowiada: „Oczywiście do Poddąbia.” A Agnieszka odpowiada: „Oczywiście do Tokio.” To jest ciągle moje wielkie, niespełnione marzenie.

**Arek:** Ale mamy kilka filmów dokumentalnych, reportaży o Japonii, o Tokio, myślę, że trzeba będzie zorganizować jakąś kolację przy kominku i obejrzeć to Tokio na ekranie.

**Agnieszka:** Ja cały czas wierzę, że nam się uda wreszcie ustalić jakiś termin i polecimy wszyscy razem.

**Kuba:** To może też się uda wreszcie ustalić nam wszystkim jakiś termin na zdjęcia do mojego filmu o końcu świata? ●

## Jakub Jakubik

• rocznik 1997, absolwent scenariopisarstwa, studiuje reżyserię w Szkole Filmowej w Łodzi. Jego krótkometrażowa fabuła „Lament No. 1” miała premierę w konkursie festiwalu Energa-CAMERIMAGE 2023. Jego filmy pokazywano na Festiwalu Debiutów Filmowych „Młodzi i Film” w Koszalinie, Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni czy Filmfest Dresden. Wyłamał się z rodziny aktorskiej, nigdy nie lubił stania przed kamerą, zjadała go trema. Najpierw pisał scenariusze, jednak jego ADHD sprawiło, że trafił na reżyserię.

## Jan Jakubik

• rocznik 2000, student roku dyplomowego Wydziału Aktorskiego Szkoły Filmowej w Łodzi. Rodzinna kłątwa filmu i teatru dopadła go, mimo że robił wszystko, żeby wyłamać się z klanu: klasa mat.-fiz., olimpiady matematyczne, pierwszy rok informatyki na Politechnice Warszawskiej, wada kręgosłupa od siedzenia przed kompem. Zapalony wspinacz, były półprofesjonalny piłkarz, miłości do piłki nie odebrał mu nawet Bartłomiej Topa, który podczas rodzinnych rozgrywek złamał mu nogę.

## Arkadiusz Jakubik

• rocznik 1969, aktor, reżyser, muzyk. Absolwent PWST, jeden z ulubionych aktorów Wojciecha Smarzowskiego – grał w „Weselu”, „Domu złym” i „Drogówce”. Teraz oglądamy go w serialu Netflixa „Informacja zwrotna”. Śpiewa teksty Krzysztofa Vargi i Marcina Świetlickiego w swoim zespole Dr Misio.

## Agnieszka Matysiak

• rocznik 1965, aktorka, reżyserka dubbingu. Absolwentka PWST, współpracowała z kabe-retami Elita i Studio 202, w latach 90. można ją było oglądać na deskach m.in. Operetki Wrocławskiej, Teatru Polskiego we Wrocławiu, warszawskich teatrów Roma, Rampa i Off. To jej zawdzięczamy dubbing m.in. serii o Harrym Potterze, „Epoki lodowcowej 2” czy „Ekspresu polarnego”.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KRAJ/34295976

## PRZEWODNIK PO CYFROWYM ŚWIECIE, W KTÓRYM ŻYJĄ NASZE DZIECI



Rzecz, która ułatwia rozmowę.

**JUSTYNA SUCHECKA, DZIENNIKARKA**

W sumie to nie tylko o dzieciach,  
to chyba o nas wszystkich.

**JOWITA MICHALSKA, DIGITAL UNIVERSITY**

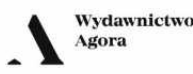


**KAROL JACHYMEK,**  
medioznawca  
i wykładowca  
Uniwersytetu SWPS,  
od lat analizuje świat  
kultury cyfrowej  
i zachowania  
młodych w sieci.  
„Z nosem  
w smartfonie”  
z wiedzą praktyką,  
humorem i empatią  
rozbraja zagrożenia,  
które niosą nowe  
technologie.  
Nie straszy,  
a w przystępny  
sposób edukuje.

PATRONI  
MEDIALNI:



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP PL  
WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**



# Wierzę w płonące krzaki i gadające węże

Wiara wcale nie jest dla słabych i nieradzących sobie z rzeczywistością



Marcin Matczak

Julia nie czyta już nawet streszczeń. Jeden akapit i do widzenia”, alarmistycznie donosi „Newsweek”. Z tego wynika, że Julia czyta streszczenie streszczenia i w ten sposób udowadnia, że dzisiaj nikt już nie ma czasu na całość. Znajdujemy kawałek, który nam coś większego zastępuje i wtedy całość staje się już niepotrzebna. Świat nam się gwałtownie sfragmentaryzował. Coraz częściej mniej symbolizuje jeszcze mniej, zamiast więcej.

To pokawałkowanie świata najlepiej widać na internetowej rolce. Zmęczeni życiem, które się ciągnie jak „Wojna i pokój”, przeżywamy minihistorie, które są o wiele bardziej ekscytujące. Rolkę internetową wypełniają ostatnio fragmenty długometrażowych filmów, co potwierdza obawę „Newsweeka”. Tendencja zauważona u Julii postępuje: jeśli film jest streszczeniem czyjegoś życia, jego fragment na rolce to streszczenie streszczenia. O ileż ono lepsze od całości!

Typowy fragment rolkowego filmu to krótka historia „od zera do bohatera” – ktoś zaczepia chudziela w szkolnej stołówce, a ten się okazuje mistrzem taekwondo i spuszcza manto zabijające, wyższemu od chudziela o dwie głowy. Dziewczynka nie odpowiada na proste pytania matematyczne i już wszyscy myślą, że głupia jak but, a ona okazuje się matematycznym geniuszem, któremu prostego dodawania nawet nie chce się wykonywać. Słabość okazuje się siłą, niepozorność okazuje się ostatecznie spektakularna.

Podobnie jest z udawanymi dokumentami – Anatoly, zaskakująco szczupły mistrz podnoszenia ciężarów, przebiera się za sprzątacza w siłowni, wkłada skarpety do sandałów i ośmiesza muskularnych maczo, podnosząc jedną ręką to, czego oni nie mogą dźwignąć dwiema. Odpowiednio ucharakteryzowany Cristiano Ronaldo udaje staroego, brodatego wujka z nadwagą i zaprasza ludzi na ulicy do gry „jeden na jeden”. Wszyscy go olewają, ale młody chłopak przyjmuje wyzwanie. Po zakończonej gierce Cristiano się ujawnia i młody wygrywa życie – dostaje piłkę z autografem i oczywiście selfie, bo wiadomo, że jak nie ma zdjęcia, to rzecz się nie zdarzyła. W jednej chwili awansował z czyścica codzienności do nieba.

Któż z nas nie marzył, aby coś takiego mu się przytrafiło. Żeby nasza zwyczajność okazała się nadzwyczajna, żeby oliwa wreszcie była sprawiedliwa, i żeby nam się wreszcie uklonili ci, co wcześniej palcem wyrażali.

Krótki, wyreżyserowany film daje uludę sukcesu i spełnienia – jest współczesnym opium ludu, pozwalającym na chwilę przestać cierpieć z powodu kontaktu z rzeczywistością, której ani wyreżyserować, ani wyedytować się nie da. Ale tak jak streszczenie streszczenia oszukuje, że poznało

się głębiej książki, tak oszukują te krótkie filmiki. Dają wirtualne poczucie, że odnalazło się jakiś sens, a są jak kable podłączone do mózgu przez wielką maszynę sterującą ludzką świadomością w „Matriksie”. Pokazują uładzony świat, który oszukuje, nie ten, który istnieje naprawdę. Pompują do naszych głów wizję tyle przyjemną, co fałszywą która – konsumowana odpowiednio długo – czyni życie, jakim ono rzeczywiście jest, nie do zniesienia.

Jeśli jednak te krótkie historie z internetowej rolki są nowym opium ludu, co z tym starym opium? To pytanie warto postawić w Wielkim Tygodniu, który dla chrześcijan jest czasem religijnie ważnym, także dlatego, że to czas opowiadania i przeżywania dawnych historii. Wbrew krytykom, którzy uważają, że wiara jest dla słabych i nieradzących sobie z rzeczywistością, religia nie opowiada jednak tak, by łatwo ukoić, a raczej wprost przeciwnie. I to jest ciekawe.

W pewnym sensie historia Wielkiego Piątku jest historią przeciwną do historii znanej z internetowych rolek – jest historią „od bohatera do zera”. Jezus nie udaje

W tym sensie prawdziwa i psychologicznie realna jest historia Pilata, który mówi „com napisał, napisałem”, bo w żaden inny, bezpieczny politycznie sposób nie jest w stanie wyrazić tego, czego doświadczył w czasie rozmowy z Jezusem. I choć Bulharkow mówi ustami Jezusy Ha-Nocri „chodzi za mną taki jeden z kozim pergaminem i bez przerwy pisze. Ale kiedyś zajrzałem mu do tego pergaminu i strach mnie zdjął. Nie mówiłem dosłownie nic z tego, co tam zostało zapisane”, nie o prawdę rejestratora tu chodzi, ale o prawdę o naturze człowieka, której samo wierne zapisanie zachowań i słów nie wystarczy. O tę dziwną prawdę, która wzburza, kiedy kłamstwo uspokaja. Bo mówi Pilat w „Mistrzu i Małgorzacie”: „Czemuś, włóczęgo, wzburzał umysły ludu na targowisku opowieściami o prawdzie, o której ty sam nie masz pojęcia? Cóż więc jest prawdą?”

Głęboka i prawdziwa psychologicznie jest historia św. Piotra i jego trzech zrad. Przy okazji dowodzi, że świętość to nie ideałność, ale zdolność do powstawania. I że ci, którzy już upadli, ale idą dalej, są bardziej godni zaufania niż ci, którym upadek się jeszcze nie przydarzył, a tym samym nie

lec w szkolnej stołówce, jak przebrany Cristiano Ronaldo, jak Anatoly w swoich skarpetach i sandałach. Jak oni i jak Harry Potter, ostatecznie pokazuje swoją prawdziwą twarz, bo przecież te historie są historiami jednego bohatera o tysiącu twarzy. Ale nieedytowane cierpienie, słabość, kłamstwo i zdrada odgrywają w historii Wielkiego Tygodnia nie poboczną, ale główną rolę. I może dlatego ta opowieść jest hiperprawdziwa.

Jeśli dawne księgi są hiperprawdziwym streszczeniem życia, Triduum Paschalne jest dla chrześcijan takim streszczeniem streszczenia, które pokazuje całość. I to streszczenie, i inne dawne historie, są wyśmiewane przez niby-inteligentów. Ci z wyższością mówią, że nie wierzą w płonące krzaki i gadające węże, choć chętnie sięgają po matriksowe internetowe rolki, w których znajdują ukojenie.

Gdyby tylko byli zdolni w swojej pewności siebie zinterpretować płonący krzak jako symbol łączący uporządkowaną strukturę (drzewo) z chaosem (ogień), który powinien ją zniszczyć, a nie niszczy. Gdyby potrafili zobaczyć w historii o kuszeniu

## Jezus nie nadaje się na TikToka.

## Nie udaje słabego, chudego, niezdarnego, by nagle powiedzieć „tadam!”, zrzucić przebranie i wręczyć wszystkim nagrodę z autografem

słabego, chudego, niezdarnego, by potem powiedzieć „tadam!”, zrzucić przebranie i wręczyć wszystkim, którzy jednak zdecydowali się z nim zagrać w grę, nagrodę z autografem.

Raczej przeciwnie – historie biblijne pokazują go jako mistrza i cudotwórcę, przywódcę i lidera nowego ruchu społecznego, który w decydującym momencie traci swoje supermoce. Tam, gdzie bohaterowie internetowej rolki zrzucają przebranie i pokazują, kim są naprawdę, bohater chrześcijańskiego Wielkiego Tygodnia przestaje dawać radę i zawodzi na całej linii. „Innych wybawiał, siebie niech wybawi” kpi ówczesny obserwator. Jezus jednak to nie Batman ani Denzel Washington, który zawsze wyrównuje rachunki, czy to z włoską, czy to z rosyjską mafią. Bo z mafią faryzejską sromotnie przegrywa.

Jordan Peterson mówi, że historie biblijne, wbrew kpinom niby-inteligentów, nie są uładzone czy edytowane. Są realistyczne i przerażające i choć wiele z nich nigdy się nie zdarzyło, są hiperprawdziwe – mówią więcej o naturze człowieka niż niejeden dokument. Są hiperprawdziwe w podobny sposób, jak „Tristan i Izolda”, „Proces” czy „Król Lear”. Nie w fotograficznym czy historycznym sensie tego słowa, ale dlatego, że przekazują jakąś prawdę o człowieku. Co bowiem oddaje więcej prawdy o nas samych: dwudziestoczworogodzinne nagranie z reality show w stylu „Wielkiego Brata”, rejestrujące zachowania realnych osób w realnym domu czy „Bracia Karamazow” – opowieść o ludziach, którzy nigdy nie istnieli?

wiadomo, czy będą potrafili się podnieść, gdy przyjdzie co do czego.

Nieedytowana i przerażająca jest wreszcie historia tego, który Jezusa zdradził. Pisze Borges w „Trzech wersjach Judasza”, że ta zdrada była absolutnie zbędna. Judasz nie musiał wystawiać strażom kogoś, kogo wszyscy znali, bo codziennie nauczał tłumy. Według Borgesa niegodne jest także założenie, że Judasz zrobił to, co zrobił, z chciwości – to pobudka zbyt podła jak na kogoś, kto uzdrawiał chorych. Judasz zdradził, bo chciał być ascetą absolutnym, nie tylko umartwić ciało, ale umartwić ducha – „zrezygnował z honoru, dobra, pokoju, królestwa niebieskiego, jak inni, mniej heroicznie, rezygnują z przyjemności”.

Pisze Borges że „cudzołóstwo ma w sobie coś z czułości i samozaparcia; zabójstwo z odwagi; świętokradztwo i bluźnierstwo z jakiegoś szatańskiego błysku. Judasz wybrał takie winy, w których nie uczestniczy żadna cnota: nadużycie zaufania (Jan, XII, 6) i denuncjatorstwo”.

W całej historii Wielkiego Piątku jest więcej antybohaterów niż bohaterów. Judasz zdradza, Piotr wypiera się, Pilat tchórzy, Jezus odmawia (a może nie potrafi?) dokonać spektakularnego cudu. Dlaczego ta historia, która w wymiarze ziemskim jest jedną wielką katastrofą, ma taką siłę oddziaływania? Można zrozumieć, dlaczego pociąga „Harry Potter”, który z sieroty, fajtlapy i okularnika robi wielkiego maga. Ale to?

Oczywiście chrześcijanie wierzą, że ta katastrofa kończy się pięknie. I że na jakimś poziomie Jezus jest jak ten chudzie-

lec przez węża alegorię momentu, w którym człowiek gdzieś w mrokach ewolucji zyskał samoświadomość i w ten sposób zrozumiał, że umrze, co stało się przyczyną jego cierpienia. Gdyby w święcie Paschy zobaczyli bogatą w treść metaforę wyrwania się z tyranii rzeczywistej i symbolicznej, zewnętrznej i wewnętrznej, może dałoby się o tych historiach porozmawiać poważniej.

Ale na razie mamy modę na kpinę z historii dawnych, bo to przecież opium ludu. A kpią z nich ci, którzy z lubością zaciągają się opium nowym, nie dostrzegając, jak ich znieczula na rzeczywistość. Może w tę Wielkanoc czas na historie bez znieczulenia? ●

**„Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?”** – pyta nasz felietonista w **„Kraju, w którym umrę”**. Nowa książka Marcina Matczaka już dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl. A poprzednia – **„Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości”** – nadal w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl

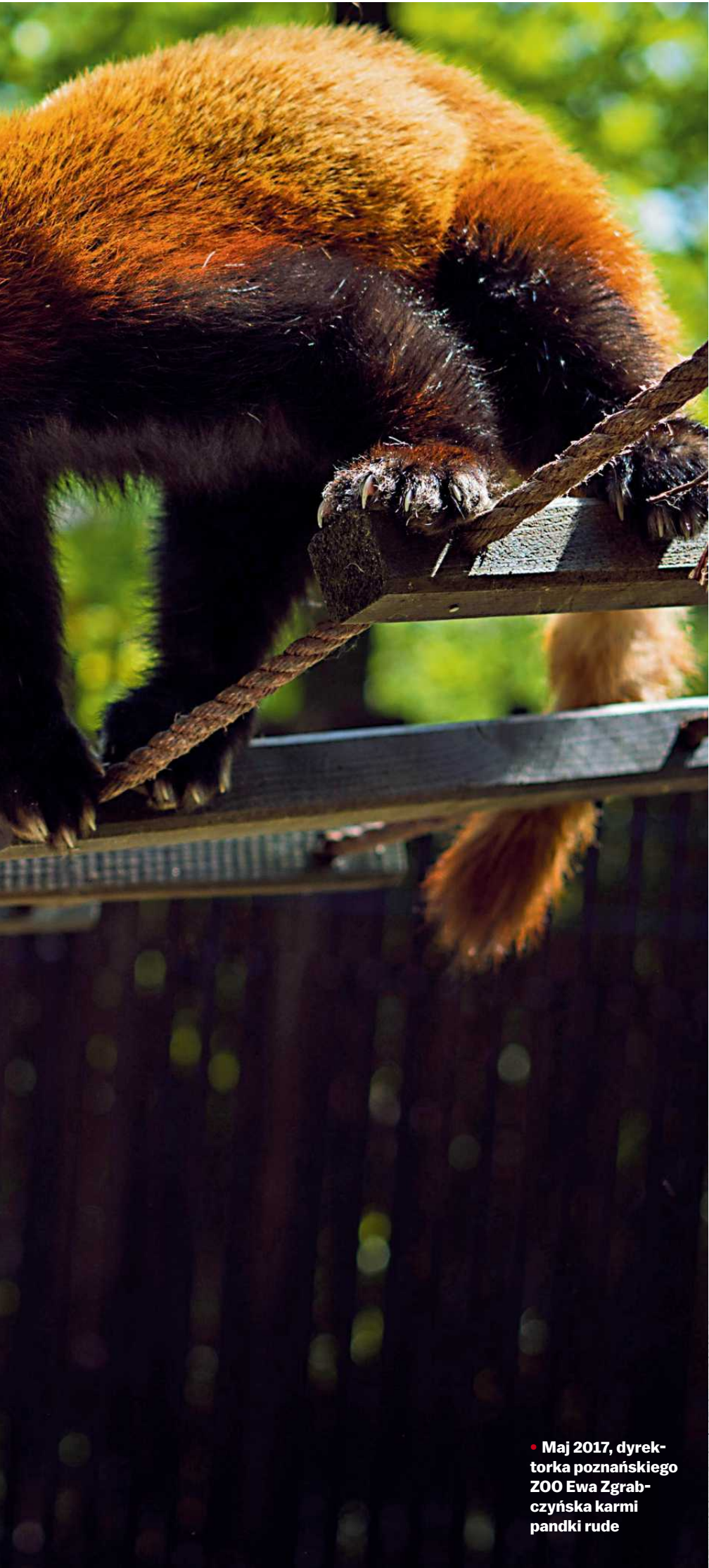


# DEPRESJA KROKODYLA



## Wczoraj zapraszali ją do Parlamentu, dziś wykręcają ręce do tyłu i zakładają kajdanki. Historia Ewy Zgrabczyńskiej, dyrektorki poznańskiego zoo

Michał Matys



• Maj 2017, dyrektorka poznańskiego ZOO Ewa Zgrabczyńska karmi pandki rude

FOT. LUKASZ OYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

**P**rzez osiem lat przedstawiano Ewę Zgrabczyńską jako nieskalaną bohaterkę ratującą krzywdzone zwierzęta. Teraz wiele osób prześciga się w doniesieniach, co złego zrobiła, oraz że sama krzywdziła ludzi i zwierzęta. To budzi mój niesmak. Kiedy w serwisie Onet.pl ukazał się tekst krytyczny wobec Zgrabczyńskiej, napisałem w jej obronie list do redakcji oraz do prezydenta Poznania Jacka Jaśkowiaka. Teraz chcę opisać, kim jest Ewa Zgrabczyńska, jakie błędy popełniła i skąd wzięły się oskarżenia. Sąd rozstrzygnie, czy jest winna.

• Musisz uciekać. Twoje życie jest najważniejsze. Ratuj je! Nie możesz zginąć ... – głos Ewy Zgrabczyńskiej załamuje się. Rozmawia z Natalią Popową, Ukrainką, która próbuje wywieźć zwierzęta, w tym lwy i tygrysy, z azylu pod Kijowem.

28 lutego 2022 r., noc. Czwarty dzień inwazji Rosji na Ukrainę. Przejście graniczne z Ukrainą w Korczowej.

Zgrabczyńska, dyrektorka poznańskiego zoo, czeka ze współpracownikami na zwierzęta z Ukrainy. Nagle dzwoni Popowa. Rosjanie podeszli pod Kijów, pod sam azyl. Udało jej się zapakować zwierzęta, ale ciężarówka zatrzymała się 80 metrów od linii rosyjskich czołgów. Popowa nie wie, co robić, wie tylko, że nie opuści swoich zwierząt.

– Kierowca uciekł. A ona nie chce wyjść z tego samochodu – przekazuje Zgrabczyńska współpracownikom. Poruszona nie może dokończyć zdania, bo Popowa zadzwoniła, aby się pożegnać.

■  
*„Nie trawię ogrodów zoologicznych w starym stylu. To miejsce, w którym ku uciesze gawiedzi zwierzę powinno być widoczne cały czas ze wszystkich stron”*

Ogród Zoologiczny w Poznaniu był jedynym polskim ogrodem, który zaangażował się w ewakuację zwierząt z Ukrainy. Wtedy poznałem Ewę Zgrabczyńską. Towarzyszyłem jej z ekipą filmową, realizując serial o ludziach poświęcających się dla zwierząt.

### Kajdanki

4 marca 2024 r., godz. 14.00. Wieś 30 km od Poznania. Gospodarstwo, w którym Ewa Zgrabczyńska urządziła własny azyl dla zwierząt.

Akurat sprząta łopatą kupy z zagród szopów, gdy podjeżdża kilka nieoznakowanych policyjnych aut. Nieumundurowani funkcjonariusze wchodzi na teren gospodarstwa. Nie pozwalają Zgrabczyńskiej zmienić brudnego roboczego ubrania, zabrać okularów, ani nawet zamknąć szczeniaków wypuszczonych na podwórkę. Wykręcają jej ręce do tyłu i zakładają kajdanki.

### Czołgi na lwy i tygrysy

3 marca 2022 r., przejście graniczne w Korczowej. Zgrabczyńska wciąż czeka. Dostała wiadomość: „Stał się cud! Rosyjskie czołgi przejechały obok ciężarówki ze zwierzętami!”. Natalia żyje, wróciła do azylu pod Kijowem. Ale znalazła nowego kierowcę. Ciężarówka z lwami i tygrysami jedzie na granicę.

Po trzech dniach dociera na przejście. Jest noc, minus 7 stopni Celsjusza. Pracownicy zoo przeladowują zwierzęta do busów, którymi pojadą do Poznania. Uwijają się jak w ukropie. Sprawiają wrażenie zgranej ekipy. Między nimi Zgrabczyńska – w roboczej kurtce, czapce naciągniętej na uszy, z plastikowej butelki ostrożnie poi tygrysa – wystarczy chwila nieuwagi, aby stracić rękę.

kę. Wszystkie zwierzęta dostają po kawałku mięsa. – Po 100 gramów – instruuje Zgrabczyńska.

Lwy i tygrysy zamknięte w klatkach miotają się i ryczą. Karakal – stepowy, dziki kot, syczy. W klatce obok widać przerażone oczy małpki kapucynki, a w pojemniku w kąciку domową kotkę Natalii – Patrysię.

W końcu trafiają do busów. Konwój ma do Poznania 700 km. Im szybciej dotrze, tym większa szansa, że wszystkie zwierzęta przeżyją. Przeżyły wszystkie.

Natalię Popową spotkam w sierpniu 2022 r. Przyjedzie do Poznania, prowadząc ciężarówkę z lwami i tygrysami wyciągniętymi spod ostrzału w Charkowie i Doniecku. Krępa, krótko obcięta kobieta przedstawi się: – Mówią o mnie „Wariatka, co lwy ratuje”. Robię to, bo człowiek może o siebie zadbać, a one nie. Mam lepszy kontakt ze zwierzętami niż z ludźmi. Lepiej je rozumiem.

Zgrabczyńska o Popowej: – To jest osoba bardzo mi bliska, wręcz pokrewna dusza.

Poznańskie zoo stanie się punktem przelotowym – w kolejnych transportach przewinie się przez nie ponad 200 zwierząt z Ukrainy. Większość wyjedzie do azylów na całym świecie: w Belgii, Holandii, Hiszpanii, USA, a nawet RPA.

Popowa o Zgrabczyńskiej: – Ewa to wszystko organizuje. To anioł dla zwierząt!

Mer Kijowa, niegdyś popularny pieściarz Witalij Kliczko, wysłał pismo z podziękowaniami do prezydenta Poznania.

### Kot u prezydenta

6 października 2011 r., gabinet prezydenta Poznania. Drzwi z impetem otwiera 40-letnia brunetka. W rękę trzyma transporter z kotem. Toruje drogę siwej pani z laską. Sekretarka próbuje je powstrzymać. Ale obie siadają w fotelach.

Brunetka to Ewa Zgrabczyńska, doktorka zoologii z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Pani z laską to Alina Kasprovicz, założycielka fundacji „Zwierzęta i my”. Żądała rozmowy z prezydentem Ryszardem Grobelnym.

– Podejmiemy okupację, aż się pojawi i nas wysłucha – zapowiada Zgrabczyńska.

Kot jest po wypadku i ma uczestniczyć w rozmowie. Miejskie schronisko go nie przyjęło, bo nie miało miejsca ani pieniędzy. Jest dowodem, że zwierzęta błakają się po Poznaniu, rozmnażają i giną. Kobiety zabiegają o powstanie kociarni, w której będzie można je sterylizować i leczyć.

– Będę walczyć, nawet gdybym miała stracić życie! – oświadcza 86-letnia Alina Kasprovicz, która za własne pieniądze sterylizuje bezdomne zwierzęta.

Okupacja trwa kilka godzin. Ktoś chce wezwać policję. Ktoś inny mówi, że to byłaby katastrofa dla wizerunku urzędu. Prezydent się nie pojawi. Ale każe kupić kontenery dla kotów i dostarczyć je do schroniska. Wprowadzi też bony na ich sterylizację.

To pierwszy z konfliktów Zgrabczyńskiej.

– Społecznik czy aktywistka walcząca o sprawę nie przebiera w słowach. A urzędujący politycy są na to często wyczuleni i odbierają to bardzo osobiście – uważa Katarzyna Kretkowska, radna, a później posłanka Lewicy z Poznania.

Twierdzi, że zachęciła Zgrabczyńską, by startowała w konkursie na dyrektora zoo. W czasie konkursu Zgrabczyńską krytykowano... za koty. W kamienicy na parterze mieszkało ich z nią kilkanaście. Straż Miejska wlepiła jej mandat, bo sąsiedzi skarżyli się, że psocą, sikają i śmierzdzą. Nie przyjęła go i sprawa trafiła do sądu. Zakończyła się w 2017 r., gdy już się wyprowadziła. Sąd skazał ją na 2 tys. zł grzywny. „Dyrektor zoo skazana” – donosiła PiS-owska lokalna telewizja TVP3.

### Słoń gej

22 stycznia 2016 r., poznańskie zoo. Grupa ludzi karmi słoń, który zza krat wystawia trąbę. To poznańscy radni, których zaprosiła nowa dyrektorka.

– Karmienie słoń jest debilizmem i skończy się wypadkiem – mówi Michał Grześ, radny PiS.

– Karmilam słonia i jakoś nie odgryził mi ręki – odpowiada jedna z radnych.  
– Do czasu! – odcina się Grześ.

Odpowiedź Zgrabczyńskiej cytują media: – Bywa, że słonie są spokojniejsze i bardziej stabilne emocjonalnie niż niektórzy radni.

Grześ, z wykształcenia inżynier elektryk, stanie się największym krytykiem dyrektor-ki. Przez dziewięć miesięcy złoży w Radzie Miejskiej 23 interpelacje.

Karmiony słoń Ninio od 2009 r. budzi podejrzenia Grzesia. Wyczytał w internecie, że interesuje się samcami i jest szczególnie agresywny, a w zoo, z którego przyjechał, „walił trąbą samice i podobno zdziesiął w łeb dyrektora”. Zgrabczyńska ripostuje, że to plotka, bo uderzenia trąbą dyrektor by nie przeżył.

Słoń gej zrobił się sławny, stał się maskotką festiwalu LGBT, a drag queens zbierały dla niego pieniądze. Jednak gdy dorósł, zainteresował się samicami.

### Przyjaźń psa i niedźwiadka

Kwiecień 2016 r., Bieszczady. Leśna droga w pobliżu Cisnej. Ratownik GOPR spotyka dwumiesięczną niedźwiedzicę. Mała jest wychudzona, przewraca się. Leśnicy nazywają ją Cisną i konsultują się z naukowcami: przygarnąć czy zostawić?

Ktoś przypomina sobie o zoo w Poznaniu, gdzie powstał azyl dla niedźwiedzi odebranych z nielegalnych hodowli i cyrków. Sfinansowała go Fundacja „Four Paws International” z Wiednia. Dyrektorka zoo przyjmuje niedźwiedzicę. Ale ta ma chorobę sierocą. Osowiała ssie i obgryza łapę. Zgrabczyńska wie, że w ogrodach zoologicznych na świecie pomagały psy. Z Cisną zamieszkuje Bari, szczeniak mastifa tybetańskiego. Przyjaźń psa i niedźwiadka przyciąga do zoo tłumy. Zwierzęki wspólnie bawią się i śpią – niedźwiadek wtulony w psa.

### Miś Baloo z cyrku Vegas

Anna Plaszczyk, aktywistka z Fundacji „Viva! Akcja dla Zwierząt” przyjechała do Poznania, bo usłyszała, że nowa dyrektorka zoo ma otwarty umysł. Zapytała ją, czy pomoże fundacji w interwencjach. Zgrabczyńska zgodziła się.

5 lipca 2016 r., Pawłowice koło Jastrzębia Zdroju. Na placu rozbil się cyrk Vegas. Widzów zabawia czteroletni niedźwiedź brunatny Baloo. Ma poranione łapy, wyrwane pazury i kły, a na głowie blizny od ran. Gdy jest posłuszny, dostaje popcorn.

W przedstawieniu bierze też udział krokodyl nilowy Ramzes. Z obowiązującym tamą psikiem jest obnoszony wokół areny – w rytmie cyrkowego werbla i przy migotaniu świateł. Ramzes jest niewielki. Po tem okaże się, że nie mógł urosnąć, bo większość życia spędził w ciasnym pojemniku w samochodowej przyczepie, którą dzielił z niedźwiedziem.

Do cyrku wchodzi policja powiadomiona przez Vive!. Zgrabczyńska przyjmuje zwierzęta do zoo.

Niedźwiedź kiwa się i boi wyjść na wybieg. Krokodyl przez miesiąc nie opuszcza basenu w obecności człowieka. Weterynarz stwierdza depresję.

Akcja w cyrku Vegas to precedens. W 2022 r. zapadnie pierwszy w Polsce wyrok skazujący za znęcanie się nad zwierzętami cyrkowymi.

Poznaniakom podoba się ratowanie skrzywdzonych zwierząt. Do zoo przychodzą tłumy. Wszyscy chcą zobaczyć, jak zdrowieją maltretowane w cyrku niedźwiedź i krokodyl.

### Lew dla żony

„Są pewne granice, których nie wolno przekraczać. Nie zgadzamy się na to, aby poznańskie zoo zamieniło się w anarchystyczny skłot dla zwierząt” – pisze 7 maja 2017 r. na Facebooku Marek Sternal-ki, szef klubu radnych Platformy Obywatelskiej.

Zgrabczyńska jest dyrektorką zoo od roku i czterech miesięcy. Przyjmuje dziennie zwierzęta skrzywdzone przez człowieka. Wiele pochodzi z nielegalnych hodowli, gdzie mieszczą się gatunki. Zabrane hodow-



• 6 marca, Ewa Zgrabczyńska w poznańskim zoo podczas konferencji prasowej dotyczącej postawionych jej zarzutów FOT. ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

com nie mają szans na przeżycie, bo nie ma dla nich miejsca.

W kwietniu 2017 r. do zoo w Poznaniu przyjeżdża transport z dwoma młodymi lwami. Aktywiści Vivy! wytropili je na Górnym Śląsku. Kupił je miejscowy biznesmen jako prezenty dla żony i przyjaciółki. Żona dostała trzymiesięczną lwicę somalijską, przyjaciółka – czteromiesięczną hybrydę: mieszańca lwa i tygrysa.

– Ogród zoologiczny nie powinien być azylem dla przypadkowych zwierząt – mówi Sternal-ki, ale o Zgrabczyńskiej dziś nie chce rozmawiać.

– To zbieranina mieszańców, a nie czyste gatunkowo zwierzęta – popiera go Michał Grześ z PiS. – Nie cenię Zgrabczyńskiej jako fachowca. Ratuje zwierzęta z miłości. A zoo to nie schronisko. Czy lwy i tygrysy, które przyjęła, są prawdziwe? Nie. To są mieszańce-hybrydy. Nie wiem, które zwierzęta są prawdziwe.

Grześ nie wie, że nowa dyrektorka zastąpiła już w zoo „nieprawdziwe” zwierzęta. Jej poprzednicy szczyłi się, że dochowali się tygrysa syberyjskiego „czystej krwi”. Gdy poleciała przebadac próbki DNA z jego sierści, okazało się, że też jest hybrydą.

Grzesiowi marzy się, aby zoo w Poznaniu miało podobne atrakcje jak zoo we Wrocławiu lub Łodzi – prawdziwe rekiny w basenach z podwodnymi korytarzami dla zwiedzających.

– U nas w Poznaniu to dobre miejsce dla zwierząt, ale niekoniecznie dla ludzi – mówi.

### Zoo dla zwierząt czy ludzi?

Większość dyrektorów ogrodów zoologicznych to ludzie, którzy spędzili w nich pół życia, awansując z niższych stanowisk lub przenosząc się z jednego fotela dyrektorskiego na drugi. Tworzą raczej zamknięte środowisko.

Zgrabczyńska przyszła z zewnątrz – jako naukowiec z uniwersytetu. Gdy wygrała konkurs, miała 44 lata – była jedną z najmłodszych i jedną z nielicznych kobiet na tym stanowisku; w dodatku jedyną aktywistką walczącą o prawa zwierząt.

– Nie żałuję, że ją zachęcałam do konkursu. Ona naprawdę walczyła o zwierzęta. Nie liczyły się dla niej żadne układy i korzyści – mówi Katarzyna Kretkowska, wieloletnia radna, a później posłanka Lewicy z Poznania.

Dyrektorzy ogrodów mają do niej jednak zastrzeżenia. „Z przykrością stwierdzam, że z poznańskim ogrodem nie współpracujemy jak kiedyś. Nie idziemy tą samą drogą” – krytykuje ją 31 marca 2017 r. na łamach „Głosu Wielkopolskiego” Michał Targowski, dyrektor gdańskiego zoo, stojący na czele Rady Dyrektorów Polskich Ogródów Zoologicznych i Akwariów. Przekonuje, że w zoo „nie mogą przebywać zwierzęta niewiadomego pochodzenia”. Zapowiada, że ogrody, które się do tego nie dostosują, mogą zostać usunięte z Europejskiego Stowarzyszenia Ogródów Zoologicznych EAZA.

Zgrabczyńska nie słucha ostrzeżenia. Trzy lata później kończy się to zawiesz-

**Gdybym go nie wzięła, byłby pomponem na czapce. Z fermami futrzarskimi walczę od zawsze, to obozy kaźni**

niem poznańskiego zoo w stowarzyszeniu EAZA.

– Nie trawię ogrodów zoologicznych w starym stylu – przyznaje Zgrabczyńska. – To miejsce, w którym ku ucieście gawiedzi zwierzę powinno być widoczne cały czas ze wszystkich stron. Rzuci się je na pastwę tłumów.

Ma inną wizję ogrodu: – Powinien być współczesną Arką Noego, czyli chronić gatunki zagrożone wyginięciem, ale też nieść pomoc zwierzętom dzikim i egzotycznym, skrzywdzonym przez człowieka.

Poznańskie zoo wspólnie z fundacją „Viva!” uczestniczy w bezprecedensowych akcjach. Interwencja w Pyszącej koło Śremu była prawdopodobnie największą tego typu w Europie – zlikwidowano nielegalną hodowlę blisko 300 zwierząt 80 gatunków, w tym tygrysów i lampartów perskich.

To, co mówi i robi dyrektorka, podobają się mediom. „To rewolucja!” – powtarzają jej słowa.

### Nieumarle

Koty – małe i duże, przewijają się przez całe życie Zgrabczyńskiej.

Tygrys w zoo na jej widok ociera się o kraty. Zachowuje się jak domowy kotek, który łasi się do opiekuna.

– Au, au... Dobra kota. Puf, puf! – zagaduje i drapie go za uchem.

– Puf, puf! – odpowiada tygrys.

– One pufają. To odpowiednik kociego mruczenia – wyjaśnia.

Październik 2019 r. Na przejściu granicznym z Białorusią w Koroszczynie stoi ciężarówka. W środku 10 tygrysów upakowanych w klatkach jak sardynki. Nie mogą się ruszyć, leżą we własnych odchodach, nie mają co pić. Są stare, występowały w cyrkach. Jadą z Włoch do Dagestanu. Zatrzymali je Białorusini.

– Los tygrysów jest dramatyczny. Szacuje się, że na wolności pozostało ich trzy tysiące. Większość żyje w niewoli. Trzymane są przez szejków w Dubaju i oligarchów w Rosji. Ale sprzedaje się je też na części. Są tacy, co wierzą, że sproszkowany penis tygrysa przywraca potencję, a wino z tygrysich organów leczy – opowiada Zgrabczyńska.

Jedzie na granicę, aby ratować tygrysy. Przeżyje dziewięć z dziesięciu. Dwa – Gogh i Kan zostaną w Poznaniu, dwa przyjmie prywatne zoo w Człuchowie. Pozostałe pojadą do zachodnich azylów.

Historię tygrysów relacjonują media na całym świecie. Zgrabczyńska dostanie zaproszenie do Parlamentu Europejskiego,

a Polacy zbiorą prawie 2 mln zł na wybieg dla tygrysów.

„Nieumarle” – tak mówi o nich Zgrabczyńska. Imieniem najstarszego tygrysa Gogh nazwie swoje konto na Facebooku, które będzie obserwować 24 tys. osób.

Ale specjalną stronę na Facebooku założą też jej przeciwnicy – prawie pięćset osób komentuje i krytykuje tam wszystko co ona zrobi, powie i napisze.

Szef zoo we Wrocławiu Radosław Rataj-szczak (wcześniej przez kilkanaście lat wiceszef w Poznaniu), oznajmi w lokalnym radiu, że Zgrabczyńska nie powinna przyjmować tygrysów z granicy, bo to nie jest rola ogrodu zoologicznego.

– Ma charyzmę i wierną rzeszę fanów-zwolenników – przyznaje Jacek Jaśkowiak, prezydent Poznania. Ale uważa, że popularność jej zaszkodziła, bo stała się zbyt pewna siebie i popadła w konflikty.

– Stała się znana jako obrończyni zwierząt. Przekładało się to na popularność prowadzonego przez nią zoo. To powinno budzić zadowolenie władz miasta – odpowiada Katarzyna Kretkowska z Nowej Lewicy.

Porównuje: – Jurek Owsiak i Janina Ochojska także byli krytykowani. Ich charyzma budziła poczucie zagrożenia i zawiść u ich przeciwników. A oni są po prostu bezkompromisowi i mają poczucie misji.

### Dom zwierząt

Lato 2022. Wieś 30 km od Poznania. Gospodarstwo ogrodzone siatką, wokół pola i lasy.

– Zapraszam, to dom zwierząt, którymi się opiekuję – wita mnie Zgrabczyńska.

Kilka lat temu wyprowadziła się z Poznania i za pożyczone pieniądze kupiła zaniedbane gospodarstwo. Urządziła w nim schronisko dla zwierząt. Ma ich kilkadziesiąt. – Tu nikomu nie przeszkadzam. Zwierzęta mogą się wyszaleć i wybiegać. Mają kawałek swojego świata.

W pokoju na dole mieszkają psy. – Tu wszystko jest obgryzane, niszczone, jest pełno włosów. Czasem zdarza się, że chore zwierzęta sikają, wymiotują. Pokój i cały dom nadaje się do remontu – przyznaje.

Łasi się młoda suka japońskiej rasy akita: – Jest z Kijowa. Przeszła piekło, z kilkudziesięciu psów w hodowli ocalało pięć.

Po stromych schodach prowadzi do sypialni na poddaszu. Tu mieszka kotka Patrycja, która należała do Natalii Popowej, i inne kijowskie koty – Szczurek i Garfield.

Zgrabczyńska pokazuje sufit: – Tam w narożniku są tegoroczne pająki. W łazience mieszka bardzo duży pajak Gustaw, w trakcie sprzątania trzeba uważać, żeby go nie zgarnąć i nie zniszczyć mu pajęczyny.

Za domem są zagrody dla szopów, jenotów i lisów uratowanych z ferm futrzarskich. – Flak! Zobacz, co tu jest? Same lisie przysmaki!

Lisek podbiega niczym piesek, dostaje chrupki: – Gdybym go nie wzięła, byłby pomponem na czapce. Z fermami futrzarskimi walczę od zawsze, to obozy kaźni. Zwierzęta sązymane w małych klatkach, a potem mordowane prądem elektrycznym. Elektrody wkłada się lisowi czy jenotowi do odbytu – opowiada.

Do zoo w Poznaniu przyjęła też kilkanaście lisów uratowanych z ferm przez aktywistów z „Otwartych Klatek”. – Pierwsze wypuszczenie lisa fermowego na trawę to są zawsze łzy w oczach. Lis się cieszy, szczeka z radości, macha ogonem – opowiada.

Idziemy do zagrody szopów pracy. Łapią nas łapkami za nogawki, wspinają się po nogach i zaglądają do kieszeni.

– Pojawiły się w Europie w latach 30. XX wieku. Sprowadzili je Niemcy dla uciechy myśliwych. Ale zaczęły uciekać, skolonizowały Niemcy, potem zachodnią Polskę. Stały się gatunkiem inwazyjnym. Teraz masowo giną pod kołami samochodów lub zabijane przez myśliwych – opowiada Zgrabczyńska.

Chce ich uratować jak najwięcej. – To Jacuś i Agatka. Rodzeństwo. Reszta rodziny zginęła – przedstawia małe szopy, które palaszują arbuzy.

Sama sprząta zagrody. Kupy lisów i szopów wrzuca na taczkę i wywozi na hałdę za stodołą. – Lubię pracować fizycznie. A po dniu pracy mogę sobie usiąść przy zwierzętach i pogadać z nimi, wtedy na mnie wlażą, sprawdzają, co mam w kieszeniach – opowiada.

Z pobliskiej zagrody osiołek Quatro wystawia pysk i lapie zębami za jej bluzę. Zgrabczyńska przygarnęła go, gdy zmarła mu matka. Gdy tęsknił, wykupiła trzy kozy przeznaczone na rzeź, które stały się jego towarzyszami.

– Wstaję około czwartej rano, to zależy od sezonu. Rozpoczynam karmienie, pojeanie, a potem jadę do pracy. To samo po powrocie – opowiada.

Ludzie się dziwią, niektórzy sądzą, że zwariowała.

– Robię to, co kocham. Czuję radość, gdy zwierzęta są w pobliżu, gdy idę pobiegać po polu z osiołkiem czy kozami, ot tak dla samej przyjemności życia! – odpowiada. – Inni chodzą do psychoterapeuty albo do pubu na kielicha. A mnie kontakt ze zwierzakami ładuje życiowe akumulatory.

Zwierząt wciąż przybywa. – Trudno jest odmówić, kiedy telefon dzwoni w nocy i jakieś zwierzę potrzebuje ratunku – mówi Zgrabczyńska. – Jest we mnie chęć niesienia pomocy, ja nie umiem robić nic innego.

### Don Vittorio i żyrafa

Wszystko wskazuje na to, że Zgrabczyńską pogrążyły kontakty z firmą i fundacją o nazwie „Don Vittorio”.

Koniec lata, 2022 r. Poznańscy radni rozpatrują skargę przedstawiciela firmy i fundacji „Don Vittorio” Łukasza Bodnarowskiego na dyrektorkę zoo Ewę Zgrabczyńską. Zarzuca jej, że starając się o pożyczkę, oferowała jako zastaw... żyrafę z zoo. Oskarża ją między innymi o nadużywanie stanowiska w celu uzyskania korzyści majątkowych, a także o kupowanie na koszt zoo karmy i leków dla zwierząt w swoim azylu oraz wykorzystywanie samochodu służbowego do celów prywatnych.

Pod koniec 2021 r. Łukasz Bodnarowski składa zawiadomienie do prokuratury. Radnym zarzuty wydają się niepoważne i odrzucają skargę. Prokuratura potraktuje ją na serio.

Historia Łukasza Bodnarowskiego jest dość nieprawdopodobna. Od 2016 r. pojawia się w największych polskich mediach, towarzysząc mu gwiazdy dziennikarstwa. Postawny mężczyzna z ogoloną głową przedstawiany jest jako biznesmen z Hiszpanii. Nikt nie sprawdza, kim jest i czym się zajmuje. To, co opowiada, wszyscy przyjmują na słowo.

Do zoo w Poznaniu zgłosił się pod koniec 2016 r. jako reprezentant firmy odzieżowej „Don Vittorio Prestige SL” z Hiszpanii. Poprosił o zgodę na wykorzystanie wizerunku małej niedźwiedzicy Cisny na dziecięcych ubrankach. Zaproponował, że w zamian wybuduje wybiegi dla lampartów.

18 września 2017 r. Łukasz Bodnarowski był już przedstawicielem fundacji „Don Vittorio Foundation for Wild Animals”. W TVN24 zapowiadał, że będzie ratować zagrożone wyginięciem niedźwiedzie wargacze z Indii, wykorzystywane do zabawiania turystów i uczone tańca torturami na rozgrzanej blasze. „Ambasadorką” fundacji została celebrytka i prezenterka TVN Agnieszka Woźniak-Starak.

Zgrabczyńska przyjęła ich z otwartymi ramionami, a stacja TVN24 relacjonowała wmurowanie kamienia węgielnego pod budowę wybiegu dla wargaczy w poznańskim zoo.

Niestety ani firma, ani fundacja „Don Vittorio” niczego nie wybudowały. Zajęły się za to intensywną autoreklamą. Nie znalazłem ich stron internetowych, natknąłem się za to na posty o zwierzętach zamieszczane przez fundację na Facebooku.

27 kwietnia 2019 r. Łukasz Bodnarowski ponownie pojawił się ze swoją „ambasadorką” w TVN – w programie śniadaniowym. Reklamował robotę, którego wymyślił, by dzieci w szpitalach mogły oglądać zwierzęta w zoo. Uważny widz zauważyłby, że to...

kij na kółkach z przyczepioną kamerką. Ale o „wynalazku” napisały największe dzienniki, a nawet agencja Reuters. Fundacja „Don Vittorio” ogłosiła zbiorke internetową na budowę kolejnych robotów, ale niewiele zebrała i akcję zakończyła.

Sprawdziłem w hiszpańskim rejestrze, czym zajmuje się firma „Don Vittorio”. Pojawiła się tam dopiero w czerwcu 2015 r. jako pośrednik w handlu tekstyliami oraz futrami i wyrobami ze skóry z kapitałem... 3500 euro. Siedzibę ma w nadmorskim miasteczku Tarifa, znanym głównie z turystryki, surferów i przystani dla jachtów.

W Polsce firma została zarejestrowana w lutym 2017 r., a fundacja – miesiąc później. Obie mają ten sam adres: pokoik w biurowcu w Warszawie, oraz filię we wsi Drużyna pod Poznaniem.

Dopiero w 2022 r. dziennikarka „Wyborczej” Marta Danielewicz sprawdziła, że Łukasz Bodnarowski próbował zaistnieć w Polsce w branży budowlanej. W 2013 r. miał wybudować osiedle szeregowców pod Poznaniem na wzór ... rzymskiego Kolozeum. W 2020 r. pojawił się zaś w Wolsztynie jako pełnomocnik firmy „Grace Enterprise”. Firma wydzierżawiła stary pałac od gminy, ale za to nie płaciła. Gdy burmistrz zerwał umowę, Łukasz Bodnarowski doniósł na niego do prokuratury, która zaczęła śledztwo.

Ta sama firma „Grace Enterprise” w 2019 r. wygrała przetargi w poznańskim zoo na remonty dwóch wybiegów i budowę domku dla mrówkojada, ssaka z Ameryki Południowej. Zoo uznało, że prace źle wykonano. Prawnicy zoo skontaktowali się z firmą ubezpieczeniową, której polisy przedstawilo „Grace Enterprise” (zamówienia publiczne wymagają ubezpieczenia). Okazało się, że polisy nie istnieją. W połowie 2021 r. Zgrabczyńska poleciła prawnikom, aby złożyli do prokuratury zawiadomienie o podej-

znacznie lepsza dla zwierząt niż ludzi” oraz że ich zastrasza.

Piszę list do portalu w obronie Zgrabczyńskiej. Nie wiem, czy zarzuty są prawdziwe, ale dziwię się, że jedynym źródłem publikacji są anonimowe informacje. Nie dostaję odpowiedzi.

Już po zatrzymaniu Zgrabczyńskiej oświadczenie wyda Jerzy Illg, wieloletni redaktor naczelny Wydawnictwa Znak, w którym wydawała książki. Napisze o „kampanii medialnej”, w której „zapomniano, że także media obowiązują domniemanie niewinności, dopóki zarzuty nie zostaną udowodnione”.

Ale kolejne media kopiują informacje i dodają mocniejsze tytuły. Tymczasem pracownicy zoo są skonfliktowani i podzieleni. Jedni piszą donosy na dyrektorkę do prezydenta Poznania – w anonimach jest wszystko, włącznie z tym, kto z kim śpi. Inni podpisują pisma w jej obronie.

W poznańskim zoo to nic nowego. Poprzedni dyrektor urzędował zaledwie rok. W 2015 r. zrezygnował na skutek konfliktu z pracownikami. Pracę zakończył krótko po konferencji prasowej jego zwolenników, na którą wtargnęli przeciwnicy - aby nie doszło do bijatyki, musiała interweniować policja. Relacjonowały to poznańskie media. Problemy ze znalezieniem odpowiednich pracowników mają zresztą wszystkie ogrody zoologiczne – powodem są niskie płace i specyfika pracy ze zwierzętami.

Połowa lutego 2024. Spotykam się z prezydentem Poznania Jackiem Jaśkowiakiem. – To postać tragiczna, niejednoznaczna – mówi o Zgrabczyńskiej. – Być może będzie uznana za pioniera, bo zrobiła w zoo wiele udanych rzeczy. Ale nie wytrzymała ciężaru popularności. Media zrobiły jej krzywdę. Popularność może skutkować przekonaniem, że przestrzeganie przepisów kogoś nie dotyczy.



***Prezydent Jaśkowiak: – To postać tragiczna, niejednoznaczna. Być może będzie uznana za pioniera, bo zrobiła w zoo wiele udanych rzeczy. Ale uznała, że przestrzeganie przepisów jej nie dotyczy.***

rzeniu fałszerstwa. Kilka miesięcy później, pod koniec 2021 r., Łukasz Bodnarowski zawiadamia prokuraturę o podejrzeniu przestępstwa popełnionego przez dyrektorkę.

Z Łukaszem Bodnarowskim nie udało mi się skontaktować. Według rejestru firm ma agencję reklamową w Poznaniu.

Zgrabczyńska nie tylko uwierzyła Łukaszowi Bodnarowskiemu jako dyrektorka zoo, ale też skorzystała z okazji, gdy zaproponował jej podżyrowanie pożyczki hipotecznej na zakup gospodarstwa, w którym organizowała schronisko dla zwierząt. Było warte 410 tys. zł. Gdy miała kłopoty ze spłatą, komornik zagroził jej licytacją, wyceniając gospodarstwo na 307,5 tys. zł. Latem 2022 r. spłaciła komornika. Do licytacji nie doszło. W tym samym czasie Łukasz Bodnarowski złożył na nią skargę do radnych i oskarżył, że próbowała zastawić żyrafę.

### Ludzie listy piszą

Luty 2024. Onet.pl publikuje artykuł „Święta Ewa od zwierząt i jej grzechy”. Powtarza on zarzuty Łukasza Bodnarowskiego. Ale źródłem informacji są „anonimowi pracownicy” skonfliktowani ze Zgrabczyńską i „nie-mogący doczekać się reakcji prokuratury”. Mówią o „kradzieży publicznych pieniędzy” oraz podejrzeniach, że skoro udało jej się spłacić pożyczkę na gospodarstwo, to mogła wykorzystać do tego stanowisko dyrektorki. Jest też przeciek „z organów ścigania”, że realizuje ona „swoje prywatne cele finansowe” oraz sugestie, że podkrađa z zoo karmę dla swoich zwierząt, a wszędzie wozi ją szofer służbowym autem. „Anonimowi pracownicy” dodają od siebie, że dyrektorka „jest

Ostro krytykuje dyrektorkę za nadużywanie auta służbowego: – To niedopuszczalne, że ktoś ma szofera, który dowozi go kilkadziesiąt kilometrów do pracy. Ludzie dojeżdżają pociągami, autobusami. Na to nie może być zgody. To nadużywanie stanowiska i dyscypliny budżetowej.

Wykryła to kontrola przeprowadzona w zoo jesienią 2023 r. przez urząd miasta. To jedyny zarzut, który komentuje prezydent w czasie spotkania ze mną. Wyniki kontroli zostały przesłane do prokuratury, która wtedy już prowadziła śledztwo. Ale po naradzie ze współpracownikami prezydent uznał, że to za mało, aby zwolnić Zgrabczyńską.

### 10 lat za szopy i klatki

4 marca 2024 r. Konwój policji ze skutą Ewą Zgrabczyńską jedzie na komendę w Poznaniu, potem do prokuratury. Dyrektorka spotyka policjantów, których zna z interwencji w sprawie zwierząt.

– Nigdy nie byłem tak upokorzona. Śmierdząca i brudna – powie mi potem. Prokuratorka Alicja Małasiak wszczęła postępowanie na podstawie doniesienia Łukasza B. Informuje Zgrabczyńską, że zawiesiła ją w wykonywaniu obowiązków dyrektorki. Zakazała też wstępu do zoo i kontaktów z pracownikami.

Przedstawia zarzuty. Szacuje, że Zgrabczyńska jako dyrektorka zoo w latach 2016-24 naraziła miasto na stratę 100 tys. zł. Większość z tego – 67 tys. - to faktury za wykonanie klatek do przewozu zwierząt z Ukrainy i naprawę nawierzchni w zoo; prokuratorka uważa, że faktury są

fikcyjne oraz że za ich wystawienie Zgrabczyńska otrzymała 17 tys. zł.

Rzecznik Prokuratury Okręgowej Łukasz Wawrzyniak: - To przestępstwo urzędnicze: nadużycie uprawnień i działanie w celu uzyskania korzyści majątkowej. Według Kodeksu karnego - artykuł 231 paragraf 2 - grozi za to 10 lat więzienia. Mamy to udokumentowane procesowo.

Rzecznik sugeruje, że chodzi o świadka. Zgrabczyńska zaprzecza, że cokolwiek przyjmowała. Twierdzi, że faktury wystawiono za wykonane prace, a klatki były i są wykorzystywane.

Prokuratoroka podejrzewa też, że Zgrabczyńska za często korzystała z samochodu służbowego (ta twierdzi, że nie ma prawa jazdy i miała to wpisane w warunki pracy) oraz że wykastrowała cztery szopy pracze i dwa psy z jej azylu za 1 tys. zł na koszt zoo.

Pozostałe zarzuty to: – wywieranie presji na świadka, by zeznawał na jej korzyść, – poświadczenie, że remont jej gabinetu zakończył się w grudniu 2022, gdy zakończył się w czerwcu 2023 (Zgrabczyńska twierdzi, że w czerwcu robiono jedynie poprawki), – podpisanie faktury za kurs dla pracownika, który się nie odbył, – ułatwienie wykonawcy domku dla mrówkojada w zoo ucieczki przed komornikiem – zoo przelało zapłatę na konto, które nie było kontem wykonawcy, – przekierowanie honorarium za napisaną książkę na konto znajomej zamiast na własne, aby uniknąć zajęcia pieniędzy przez komornika (niedługo potem Zgrabczyńska spłaciła dług).

Prokuratoroka zabiera jej telefon jako dowód w sprawie. Wypuszczona wieczorem – w brudnym, roboczym ubraniu, bez pieniędzy – ma problem, aby wrócić do domu pod Poznaniem.

– Czy nie można było mnie wezwać? Nie uciekłabym z gospodarstwa z moimi zwierzętami – pyta.

– Jeśli w zoo były istotne nieprawidłowości, to oczywiście nie ma dla nich usprawiedliwienia – mówi była radna i posłanka Katarzyna Kretkowska. Zastanawia się jednak, dlaczego prokuratura grozi Zgrabczyńskiej karą aż 10 lat więzienia. Dziwi się, że tyle można dostać za wykastrowanie czterech szopów i dwóch psów oraz za brak faktur za klatki, w których ewakuowano zwierzęta z Ukrainy. Pyta: – Czy cała ta afery ma jakieś drugie dno?

Z Anną Plaszczyk z Vivy! rozmawiałem przed zatrzymaniem dyrektorki. Po jej zatrzymaniu zwleka z autoryzacją swoich wypowiedzi, potem je wycofuje, bo obawia się tekstu „z tezą”.

– Zniszczono mnie! Jestem skończona. Nikomu już nie pomogę, nie uratuję żadnego zwierzęcia – mówi mi Zgrabczyńska.

Ale 6 marca zwołuje przed zoo konferencję prasową. Zaprzecza zarzutem. – Jestem kobietą pyskącą, która neguje zastaną rzeczywistość. Dla zbyt wielu jestem niewygodna – oskarża.

Katarzyna Kretkowska: – Była na szczycie, a teraz wszyscy ją potępiają. Media lubią bohaterów. Ale jeszcze chętniej strącają ich z pomników. Historie upadku dobrze się sprzedają.

Wieczorem do jej gospodarstwa przyjeżdża ekipa kolejnej telewizji. Zagląda przez ogrodzenie z wycelowaną kamerą. Świeci światłami, próbuje ją nagrać. – Chcemy usłyszeć, że nie chce pani rozmawiać – nawołuje dziennikarz.

Nie rozmawia. Zamieszcza post na Facebooku: „Nie mogę posprzątać domu, obejście, bo boję się, że ktoś przyjedzie znów, że któryś z psów nie wytrzyma (...) To mój dom. Nie miejsce pracy, nie instytucja publiczna, nie zoo za biletowaniem. (...) Zawieszono moje urzędniczenie. Nie jestem już „mädchen für alles”. Prośba więc: żądni sensacji i żyjący z niej, 8 lat dawałam Wam chleb i klikalność, byłam na każde zawołanie, jako dyrektor, ekspert, świadek, oskarżyciel posiłkowy. Teraz odpierdolicie się.” ●



**AGNIESZKA JUCEWICZ:** Jonathan Glazer, reżyser „Strefy interesów”, słynnego filmu o komendancie Auschwitz, odbierając Oscara, powiedział: „Nasz film pokazuje, do czego prowadzi dehumanizacja w swoim najgorszym wydaniu. Stoimy tu jako ludzie, którzy nie zgadzają się na wykorzystywanie żydowskości i Holocaustu przez okupację, która doprowadziła do konfliktu dotyczącego tak wielu niewinnych ludzi – czy to ofiar 7 października w Izraelu, czy trwającego ataku na Gazę – wszystkich ofiar tej dehumanizacji. Jak się temu przeciwstawimy?”.

Przemowę przyjęto brawami. Potem na Glazera posypały się gromy. Członkowie amerykańskiego stowarzyszenia „Holocaust Survivors’ Foundation” zrzeszającego ofiary Holocaustu napisali w liście do reżysera, że jego słowa są „niezgodne z faktami” i „moralnie nie do obrony”. Pan jak je odebrał?

**MAOZ INON:** Długo rozmawiałem o tym z rodziną, w tym z trójką moich dzieci, nastolatków. I powiem pani to, co im powiedziałem. Przede wszystkim, nie możemy zapominać, że powodem, dla którego po-

wstało państwo Izrael, jego założycielskim fundamentem, był Holocaust. A naczelną wartością, jaka temu państwu przyświecała, było: „żeby to się nigdy więcej nie powtórzyło”.

Niestety, powtórzyło się. 7 października. Od II wojny światowej w ciągu jednego dnia nie zamordowano tylu Żydów. Jednocześnie musimy pamiętać, że doszło do tego pod rządami władzy, która obiecała ludziom bezpieczeństwo, mądre zarządzanie krajem i przeznaczyła na obronę największy budżet w historii. Co więcej, premier Benjamin Netanjahu zobowiązał się, że będzie strzegł bezpieczeństwa nie tylko obywateli i obywateli Izraela, ale w ogóle wszystkich Żydów. I co? Poniósł totalną porażkę. Teraz, przy ogromnym militarnym wsparciu Stanów Zjednoczonych i Niemiec, doprowadzamy do niebywalej tragedii i katastrofy humanitarnej w Gazie. Jestem przekonany, że obu tym państwom też przyświeca myśl „nigdy więcej”...

...tylko że?

– Pomysł, że wyłącznie militarnie można zaprowadzić spokój i bezpieczeństwo, jest kompletnym nieporozumieniem.

Wypowiedź Glazera rozumiem tak, że nie czuje się on w tej chwili specjalnie dumny z tego, że jest Żydem. Cóż, ja też się tak nie czuję. Jednak poza tym, że jestem Żydem i Izraelczykiem, jestem przede wszystkim człowiekiem. I jako człowiek uważam, że wszyscy ludzie są sobie równi i powinni być traktowani z godnością. Nie ma dla mnie znaczenia, czy Glazer dobrze dobrał słowa, czy źle. Nie jest też ważne, czy się z nim zgadzam, czy nie. Ważne jest to, że w Strefie Gazy w tej chwili głodują ludzie. Dziesiątki, setki tysięcy. Ważne jest to, że nie są tam wpuszczane konwoje z pomocą humanitarną. I że odpowiada za to państwo Izrael. Musimy powstrzymać tę wojnę. Wpuścić pomoc humanitarną do Gazy i pracować nad szukaniem dyplomatycznych rozwiązań, które przyniosą trwałą pokój. Wojna tylko napędza błędne koło przelewu krwi, zemsty i nienawiści. Nie jest żadnym rozwiązaniem. Nigdy nie była i nigdy nie będzie.

**Izraelskiemu reżyserowi Yuvalovi Abrahamowi, który razem z palestyńskim aktywistą Basilem Adrą nakręcił dokument o Zachodnim Brzegu pt. „No Other**

**Land” za jego wypowiedź na berlińskim festiwalu, w której nazwał politykę Izraela „apartheidem”, grożono śmiercią. Jego rodzinie również.**

– Bo znacznie łatwiej jest kogoś zaatakować, niż zająć się tym, co stanowi prawdziwy problem.

**Pan też jest atakowany za to, co mówi?**

– Nie. A wie pani dlaczego? Bo jestem uprzywilejowany. Niestety.

**I jaki jest ten pana przywilej?**

– 7 października straciłem oboje rodziców. A więc wolno mi mówić, co chcę i do czego chcę. Nie boję się. Nie mam też powodu, bo dotychczas dostałem dużo wyrazów szacunku i podziwu. Nawet od tych, którzy się ze mną nie zgadzają. Powtórzę to raz jeszcze: moim zdaniem to, co robi Izrael w Gazie, jest straszne i powinno zostać powstrzymane. Mówię o tym od 7 października. To nie jest nic nowego.

**Jaki był ten dzień dla pana?**

– Zaczął się tu, w tym pokoju, z którego z panią rozmawiam. Wstałem o 7.30 i zobaczyłem, że na Whatsappie w naszej ro-



# TRUDNO JEST UPRAWIAĆ ZIEMIĘ NA PUSTYNI NEGEW

Z **MAOZEM INONEM\***,  
IZRAELSKIM DZIAŁACZEM NA RZECZ POKOJU,  
ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

7 października straciłem  
oboje rodziców.  
A więc wolno mi mówić,  
co chcę i do kogo chcę.

• **Rodzice Maoza Inona:  
Bilha i Yakovi, zamordowa-  
ni przez Hamas  
7 października 2023 r.**

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

dzinnej grupie ojciec zostawił wiadomość. Pisał, że w społeczności graniczącej z Gazą, gdzie mieszkali razem z mamą, wyje alarm i słychać odgłosy strzelaniny, więc zamknęli dom i ukryli się w „bezpiecznym” pokoju. Zabrzmi to dziwnie, ale nie zaniepokoiło mnie to, ponieważ takie sytuacje się zdarzają. Można powiedzieć, że są czymś „normalnym”. Wstałem, poszedłem zrobić kawę sobie i żonie. A kiedy kawa zaczęła wrzeć, zobaczyłem w wiadomościach, że Hamas wdarł się do sąsiedniej społeczności i wtedy dotarło do mnie, że to, co się dzieje, jednak normalne nie jest.

O 7.40 zadzwoniłem do ojca. Powiedział, że jest dokładnie tak, jak napisał – dużo strzelaniny, alarmy – i że się ukrywają. W tle usłyszałem mamę, więc poprosiłem ojca, żeby ją ode mnie ucałował.

Powiedziałem mu też, żeby byli bezpieczni, i że niebawem się usłyszymy. Odłożyłem słuchawkę i wróciłem do oglądania wiadomości. Mur dzielący Gazę od Izraela został przerwany przez Hamas. Widać było, jak jego członkowie wjeżdżają na terenówkach do izraelskich miejscowości... O 7.45 znów zadzwoniłem do ojca.

#### Odebrał?

– Już nie. Wtedy zadzwoniłem do swoich trzech siostr i do brata, który mieszka w Londynie. Próbowaliśmy dzwonić po sąsiadach, ale tam też nikt nie odbierał. Łudziliśmy się, że może elektryczność padła albo że nie ma zasięgu, ale szybko podjęliśmy decyzję, że musimy się wszyscy zebrać w jednym miejscu. O 11.00 byliśmy już w domu jednej z siostr. Brat kupił bilet na samolot, miał dolecieć następnego dnia. Cały czas próbowaliśmy dzwonić do rodziców, bez skutku. W międzyczasie zaczęły do nas spływać kolejne nazwiska. Znajomych, sąsiadów, koleżanek i kolegów z dzieciństwa, ich rodziców...

#### ...zabitych?

– Tak. O 17.00 udało nam się w końcu dozwonić do ochrony w społeczności, gdzie mieszkali nasi rodzice. Powiedziano nam, że nasz dom rodzinny został doszczętnie spalony przez rakietę Hamasu. I że w środku znajdują się dwa ciała... Od razu w domu siostry rozpoczęliśmy sznurek – tradycyjną uroczystość żałobną, która trwa tydzień. Nie zamierzaliśmy czekać na oficjalne zawiadomienie o śmierci, na żadną rządową delega-

cję. Przyszły setki osób. W tym osoby, które przeżyły napaść Hamasu, a także te, które tak jak my straciły bliskich i zwlekały z rozpoczęciem swojej sznurek, czekając na oficjalne zawiadomienie. Te tłumy wstrząśniętych ludzi to było coś niezwykle poruszającego...

W poniedziałek rano brat zebrał nas i powiedział, że chce, by nasza rodzina wystosowała komunikat do świata, który bierze się z naszej osobistej tragedii i którzy będzie brzmiał: „NIE dla zemsty”. Oczywiście zgodziliśmy się.

#### Co to tak naprawdę znaczy: „NIE dla zemsty”?

– Że nie chcemy się mścić za zamordowanie naszych rodziców. Nie widzimy w tym żadnego sensu. Chcemy za to zatrzymać ten odwieczny cykl śmierci, przemocy, strachu i nienawiści.

Tej nocy miałem wizję. Obudziłem się z płaczem. Bolało mnie całe ciało. Ja w ogóle dużo płaczę. Jestem taką rodziną „płaczka”. W tej swojej wizji zobaczyłem całą płaczącą ludzkość. Przyjaciół, znajomych, nieznajomych. Pani też tam na pewno była. Nasze ciała były poranione i skrwawione. Ziemia też była zbruka-

na krwią. Naprawdę okropny widok. A potem ujrzałem, jak te lzy obmywają nasze ciała i leczą rany. A później, jak płyną dalej i splukują to morze krwi z ziemi, aż znów staje się czysta i piękna. I w pewnym momencie na tej ziemi ujrzałem ścieżkę. Prowadziła ku pokojowi.

#### To nie był sen?

– Nie, po prostu taki obraz stanął mi przed oczami.

Wtedy stało się dla mnie jasne, że jeśli dalej będziemy podążać drogą zemsty, strachu, siłowych rozwiązań, to nie ma dla nas żadnej nadziei.

#### W jednym z wywiadów powiedział pan, że całe życie przygotowało pana na 7 października.

– Podtrzymuję to.

#### Czy to w ogóle możliwe, przygotować kogoś na coś takiego?

– Już pani mówię, w jakim sensie.

Mój ojciec było największym optymistą, jakiego znałem. Był rolnikiem. Nie wiem, czy pani wie, jak trudno jest uprawiać ziemię na pustyni Negew? No więc bardzo

trudno. Jednego roku jest susza, w kolejnym powódź, w następnym – plaga insektów, co jakiś czas rynek rolniczy przechodzi załamanie itd. Ale po każdym takim strasznym sezonie ojciec mówił nam: „W przyszłym roku znów zasieję zboże, bo następny rok będzie lepszy”. Mama z kolei tworzyła mandale. Namalowała ich tysiące, prowadziła też warsztaty malarskie. Podarowała mi jedną. Zaraz pani pokażę. (Maoz Inon wyciąga z szuflady rysunek z pomarańczową mandalą, na której układa się tekst po hebrajsku).

Przeczytam pani, co tu jest napisane: „Wszystkie nasze marzenia mogą się spełnić, jeśli będziemy mieć odwagę za nimi podążać”. Jak więc pani widzi, każda komórka mojego ciała wie, że przyszłość musi być lepsza. Tak mnie zaprogramowali moi rodzice. A my tu, pomiędzy rzeką a morzem, gdzieś zatraciliśmy tę zdolność do wyobrażania sobie, że może być lepiej. Do marzeń. Wydaje nam się, że już zawsze będzie tak, jak jest.

Albo gorzej.

– A przecież może być lepiej.

Skąd pan to wie?

– Bo wierzę w ludzi. Przez ostatnie dwadzieścia lat współpracowałem z wieloma Palestyńczykami w Izraelu, na Zachodnim Brzegu, w Jordanii, w Egipcie, tworząc razem z nimi różne turystyczne przedsięwzięcia.

W 2005 roku, na przykład, w Nazaret, największym palestyńskim mieście w Izraelu, nawiązałem współpracę z lokalną rodziną, właścicielami pięknej rezydencji na starówce. Wspólnie utworzyliśmy pierwszy pensjonat w tym mieście. To nie była łatwa decyzja, bo wówczas Nazaret było znane z wysokiej przestępczości, z problemów z narkotykami, przemocy. Powoli stawało się takim „miastem-duchem”. Zarzykowałem, bo właśnie wróciłem z podróży po świecie, podczas której przekonałem się, że turystyka może być też narzędziem, które mądrze wspiera lokalne społeczności. Pozwała im pielęgnować ich dziedzictwo, kulturę, styl życia, a przy okazji daje zarobić.

Takie inicjatywy widziałem w Południowej Ameryce, Nowej Zelandii, Nepalu. Stwierdziłem, że takie wspólne działanie może też stanowić most łączący Żydów i Arabów. Miejsce, gdzie uda się realizować wspólną wizję przyszłości.

Jak pan trafił na tę rodzinę?

– Po prostu chodziłem od drzwi do drzwi, pukalem i pytałem, czy jest ktoś, kto chciałby wejść ze mną w takie partnerstwo. Łatwo nie było, ale jak już na nich trafiłem, szybko poszło. W styczniu 2005 roku wróciliśmy z żoną z podróży po Ameryce Południowej, po dwóch miesiącach poznałem tę rodzinę, a trzy miesiące później nawiązaliśmy współpracę.

Zaufaliście sobie, ot tak?

– Dokładnie tak. Odbyliśmy kilka trudnych rozmów i powiedzieliśmy sobie szczerze, jak to widzimy. Dla tej rodziny bardzo ważne było na przykład to, żebyśmy nazwali pensjonat po ich zmarłym ojcu – Fauzi Azar. Uszanowaliśmy to oczywiście. Kolejnym warunkiem było, żeby dom pozostał palestyński. To znaczy, żeby nie wisiała na nim izraelska flaga, żeby nie obchodzono tu izraelskiego Dnia Niepodległości, żeby zarówno w domu, jak i w jego otoczeniu szanować palestyńskie tradycje i dziedzictwo. To był ogromny akt zaufania, który trwa nieprzerwanie od 19 lat.

Potem z naszymi izraelskimi partnerami utworzyliśmy sieć hosteli i biuro podróży, które nazwaliśmy Abraham, od imienia ojca trzech religii: judaizmu, chrześcijaństwa i islamu. Bo zawsze szukamy tego, co łączy. Mamy też partnerów wśród Palestyńczyków mieszkających na Zachodnim Brzegu. I mimo że te ostatnie 20 lat było bardzo wymagające, to te partnerstwa przetrwały, bo cały czas wierzymy we wspólną przyszłość. I staram się ją razem budować.

7 października i to, co się wydarzyło później, nie zmieniło tych relacji?

– Tylko je umocniło. Wsparcie, jakie moja rodzina otrzymała po 7 października od naszych palestyńskich partnerów, ale też od Palestyńczyków, których wcześniej nie znaliśmy, solidarność, współczucie są wprost niewiarygodne. Proszę sobie wyobrazić, że po śmierci moich rodziców w Nazarecie zorganizowaliśmy uroczystości żałobne. Chyba pierwszy raz w historii w palestyńskim mieście upamiętniono izraelskie ofiary ataku terrorystycznego. Przyjechało mnóstwo ludzi z całego kraju, w tym wielu Palestyńczyków. Zrobiliśmy to wspólnie z naszymi partnerami, czyli z rodziną Azar, jakieś dwa tygodnie po 7 października.

Od tamtego dnia codziennie rozmawiam z Palestyńczykami. Także z tymi w Gazie, którzy jak ja stracili bliskich: ojców, matki, braci, żony, dzieci. Czasem po kilkunastu krewnych. Nieustannie się czegoś od nich uczę. Dwoma takimi lekcjami chciałbym się z panią podzielić.

Proszę.

– Lekcja numer jeden: „Nadzieja to działanie, a nie uczucie”. To nie jest coś, co nam się przytrafia, czy coś, co ktoś nam daje. Nadzieja jest czymś, na co musimy aktywnie pracować. Od kiedy się tego dowiedziałem od Hamzego Awawdego, palestyńskiego

stracjach, na przykład przed Knesetem, na marszach. Występujemy wspólnie w podkastach, w telewizji, przemawiamy na arenie międzynarodowej. Razem z Hamzem Awawdem będziemy uczestniczyć w konferencji kanadyjskiej organizacji na rzecz pokoju. W kwietniu wraz z innym palestyńskim działaczem, Azizem Abu Sarahem, wystąpimy na konferencji TED w Vancouverze.

Z organizacjami, które mają ten sam cel, budujemy w tej chwili koalicję, przez co zaczynamy być bardziej zsynchronizowani i efektywni. W czerwcu mamy w planach dużą manifestację na rzecz pokoju. Walczymy o wypuszczenie pomocy humanitarnej do Gazy i domagamy się zakończenia tej wojny. Jednak naszym głównym celem jest przyszłość oparta na sprawiedliwości, wzajemnym uznaniu swoich ran i na szacunku.

Co pan sobie myśli, kiedy słyszy: „to niemożliwe” albo „to jakieś naiwne bаяanie”?

– Myślę sobie na przykład o relacjach pomiędzy współczesną Francją i Niemcami. W pierwszej połowie XX wieku po obu stronach były miliony ofiar. A dziś? Jest jedna waluta, jeden paszport i przedstawiciele w jednym parlamencie europejskim. To może być i nasza przyszłość. Jeśli jednak sobie jej nie wyobrażymy, jeśli pozwolimy po-

## O 7.40 zadzwoniłem do ojca. Powiedział, że jest strzelanina i że się ukrywają. W tle usłyszałem mamę, poprosiłem, żeby ją ode mnie ucałował

działacza na rzecz pokoju, codziennie doкладам swój kawałek. Spotykam się z Izraelczykami, z Palestyńczykami, ze społecznością międzynarodową, żeby razem z nimi szukać pokojowych rozwiązań.

Lekcja numer dwa też pochodzi od Hamzego, który powiedział kiedyś, że jest w stanie wybaczyć przeszłość, jest w stanie wybaczyć 75 lat okupacji i opresji, jest nawet w stanie wybaczyć to, co się dzieje teraz, ale nie będzie w stanie wybaczyć ani sobie, ani innym, jeśli nie uda się nam zbudować lepszej przyszłości. Kiedy to usłyszałem, powiedziałem sobie: „Maoz, chcesz być kimś takim jak Hamze”. „Chcesz umieć wybaczać”, więc ćwiczę to nieustannie.

Przy tym natężeniu bólu, cierpienia i traumy, często zupełnie niezawinionych, umiejętność wybaczenia wydaje się czymś niezwykle trudnym. A pragnienie zemsty jakoś rozumiałe...

– Zdaję sobie sprawę, jakie to jest trudne.

Świat, którego jesteśmy obecnie świadkami, przypomina wydarzenia z biblijnej Góry Synaj, po tym jak Bóg wyprowadził Izraelitów z egipskiej niewoli.

Kiedy wezwał do siebie Mojżesza i wręczył mu kamienne tablice z przykazaniami, zniecierpliwiony lud czekający na dole znalazł sobie bożka w postaci cielca odlanego ze złota i zaczął wokół niego tańczyć. To właśnie dzieje się teraz. Dwa narody, Palestyńczycy i Izraelczycy, tańczą wokół bożka wojny, zemsty, nienawiści i strachu. A jednocześnie na tej gorze setki, tysiące innych Palestyńczyków i Izraelczyków pracują nad współczesnym dekalogiem, który mówi o równości, godności i bezpieczeństwie. I wykonują ogromny wysiłek nad obustronnym zaufaniem i pojednaniem.

Jak to wygląda w praktyce?

– Zarówno po stronie izraelskiej, jak i palestyńskiej jest mnóstwo organizacji i pojedynczych osób działających na rzecz pokoju. Jest ich tyle, że nie zdolał ich tu wymieścić. Spotykamy się na warsztatach, demon-

laryzacji i naszemu ekstremistycznemu przywódcy, który zaanektował naszą teraźniejszość, przejął kontrolę również nad naszą przyszłością, jesteśmy skazani na zagładę. Wierzę jednak, że ta zmiana nadejdzie. Nie kiedyś tam, ale za jakieś cztery do sześciu lat.

Naprawdę jest pan optymistą.

– Ale proszę spojrzeć na wojnę z października 1973 roku, kiedy na Izrael napadły połączone siły zbrojne Egiptu i Syrii. Gdybyśmy rozmawiali pod koniec roku 1973 i powiedziałbym pani, że za cztery lata prezydent Egiptu Anwar Sadat przyjedzie do Izraela z oficjalną wizytą i spotka się z naszym premierem oraz przemówi w Knesecie, powiedziałaby pani, że oszalałem. Kiedy Sadat lądował w Izraelu, snajperzy czekali w gotowości, bo obawiano się ataku terrorystycznego. 60 proc. społeczeństwa izraelskiego było przeciwne tym negocjacjom. To się zmieniło w ciągu jednej nocy. Niecałe dwa lata później Izrael i Egipt podpisały traktat pokojowy, a dziś granica z Egiptem jest naszą najbezpieczniejszą granicą.

Wczoraj odbyło się kolejne spotkanie w Knesecie i dyskusja, co ma być „po”, jak ma wyglądać ta nasza przyszłość. Oczywiście, te propozycje wysuwa opozycja, czyli mniejszość, ale wygląda to coraz bardziej obiecująco. Kilka dni temu wróciłem z Genewy, gdzie przy jednym stole usiadło siedemdziesięciu Izraelczyków i Palestyńczyków z takich organizacji jak „B8 of Hope”, czy „Principles for Peace”. Pracowaliśmy nad wspólnym dokumentem, planując dalsze działania na rzecz pokoju.

Jeśli ta wojna miałaby się skończyć jutro, a izraelskie wojsko wycofałoby się z Gazy, jak pan widzi dalej swoją rolę? Zaangażowałby się pan na przykład w pomoc w odbudowie Gazy?

– Zrobię wszystko, co trzeba, i tyle, ile jestem w stanie, żeby to była ostatnia wojna. Tak widzę swoją rolę. Chciałbym też, żeby moi rodzice byli ofiarami pokoju, nie wojny.

Nie ma uzasadnienia dla bycia ofiarą wojny. A ja bym chciał, żeby cena, jaką zapłacili moi rodzice, a także moja rodzina, była uzasadniona. I miała sens.

Rozmowa z panią jest częścią tego działania. Bo ma szansę zmienić narrację. Zmienić czyjeś myślenie. Wiem też, że ponieważ jestem optymistą i jestem pełen nadziei, to pomaga też innym.

Jest zaraźliwe?

– Sprawia, że ludzie sobie uświadamiają, że mogą mieć wpływ. I że to my, i to, co robimy na co dzień, jest odpowiedzią.

W jednym z wywiadów powiedział pan, że łatwiej panu wybaczyć Hamasowi niż rządowi Benjamina Netanjahu. To bardzo mocne słowa. Jak je rozumieć?

– Hamas to dla mnie fundamentalistyczna organizacja terrorystyczna, która uciśka własny naród. Zabijanie niewinnych ludzi leży niejako w jej naturze. Dlatego powiedziałem, że łatwiej mi wybaczyć tym, którzy działają w zgodzie ze swoją naturą. A trudniej izraelskiemu rządowi, który obiecał nam bezpieczeństwo, ale całkowicie nas zawiodł. Było tyle sygnałów, tyle ostrzeżeń. I nie było tak, że państwo nie istniało przez godzinę. W niektórych miejscach nie istniało przez 24 godziny, a nawet przez 30! Tak długo ludzie Hamasu przebywali w nie-

których społecznościach. Wciąż uważam, że nasz rząd jest za to odpowiedzialny, ale zdecydowałem, że nie chcę już tracić energii na tę złość. To strata i czasu, i zdrowia, zwłaszcza psychicznego. Wybaczam im też. A w zasadzie nie obchodzą mnie.

Wolę się skoncentrować na tym, co ma znaczenie.

Pana dzieci mają 18, 16 i 12 lat. Będą musiały odbyć służbę wojskową.

– To ich decyzja. Nie wiem, co postanowią, ale sugeruję im, żeby tego nie robiły. Służba wojskowa to był najgorszy, najbardziej mroczny okres w moim życiu, którego wołałbym nie pamiętać.

Da się w ogóle odmówić poborowi do wojska?

– Być może trzeba będzie za to zapłacić jakąś cenę, ale wierzę, że wszystko da się zrobić. Na pewno, jeśli się na to zdecydują, będą ich w tym wspierał. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

### \*Maoz Inon

● Izraelski przedsiębiorca, współwłaściciel hosteli i biura podróży działających w zgodzie ze zrównoważonym rozwojem, działacz na rzecz pokoju, którego rodzice – Bilha i Yakovi Inon – zostali zabici 7 października podczas ataku Hamasu na Netiv Ha'asara, rolniczą społeczność przy granicy z Gazą, gdzie mieszkali. Inon z żoną i trojgiem dzieci mieszka w Binyaminie, w Izraelu

Adam Michnik poleca Péguy i Maurras, portret podwójny

# KRYTYK I FAN ŚWIĘTEGO ŻANDARMA

Biskupi roszczą sobie prawo do ziemskiego królestwa? Intelktualiści stają się ideologami? Niestety gotowe

Jolanta Kawa



Dwaj myśliciele i mistrzowie pióra przełomu XIX i XX wieku. Zaangażowani w polityczne i intelektualne spory epoki, dokonywali odmiennych wyborów ideologicznych, a ich bogata twórczość inspirowała i nadal inspirowa wielu.

Wychowywali się w dwóch odległych prowincjach Francji, dorastali w odmiennych środowiskach. Urodzony w 1873 r. Charles Péguy był „dzieckiem ludu”, pochodził z chłopskiej rodziny z okolic Orléanu, w jego pamięci zapisało się wiele obrazów robotniczej Francji i wiejskiej biedy, które wyczuły go na losy „prostego ludu”. Pięć lat starszy Charles Maurras pochodził ze starej, prowansalskiej rodziny

z Martigues koło Marsylii. Po śmierci ojca, matka wychowywała go w duchu przywiązania do monarchii i katolicyzmu.

Obaj byli wybitnie uzdolnieni, choć każdy z nich zaznał ograniczeń w dostępie do nauki. Samotnie wychowująca Péguy matka zarabiała na życie, wypłatając krzesła, i tylko dzięki stypendium, o które wystarał się dyrektor szkoły średniej, młody Charles mógł dostać się do prestiżowej L'École normale supérieure w Paryżu, gdzie był m.in. uczniem Romaina Rollanda i Henriego Bergsona.

Charles Maurras od 14. roku życia zmagił się z głuchotą, która nie pozwalała mu uczestniczyć w regularnych lekcjach. W kolegium jezuickim, do którego uczęszczał w Aix-en-Provence, korzystał z prywatnych lekcji. Później, w Paryżu, wskutek pogłębiania się głuchoty zrezygnował

■  
*U Maurrasa przypisanie katolicyzmowi uprzywilejowanej roli nie wynikało z faktu, że był on religią prawdy objawionej, tylko z tego, że była to religia „dobra dla narodu i ludzkości”*

• Na zdjęciu: Charles Maurras w swoich późnych latach

FOT. COLLECTION ROGER-VIOLETT / AFP

ze studiów na Sorbonie. To głuchota była powodem kryzysu egzystencjalnego Maurrasa, próby samobójczej oraz utraty wiary.

Odmienne drogi socjalizacji i dojrzewania umysłowego obu intelektualistów wpłynęły na ich wybory ideologiczne i polityczne.

Dlaczego więc Julien Benda w książce „Zdrada klerków” (1927) umieścił nazwisko Péguy obok Maurrasa i Maurice’a Barrèsa, włączając go w krąg głównych piewców nacjonalizmu ekskluzywnego? Pisał: „Wszyscy moralisci mający posłuch w Europie, Barrèsowie, Maurrasowie, Péguyowie, Kiplingowie i większość myślicieli niemieckich, gloryfikowali ludzkie pragnienie przynależności do swojego narodu, rasy, które ich odróżniają i przeciwstawiają”.

Do utrwalenia tej tezy przyczynił się syn Charles’a Péguy, Marcel, który – jak twierdzi badacz twórczości Péguy – do śmierci w 1972 r. pozostał rasistą i antysemitą. W przedmowie do eseju o ojcu z 1941 r., „Le Destin de Charles Péguy”, wpisał ojca w poczet prekursorów nazizmu: „Rasizm mojego ojca jest zasadniczo chrześcijański, a jego chrześcijaństwo jest zasadniczo rasistowskie”. W 1981 r. tezę tę reaktywował Bernard-Henri Lévy w książce „L’idéologie française”.

Istotnie, Charles Péguy był i nadal bywa kojarzony z obozem nacjonalizmu eksklusywnego, z Action Française i jej liderem Charles’em Maurrasem. Czy słusznie?

Péguy to republikanin i socjalista. Maurras – antyrepublikan i monarchista, teoretyk nacjonalizmu integralnego. Pierwszy był zażartym obrońcą Dreyfusa [oficera żydowskiego pochodzenia, fałszywie oskarżonego o zdradę], mistycznym katolikiem. Drugi – agnostykiem i radykalnym antydreyfusistą.

Lektura tego, co Péguy myślał o Action Française, a jeszcze bardziej tego, co Action Française myślała o Péguy, ujawnia linie podziału między nimi: slogan Maurrasa „Najpierw polityka” kontra „mystyka” Péguy; antychrześcijaństwo Action Française kontra chrześcijaństwo mistyczne Péguy; antysemityzm Maurrasa kontra filosemityzm Péguy; monarchizm kontra republikanizm; pragmatyzm kontra idealizm.

Co zatem w myśli Péguy mogło prowadzić do nieporozumień?

Péguy, jak wielu pisarzy i publicystów jego epoki, posługiwał się pojęciem „rasa”. Niemniej użycie tego terminu w owym czasie było dość banalne, tak na prawicy, jak i na lewicy. U Péguy pojęcie to odnosiło się do tradycji i wierności wobec niej, do „ludu” w sensie geograficznym, i nie miało konotacji biologicznych ani etnicznych. Péguy nigdy nie pisał o rasach „niższych” i „wyższych”, i jak sam Bernard-Henri Lévy przyznał w swojej książce, ideę rasy u Péguy należy rozumieć metaforycznie.

Użył tego pojęcia m.in. w 1910 r. w eseju „Notre Jeunesse” („Nasza młodość”) w kontekście sprawy Dreyfusa: „To, czego bronimy, to nie tylko nasz honor. To nie tylko honor naszego narodu, tu i teraz, to historyczny honor całej naszej rasy, honor naszych przodków i naszych dzieci”; „broń Dreyfusa to bronić honoru rasy”. Ale czy da się walczyć z rasizmem w imię „rasy”? – można by spytać z dzisiejszej perspektywy.

Péguy szukał swej retoryki nie u nienawistnych rasistów swego wieku, lecz – jak twierdzi pisarz Alain Finkielkraut – u Corneille’a, czyli w tragicznej tradycji ludzkiej egzystencji. U tego dramatopisarza, podobnie jak u Péguy, słowa „rasa” i „honor” należy rozumieć w sensie wierności temu, z czego człowiek się wywodzi. To pozostawanie wiernym wyznaczonym zasadom i wartościom. Mistycyzm narodu jest więc wiernością jego tradycji.

Péguy był – jak mówił o nim Jacques Maritain – „antymodernistą”, nie ufal ideologii postępu, dominacji pieniądza i techniki. Jego krytyka nowoczesności przypominała Maurrasowską analizę, jaką ów przedstawił w 1905 r. w artykule „L’Avenir de l’intelligence” („Przyszłość inteligencji”). Niemniej Péguy wyciągał z niej odmienne wnioski.

Maurras wyjaśniał, że światem rządziły trzy siły, materialne i duchowe: „Inteligencja, Złoto i Krew”. Upadek Inteligencji był spowodowany odwróceniem sojuszu: w przeszłości – jak twierdził – Inteligencja trwała w sojuszu z Krwią (monarchią dziedziczną), a teraz stała po stronie Złota, które uosabiali Żydów i republikę. Winę za to ponosiła rewolucja francuska. Dlatego zadaniem Inteligencji, jedynej siły duchowej, było, zdaniem Maurra-



Péguy:

*Jedyny z moich wierzących, który zachował się wobec mnie bezdusznie, równie okrutnie, jak balzakowski lichwiarz, nie był Żydem. To był Francuz, „chrześcijanin”, wielki milioner. Gdyby był Żydem, zrobiono by wielki szum*

• Na zdjęciu: Młody Charles Péguy

FOT. AKG-IMAGES/EAST NEWS

sa, sprzymierzenie się z jedną z sił materialnych, Krwią.

Péguy – przeciwnie – nie potępiał rewolucji francuskiej, uważał ją za integralną część tysiącletniej historii Francji, ale krytykował nowoczesność, władzę pieniądza i zanikanie wartości. Gdy Maurras twierdził, że Złoto można pokonać, przywracając sojusz Inteligencji z Krwią, Péguy apelował o powrót do „mistyki”, czyli ideałów, o wierność tradycji, choć nie w znaczeniu mechanicznego powrotu do starych zwyczajów czy ancien régime’u, lecz twórczego działania pod jej wpływem. Działanie pod wpływem tradycji oznaczało kierowanie się tym, co „mistyczne”, czyli co wierne ideom i wartościom.

Wytykał próżność człowieka nowoczesnego, który rościł sobie prawo do zastąpienia Boga, co nieuchronnie prowadziło go do upadku moralnego. Uważał, że skażenie tego, co „ponadczasowe”, przez to, co „doczesne”, jest szczególnie niebezpieczne, gdy odnosi się do polityki, gdy profesorowie wykraczają poza sferę badań i nauczania, by narzucać swój porządek, gdy biskupi stają się baronami i roszczą sobie prawo do ziemskiego królestwa, gdy intelektualiści stają się ideologami w służbie reżimu.

„Nieskończenie niebezpieczni są ci, którzy są despotyczni, ci, którzy za pomocą środków doczesnych (...) chcą ustanowić (absolutny, despotyczny) rząd dusz, ci, którzy chcą poddawać dyscyplinie młodzież, kierować duszami...” – wyjaśniał w swoim piśmie „Les Cahiers de la Quinzaine”.

Dla Maurrasa nowoczesność i reżim republikański wydały kraj na pastwę „czterech skonfederowanych stanów, wrogów Francji” (1910), czyli Żydów i „meteków”, masonów i protestantów. Jednak to „stan żydowski” był „pierwszym, najważniejszym z czterech stanów skonfederowanych, łączącym bogatych konserwatystów z głodującymi anarchistami” (1909). Dlatego „zdecentralizowana przeciwko metekom, nieparlamentarna przeciwko masonom, tradycyjna przeciwko wpływom protestanckim, dziedziczna wreszcie przeciwko rasie żydowskiej, monarchia jest, jak widzimy, określona przez potrzeby kraju”. Antysemityzm zaś miał w sobie popularny i integrujący potencjał, który nacjonalizm winien wykorzystać.

Choć w 1908 r. Péguy wrócił do wiary chrześcijańskiej, nie został praktykującym katolikiem. Wyznawał mistyczny katolicyzm, nie czuł potrzeby wprowadzania pośredników w swoją relację z Bogiem, a instytucji Kościoła nie szczędził krytyki, gdyż – pisał – opuścił ją duch miłosierdzia, została zwyciężona przez „modernizm serca”, przekształcona w „świętego żandarma”, przestała być wspólnotą, „religią serca”.

Dystansował się od politycznych orientacji ówczesnego Kościoła: „Wszystkie siły polityczne w Kościele były przeciwne dreyfusizmowi”. Ubolewał, że „siły polityczne Kościoła zawsze były przeciwne mistycyzmowi”, zwłaszcza chrześcijańskiemu. Pozostawał zwolennikiem rozdziału Kościoła od państwa, potępiając jednocześnie ekscesy skrajnych antyklerykałów, które interpretował jako klerikalizm skierowany przeciwko wier- nym.

Odrzucał schematyczny system nakazów i zakazów Kościoła: „To, co nazywa się moralnością, to tylko powłoka, która czyni człowieka nieprzenikalnym na działanie łaski”; „Nic nie jest bardziej obce temu, co (z pewnym zawstyżeniem) nazywa się religią, niż tzw. moralność. (...) I nic nie jest tak głupie (...) jak łączenie moralności z religią”. I dalej: „Moralność jest dziełem ludzi chorych. Życie chrześcijańskie jest dziełem Jezusa Chrystusa”.

Z kolei Maurras, wprawdzie agnostyk, był apologetą instytucji Kościoła. Wedle historyka Michela Winocka „wyznawał rodzaj katolicyzmu achrześcijańskiego”, w którym instytucja ma pierwszeństwo przed wiarą. Kościół reprezentował w jego mniemaniu trwałość tradycji, był uosobieniem ładu i hierarchii. Z szacunkiem odnosił się do panującej w jego łonie dyscypliny i posłuszeństwa. Maurras i Action Française to „katolicyzm bez chrześcijaństwa” – pisał ks. Arthur Mugnier [przeciwnik AF].

„Oprócz Nietzschego (...) rzadko nienawiść do chrześcijaństwa była propagowana z taką gwałtownością i zimną pogardą” jak u Maurrasa – twierdzi historyk Pierre Chaunu. Maurras ewangelistów określał mianem „czterech ciemnych Żydów”, a Stary Testament „naukami wywrotowymi”.

W myśleniu Maurrasa nie o wiarę chodziło, lecz o pragmatyczne uznanie roli, jaką odgrywa katolicyzm: „Nie mogąc zgodzić się co do religii – pisał – możemy porozumieć się co do polityki w kwestiach religijnych. Niezgodni co do prawdy, spotykamy się w ocenie, co jest pożyteczne – zgadzamy się w praktyce, że katolicyzm jest dobry zarówno dla narodu, jak i dla cywilizacji i ludzkości”. Przypisanie zatem katolicyzmowi uprzywilejowanej roli nie wynikało bynajmniej z faktu, iż był on religią prawdy objawionej, lecz z tego, że była to religia „dobra” dla narodu i szerokich rzesz ludzkich. Religia katolicka miała odgrywać rolę utylitarną.

Mimo odwołań do tradycji, krytyki nowoczesności i sięgania do takich pojęć jak „rasa” czy „mystyka” Péguy nie był sojusznikiem Maurrasa. Zawłaszczenie zaś Péguy przez kolaboracyjny reżim Vichy było, jak pisał historyk Jean Bastaire w książce „Péguy contre Pétain”, w dużej mierze oparte na oszustwie i błędnej interpretacji.

Podczas gdy po publikacji „Notre Jeunesse” nacjonałści cieszyli się z jego katolickiego zwrotu, nazywając go „skruszonym dreyfusistą”, Péguy w książce potwierdzał swoje wcześniejsze wybory. Wybory polityczne obu myślicieli były nie do pogodzenia.

Péguy mówił językiem sprawiedliwości przeciwko „racji stanu”, językiem praw człowieka przeciwko tym, którzy wykluczali Dreyfusa ze społeczności dlatego, że był Żydem. Opowiadał się za rewizją jego procesu. Bo ani racja stanu, ani nawet doczesne dobro wspólne nie mogły być wytłumaczeniem dla niesprawiedliwości.

W „Notre Jeunesse” jako katolik potwierdzał, że pozostawał dreyfusardem, nawet jeśli sprawa Dreyfusa została zawłaszczona przez polityków w imię ich interesów, a zdecydowana większość katolików masowo afiszowała się z antydreyfusowską postawą.

Maurras z kolei uważał, że wyjaśnienie jednostkowej winy (Dreyfusa) było drugorzędne wobec „jedności narodowej” i integralności francuskiej armii, które uniewinnienie Dreyfusa mogło zniszczyć.

W przeciwieństwie do Maurrasa, który postrzegał dreyfusardów jako przedstawicieli „anty-Francji”, Péguy argumentował, że to patrioci; dążyli do udowodnienia niewinności Dreyfusa, gdyż wierzyli, że nie ma większej hańby niż zostać uznanym za zdrajcę Francji. „W głębi duszy nie chcieliśmy, aby Francja popadła w stan grzechu śmiertelnego” – pisał. Jego zdaniem sprawa Dreyfusa była skrzyżowaniem trzech dróg mistycznych jednocześnie: żydowskiej, chrześcijańskiej i francuskiej, co dowodziło głębokiej jedności francuskiej duszy.

To właśnie z tej sprawy narodziło się to, co Péguy nazywał „partią intelektualną”, która sprowadzała debatę do partyjnych porachunków i politykierskich gier. Péguy nie akceptował politycznej instrumentalizacji dreyfusizmu, o co oskarżał m.in. socjalistę Jeana Jaurès’a, który w sierpniu 1898 r. stanął w obronie Dreyfusa (choć wcześniej uznał go za winnego). Péguy miał mu za złe, że wyciągnął rękę do tych socjalistów, którzy twierdzili, że nie mają powodu, by zajmować stanowisko w tej „burżuazyjnej sprawie”.

Péguy krytykował współczesny mu świat, choć jednocześnie był apologetą republiki. Wbrew reakcjonistom i nacjonalistom, dla których republika to „dziwka”, zatruty owoc rewolucji francuskiej, utrzymywał, że republika jest „operacją starej Francji”. Znaczyło to, że została stworzona przez ludzi dawnej Francji, a „mistycyzm republikański” był możliwy tylko dzięki „mistycyzmowi rewolucyjnemu”, który sam

był dzieckiem mistycyzmu starej Francji. „Jedną i niepodzielną Republiką jest nasze królestwo Francji” – pisał w 1913 r.

Kiedy więc spoglądał w przeszłość, to dlatego, że poszukiwał ciągłości, nie po to zaś, by gloryfikować monarchię czy jej instytucje i dążyć do jej przywrócenia.

O ile więc nacjonałiści z kręgu Maurrasa znajdowali w przeszłości Francji uzasadnienie dla myślenia o narodzie w kategoriach deterministycznej dziedziczności jednostki oraz zachętę do powrotu do starego reżimu, Péguy uważał, że wierność własnej historii zobowiązuje każdego do honoru. Pragnął, by ludzkie działania były zakorzenione w przeszłości Francji, także katolickiej, choć ostro krytykował wrogich Dreyfusowi klerykałów za ich dążenie do przywrócenia monarchistycznego reżimu oraz utrzymania dominującej roli duchowieństwa.

W oczach Péguy republika jawiła się jako nowa forma francuskiej tradycji ludowej, podczas gdy Maurras krytykował nieefektywność rządów republikańskich, oskarżając je o doprowadzenie do upadku Francji. Antyrepublikanizm Maurrasa pogłębił się podczas sprawy Dreyfusa, która podzieliła społeczeństwo na obrońców praw człowieka oraz zwolenników prymatu racji stanu i interesu narodowego.

Nacjonalizm integralny Maurrasa zakładał likwidację republiki na rzecz zdecentralizowanej monarchii, dzięki której „realny kraj” (zakorzeniony w swoich prowincjach, taki, który „pracuje i nie politykuje”) zwyciężyłby nad „krajem legalnym” (republika i jej nieprawowitymi instytucjami). Występował przeciw demokracji, gdyż postrzegał ją jako źródło chaosu w państwie, z polityką układów i klik. Postulował, by władzę przejął dyktator-król, co oznaczało monarchiczne rządy silnej ręki, a de facto reżim autorytarny.

Nie dziwi zatem, że Maurras dostrzegł w 1940 r. w marszałku Pétainie „zbawcę narodu”, a w jego „rewolucji narodowej” – „boską niespodziankę”.

„Nie mówiąc o prześladowaniach, wypędzeniu czy innych aktach nietolerancji, czyż nie ma politycznych korzyści z pojawienia się w kraju radykalnych antysemitów? Antysemityzm to naturalna siła do wykorzystania. Jeśli nie użyjemy tej wielkiej siły, to jaką inną dysponujemy?” – pytał w 1900 r. Maurras.

Na łamach „Action Française” 23 lutego 1911 r. definiował „kwestię żydowską” i tzw. antysemityzm państwowy. „Żyd francuski jest mikroblem państwa. Działa na szeroką skalę i w wielkiej tajemnicy. Przez finanse podporządkował sobie państwo, następnie, dzięki koneksjom, zagarnął najwyższe funkcje w państwie. Żydzi na uniwersytetach, Żydzi w wojsku, Żydzi w wymiarze sprawiedliwości, Żydzi w Izbie, Senacie i Ministerstwie, Żydzi skupiają w swoich rękach najżywotniejsze obszary naszej państwowości”.

Doktryna „antysemityzmu państwowego” sprowadzała się do jednej propozycji: wyeliminować Żyda z życia publicznego poprzez odebranie mu „fikcyjnego obywatelstwa francuskiego” i zastąpienie go statusem wiecznego cudzoziemca sprzed rewolucji francuskiej. „Jest tylko jedno rozwiązanie, aby raz na zawsze rozwiązać ten problem: Żyd nie jest Francuzem, należy do narodu żydowskiego, musi zostać przywrócony do swojej pierwotnej narodowości” – pisał Maurras.

W kwestii antysemityzmu używał eufemizmów: „Nasze francuskie państwo musi zawsze zachowywać się jak wspaniałomyślny i łagodny protektor. Nasz antysemityzm jest antysemityzmem państwowym, nie wynika z niego żadna niepożądana przykreść”. Aby zostać zaakceptowanym przez Maurrasa, Żyd nie może zadowolnić się wypełnianiem obowiązków, przelewaniem krwi za ojczyznę. Musi też przyrzec wierność „integralnemu nacjonalizmowi”, podporządkować się „wyższ-

ści tubylców” i podwoić swoje wysiłki, poświęcenie i „szlachetność”.

W świecie „integralnego nacjonalizmu” pojawia się figura „dobrze urodzonego Żyda”. Ale ta otwartość na „dobrze służących” Francji Żydów jest przede wszystkim legitymacją „antysemityzmu państwowego”, a także eufemizacją myśli antysemickiej Maurrasa. W rzeczywistości Żydzi „dobrze urodzeni” mają wybór tylko między ofiarną śmiercią a wyobcowaniem.

Od marca 1908 do sierpnia 1914 r. blisko 67 proc. z 800 artykułów, które Maurras opublikował w „Action Française”, było wymierzonych w Żydów, a ok. 40 artykułów w całości poświęcił „kwestii żydowskiej”. W 1930 r. pisał o „dwóch antysemityzmach”, swoim i Hitlera: „Francuscy antysemita mogą spokojnym okiem przyglądać się demonstracjom nazistów; one nie kładą się cieniem na ich ideach”.

Niemniej Maurrasowskie teorie przemocy symbolicznej dawały argumenty, by usprawiedliwić, w imię „rozsądku” i „sprawiedliwości”, fizyczne unicestwienie wroga.

Status Żydów przyjęty przez rząd Pétaina w Vichy w październiku 1940 r. eliminował ich z państwa, z wyjątkiem tych, którzy położyli „wyjątkowe zasługi” dla kraju; był zgodny z myśleniem Maurrasa.

Maurras nie był jednak w pełni zadowolony. Konieczne było, pisał, odebranie zagrabionego przez Żydów mienia i zarządzenie powszechnego spisu ludności. A dziesięć dni po wylądowaniu aliantów w Normandii nadal wbił cytelnikom do głowy, że „żydostwo nieustająco rozszerza swoje macki nad światem”.

Jakże skrajnie inną postawę wobec antysemityzmu przyjął Péguy!

Uparcie go zwalczał, a w owym czasie zarażał on nie tylko prawicę, ale i część lewicy. „Nielatwo być Żydem. Z wami. A nawet bez was” – mówił antysemitom Péguy. „Jedyny z moich wierzących, który zachował się wobec mnie bezdusznie, równie okrutnie jak balzakowski lichwiarz, nie był Żydem. To był Francuz; »chrześcijanin«, wielki milioner. Gdyby był Żydem, zrobiono by wielki szum”.

W „Naszej młodości” Péguy solidaryzował się z francuskimi Żydami: „ANTYSEMICY NIE ZNAJĄ ŻYDÓW (sic!), choć o nich mówią – ubolewał. – Iluż Żydów – biedaków, urzędników, profesorów – znam, których kariery zostały zdruzgotane (...), ponieważ byli Żydami w czasie triumfującego antysemityzmu. Znam bardzo wielu biednych i nieszczęśliwych Żydów. Widzę ich wszędzie”.

„Notre Jeunesse” to także wzruszający portret żydowskiego anarchisty Bernarda Lazare’a, pioniera dreyfusizmu, wedle Péguy „ateisty ociekającego słowem Bożym”. Zdaniem autora, Lazare był dalekim potomkiem proroków Izraela, którego zadaniem było nieustanne przypominanie ludziom ulegającym oportunistycznym postawom o cenie prawdy.

Péguy – który nie mógł brać udziału w międzywojennych dysputach na temat pacyfizmu, bo zginął na polu chwały w 1914 r. – wyznawał ideę wojny sprawiedliwej, a jego teksty świadczą, że pacyfistą nie był. I tak w 1913 r. wobec nazbyt pacyfistycznej postawy francuskiej Ligi Praw Człowieka przestrzegał, że „pokój uzyskany drogą prawną wydaje się tak krótkotrwały, prosty, wygodny i rozsądny. Cóż za dziecinada! Prawo nie czyni pokoju, lecz czyni wojnę”.

I dalej: „Idea pokoju za wszelką cenę (...) polega na tym, że pokój ma tak wyjątkową cenę, że niesprawiedliwy pokój jest lepszy niż sprawiedliwa wojna. W systemie praw człowieka (i w systemie chrześcijańskim także) porządek oparty na nieprawości nie jest porządkiem; pokój oparty na nieprawości nie jest pokojem...”.

Żadnym pacyfistom nie należy wierzyć – twierdził, gdy tłumaczył, że pokój powszechny to pojednanie narodów za wszel-

FOT. ZBIÓRY BIBLIOTEKI NARODOWEJ



WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Cyprian Kamil Norwid

Fraszka (!) II

What man dost thou dig it for?..

Hamlet

1

– Jeśli ma Polska pójść nie drogą mlęczną  
W cało-ludzkości gromnym huraganie,  
Jeżeli ma być nie d e m o k r a t y c z n ą,  
To niech pod carem na wieki zostanie!

2

– Jeśli mi Polska ma być a n a r c h i c z n ą,  
Lub socjalizmu rozwinąć pytanie,  
To już ja wolę tę panslawistyczną,  
Co pod Moskałem na wieki zostanie!

3

Tu oba dłońmi uderzą w kolana,  
Aż się poruszył stół, za stołem ściana,  
Aż się oberwał z gwoździem krzyż gipsowy  
I padł, jak śniegu garść...

...K o n i e c r o z m o w y

Wersal 1850

Wiersz za: „**Od Kochanowskiego do Szymborskiej... Antologia poezji polskiej**”, wybór Marek Wawrzek przy współpracy Krzysztofa Gąsiorowskiego, Książka i Wiedza, Warszawa 1999.

Motto utworu: What man dost thou dig it for?... - Dla kogo to kopiesz? (pytanie skierowane do grabarza)

ką cenę są najwyższą wartością. Brzmiało to już wtedy jak ostrzeżenie przed kolaboracją i odmową reżimu Vichy podjęcia walki z nazistami. Dlatego również część ruchu oporu powoływała się na Péguy, w tym de Gaulle.

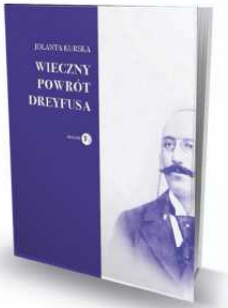
Maurras, zdecydowany pacyfista, nieustająco przestrzegał przed wojną. Gdyby jednak do niej doszło, utrzymywał, że to z winy rewolucjonistów, wspieranych przez Żydów. Mogli oni – zdaniem Maurrasa – liczyć na wsparcie Londynu, a także mieli w przedwojennym rządzie sojuszników, czterech ministrów „Żydów lub judaizujących” podlegających do wojny. Wobec ich wojennej ekscytacji, „rozsądni patrioci” winni uczynić wszystko, by udaremnić wydanie „Francuzów na rzeź przez władzę, która mówi po angielsku lub jest żydowska, lub przez ich francuskich niewolników” (koniec sierpnia 1939). Zaraz potem tłumaczył: „Musimy dziś wziąć pod uwagę stan Francji. Nie chcemy kolejnej hekatomb”. Priorytetem nie był opór przeciw Hitlerowi, nawet gdyby ten zajął Polskę. Dlatego w maju 1939 r. Marcel Déat na łamach „AF” pytał, czy „umierać za Gdańsk”, skoro żywotne francuskie interesy nie są w grze. Odpowiedź znamy.

W czasie wojny Maurras ogłosił się „antygaullistą”, a bojowników ruchu oporu określał jako „terrorystów”, wzywając do jak najostrzejszych represji wobec nich.

Péguy, socjalista, który stał się mistycznym katolikiem, choć piętnował ekscesy Kościoła, uniwersalistyczny rewolucjonista i patriota, zginął na froncie we wrześniu 1914 r. Maurras, którego bezkrytycznie poparcie dla Pétaina przekształciło się we współudział w kolaboracji z okupantem, został skazany w 1945 r. na „degradację narodową” i dożywotnie więzienie. Skomentował wyrok okrzykiem: „To zemsta Dreyfusa!”. W 1952 r. został ulaskawiony. Choć obaj angażowali się po stronie patriotyzmu, były to jednak dwa różne patriotyzmy.

Patriotyzm Péguy, inspirowany patriotyzmem Victora Hugo, nie był kontrrewolucyjny, autorytarny ani antysemicki. Nie polował na cudzoziemców. Nie był też partyjny, tromtadracki i – w przeciwieństwie do Maurrasa i jego wyznawców – integrujący „swoich” przeciwko „innym”. Nie wpisywał się w patriotyzm zakamuflowanego nacjonalizmu. Przeciwnie, był antidotum na nacjonalistyczną patologię, której zarysy Péguy obserwował.

Choć krytyka nowoczesności w ujęciu Péguy mogła inspirować nacjonalistów, to jasne jest, że znajdował się on na antypodach rasowej koncepcji nacjonalizmu. Główny zaś wkład Maurrasa w życie polityczne i intelektualne to rozróżnienie pomiędzy prawdziwymi Francuzami i innymi, uzasadnione historiozoficznie. Nadało ono tej formie rasizmu w polityce wymiar intelektualny i akceptowalną formę, zapewniając mu szerokie rozpowszechnienie wśród intelektualistów. Maurras i jego szkoła poprzez krytykę demokracji, narodowy populizm i antysemityzm stanowili bez wątpienia laboratorium idei i postaw zapowiadających faszyzm. Nakreślili kontury współczesnej skrajnej prawicy. ●



Fragment książki **Jolanty Kawy** (wydanej pod nazwiskiem Jolanta Kurska) „**Wieczny powrót Dreyfusa**”, wyd. Dialog, Warszawa 2022. Książka dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl



# NIEWINNE SKANDALISTKI

Diwy to królowe, z którymi koronowane głowy robią sobie zdjęcia.

Są poza skalą. Diwy magnetyzują publiczność, przyciągają wielbicieli, stają się obiektami o niemal boskim statusie. Tworzą własną religię, w której kościołem jest scena lub ekran kina. Wyznawcy podążają za nimi ślepo zapatrzeni w niezwykle, wykraczający poza to, co już widzieliśmy, wizerunek.

O tym, że długi czas były bardziej obiektami niż ludźmi, przypomina fantastyczna wystawa w londyńskim Victoria and Albert Museum.

## Diwa porusza do łez

1859 r. Szesnastoletnia Adelina Patti, urodzona w Madrycie córka tenora i sopranistki, debiutuje w nowojorskiej Carnegie Hall. Tytułowa rola w „Lucji z Lammermooru” Gaetano Donizettiego idealnie pasuje zarówno do jej niezwykle warunków wokalnych, jak i wizerunku. Publika i prasa są zachwycone. Rodzi się gwiazda.

Dwa lata później Patti wystąpi w londyńskim Covent Garden, a za zarobione pieniądze kupi pod Londynem dom. I ruszy w tournée.

By zostać diwą, nie wystarczy jednak niezwykle talent. Potrzebna jest jeszcze legenda. W wiktoriańskich czasach skandale miłosne nie były dobrze widziane. Co innego łzy prezydenta.

W 1862 r. Patti została zaproszona do Białego Domu. Dla prezydenta Abrahama Lincolna i jego żony Mary wykonała pieśń Johna Howarda Payne’a „Home! Sweet Home!”. Lincolnowie oplakiwali właśnie śmierć zmarłego na tyfus syna, Williego. Wzruszeni poprosili Patti o bis. Ta anegdota ugruntowała jej pozycję najbardziej pożądanej kobiety świata.

Tak, w szczycie kariery była drugą spośród najpopularniejszych kobiet na świecie – na pierwszym miejscu była brytyjska królowa Wiktoria.

Patti była niemal jak królowa. Kupiła zamek w Walii i zbudowała w nim własny teatr, a stroje szyli dla niej królewscy krawcy.

Patti, córka sycylijskiego tenora, była pierwszą diwą ery wiktoriańskiej.

Na wystawie „Diva” w londyńskim Victoria and Albert Museum można podziwiać jeden z kostiumów Adeliny Patti i zdjęcie z jej występu w Albert Hall.

## Monroe, Cher, Rihanna i Tina Turner w jednej sali

Wystawa poświęcona jest niezwykle kobietom (i kilku mężczyznom), których talent, uroda, osobowość i legenda sprawiły, że uzyskały wyjątkowy status „diwy”.

– Dziś słowo „diwa” ma niezliczoną ilość znaczeń – mówiła podczas otwarcia kuratorka, Kate Bailey. – Sercem wystawy jest opowieść o kultowych wykonawcach, którzy dzięki kreatywności, odwadze i ambicjom rzucili wyzwanie status quo i wykorzystali swój głos i sztukę, aby na nowo zdefiniować to słowo.

Na wystawie zaprezentowano ponad 250 prac, w tym 60 strojów takich ikon jak Marilyn Monroe, Elton John, Cher czy Rihanna. Podzielona na dwie części – historyczną i współczesną – oszalała rozmachem. W tej pierwszej można podziwiać m.in. słynną czarną sukienkę z frędzlami, którą Monroe miała na sobie w „Pół żartem, pół serio”, i sukienkę noszoną przez gwiazdę kina niemego Clare Bow.

Współczesność reprezentują tu m.in. kostiumy autorstwa amerykańskiego projektanta Boba Mackiego, wśród nich olśniewająca „płomienną suknię”, którą uszył dla Tiny Turner w 1977 r., a także projekty stworzone dla Cher. Jest również „papiński” kostium Rihanny autorstwa domu mody Margiela, zaprezentowany przez piosenkarkę podczas MET Gali w 2018 r.. Wszystko to zaprezentowano w przestrzeni odrobinę może zbyt ciasnej, ale dającej szansę na oglądanie diw naprawdę z bliska. Czyli tak jak nigdy.



### Norma, pierwsza nowoczesna diwa

Norma, galijska kapłanka, podczas ceremonii ku czci księżycowej bogini śpiewa modlitwę, w której prosi, by „Casta Diva”, „Bogini Przeczysta”, która „srebrzy te święte antyczne rośliny”, zwróciła ku modlącym się swoje oblicze. Norma prosi, by uczyniła to „senza nube e senza vel”, czyli „bez chmur i bez zasłon”.

Opera Vincenza Belliniego, z którego pochodzi ta legendarna aria, wyznaczyła kulturowe standardy tego, kim jest diwa. Kimś z innego, boskiego porządku, kto tylko w swojej łaskawości objawia się wyciekającej publiczności.

Théophile Gautier, wybitny krytyk i pisarz francuski po zobaczeniu Giuli Grisi, pierwszej odtwórczyni Normy, napisał, że w „Casta Diva” jest wszystko: „pasja i piękno, wściekłość, wysublimowana przemoc, groźby, łzy, miłość i gniew”. Zapewniał: „Nigdy wcześniej kobieta nie odsłoniła tak wiele ze swojej duszy podczas odgrywania roli”.

Diwa jednak nie tylko odsłania, ale też zasłania. Ukrywa to, kim jest. I gra w grę ze społecznymi oczekiwaniami. Oferuje skandal, gdy jest na niego zapotrzebowanie. Niewinność, gdy tego wymaga publika. Radość i gniew, gdy można je sfotografować.

Londyńska wystawa przypomina o diwach z dawnych epok, ale też opowiada o diwach nam współczesnych oraz o tym, jakim przeobrażeniom ulegał wizerunek kobiet (i nie tylko) o boginicznym statusie.

### Theda Bara, zapomniana diwa niemego kina

Plakaty, nagrania, ale przede wszystkim wspaniałe stroje przypominają widzom o tym, jak wiele wysiłku wkładano w produkowanie wizerunku diwy.

„Diwa stawiała się publiczną własnością, kontrolowaną i sterowaną przez promotorów filmowych” – pisze w katalogu Kate Bailey, przypominając krótką, acz bogatą karierę Thedy Bary, jednej z ostatnich wielkich gwiazd kina niemego.

Bara w 1915 r. zagrała Carmen w filmie Raoula Walsh, nadając swojej bohaterce delikatny, pełen

egzotyki i seksualności wizerunek. Bara, podobnie jak wcześniej Sarah Bernhard, ucieleśniała nowy typ diwy, daleki od idealnego, królewskiego wizerunku operowych śpiewaczek. Była forpocztą dla takich gwiazd jak Marilyn Monroe czy Liza Minnelli. Była pierwszym wampem w historii kina.

W 1917 r., w szczycie kariery, zagrała Kleopatrę. Jej niezwykle strój wyprzedził o kilka lat modę na egipskość, która opanowała Stany Zjednoczone po odkryciu grobowca Tutanchamona. Kadry z filmu zainspirowały w późniejszych epokach kostiumy Elizabeth Taylor i Cher. Kariera Bary skończyła się wraz z małżeństwem.

Nigdy nie pojawiła się w filmie dźwiękowym. Zmarła w 1955 r.

### Od Mariah Carey po Ru Paula

Kto współcześnie ucieleśnia koncept diwy? Zdaniem kuratorów londyńskiej wystawy – i piszącego te słowa – najbardziej niezwykłą diwą XXI w. jest Mariah Carey. Obdarzona pięciooktawowym głosem piosenkarka nie musi ruszać się na scenie, żeby porywać widownię. Często zresztą ruch utrudniają jej obcisłe kostiumy. Jednak wystarczy, że Carey stoi na scenie czy jest na nią w pozycji leżącej wnoszona przez sześciu mężczyzn. Bombastyczny, odrobinę surrealistyczny wizerunek piosenkarki w połączeniu z legendarną rozrzutnością, spóźnialstwem i zamilowaniem do wytaczania procesów fotografom sprawiły, że bez Carey opowieść o współczesnych diwach jest niemożliwa.

Londyńska wystawa przypomina jednak o tym, że to, kto jest diwą, ulega zmianom. Diwy niekoniecznie są białe. Niekoniecznie są szczupłe. Bywają diwy kochające politykę jak Joan Baez. Bywają też diwy, które kobietami nie są.

Niesamowite wrażenie na zwiedzających wystawę robi kostium zaprojektowany przez Sandy Powell dla Eltona Johna z okazji jego 50. urodzin w 1997 r. Opis tego dzieła sztuki jest zadaniem karłowatym. Szalona fantazja o barokowym stroju w połączeniu z typową dla Eltona Johna ekstrawa-

### Wystawa „Diva” w Victoria & Albert Museum w Londynie

FOT. PETER KELLERHER / VICTORIA AND ALBERT MUSEUM (4)

gancją, której ukoronowaniem jest olbrzymi srebrny kapelusz w kształcie wojskowego okrętu, robią piorunujące wrażenie.

Prince, Freddie Mercury czy Ru Paul to tylko kilku mężczyzn, którzy stali się „diwami”, świadomie przekraczając bariery i pokazując, że plec nie musi ograniczać nikogo przed założeniem butów na obcasie. I ważących dziesiątki kilogramów strojów.

### Diwy chcą przerwy. Publiczność nie

Jednak nie jest to wystawa poświęcona jedynie radości i artystycznej wolności. Twórcy „Divy” pokazują, że za pięknymi strojami często kroczy pełna cierpienia prywatna historia ludzi, którzy postanowili żyć dla sztuki.

I jest też zdjęcie, które porusza najbardziej. Zmęczona, smutna Amy Winehouse niosąca pod pachą lustro, na którego taflę nadrukowano słynny plakat autorstwa Alfonsa Muchy przedstawiający Sarę Bernhardt jako „Damę Kameliową”. Diwa przeprowadza się i jest zmęczona. Ale nawet wtedy towarzyszą jej paparazzi. Jak to się skończyło – wszyscy dobrze wiemy.

Czy to już koniec „boskich” kobiet i mężczyzn? Czy – podobnie jak koncept geniuszy – koncept diw ulegnie erozji i zniknie w świecie, w którym każdy może stać się tym, kim chce, a potrzebny mu jest do tego tylko odpowiedni filtr w mediach społecznościowych? Sądząc po tym, jak kamery na Super Bowl ciągle pokazywały Taylor Swift, niekoniecznie.

Są historie, których potrzebujemy niezależnie od epoki. Historia diw jest jedną z nich. Można się do nich zbliżyć do 10 kwietnia w Victoria and Albert Museum w Londynie. ●

REKLAMA

Kraj/34309310

PATRONUJE

wyborcza.biz

European Economic Congress

7-9 MAJA 2024

XVI Europejski Kongres Gospodarczy

Międzynarodowe Centrum Kongresowe w Katowicach

TRANSFORM TODAY, CHANGE TOMORROW. TRANSFORMACJA DLA PRZYSZŁOŚCI

ZAREJESTRUJ SWÓJ UDZIAŁ

# Zywy mózg W SŁOIK

W osobliwości czasoprzestrzeni załamuje się nie tylko ogólna teoria względności,  
lecz w ogóle nasze poznanie naukowe



FOT. KRZYSZTOF JAKUBCZYK / ALAMY STOCK PHOTO

To już sześć lat od śmierci Stephena Hawkinga. Z tego dystansu można już spokojniej rozpocząć dyskusję o jego roli w nauce i kulturze.

Był Hawking wybitnym uczonym i celebrytą. Jako ikonę w popkulturze wyprzedzał go wśród uczonych jedynie Einstein; jednak była między nimi zasadnicza różnica. Einstein zajmował się fundamentalnymi problemami fizyki i jego odkrycia, często wbrew jego własnym przewidywaniom, okazały się niezwykle praktyczne. Teoria względności dała nam energetykę jądrową, której ranga stale rośnie oraz system pozycjonowania GPS; fizyka kwantowa, którą jako pierwszy potraktował poważnie i zaczął badać jej konsekwencje, dała nam elektronikę, a ta obrosła nas tak wszechstronnie, że wielu ludzi już świata realnego spoza niej nie widzi. Gdyby Einsteina nie było i inni fizycy nie dokonali jego odkryć, technika praktycznie by stanęła i żylibyśmy w świecie sprzed stu lat.

Natomiast Hawking zaspokajał własną – i wielu innych – czystą bezinteresowną ciekawość wielkiego świata, w którym żyjemy. Zbadał naukowo i wprowadził do kultury pojęcie czarnej dziury (zgodnie z zasadami polskiego języka naukowego nazwa winna brzmieć „dziura czarna”, lecz przyjął się mechaniczny przekład z angielskiego). Te fascynujące obiekty mogą być najbardziej wydajnym źródłem energii, lecz wytworzenie czarnej dziury i obsługa jej są tak szalenie trudne, że jej wykorzystanie odsuwa się w dalekie stulecia. Fachowcy są zgodni i nie ma co liczyć na jakiś genialny pomysł, który pozwoli nam zapanować nad tymi tworami.

Od Hawkinga (współpracującego z niedawnym noblistą, Rogerem Penrose’em) dowiedzieliśmy się też, że Wszechświat nie jest odwieczny, że miał początek i nie był to przypadek, lecz w hipotetycznym matematycznym zbiorze wszechświatów, utworzonym w ramach ogólnej teorii względności (OTW), narodziny wszechświata, a nie jego trwanie od zawsze, jest typowe. To najczystsza bezinteresowna wiedza, nie sposób bowiem wyobrazić sobie jakichkolwiek zastosowań historii Wszechświata jako całości. Wiedza o powstaniu Układu Słonecznego również jest mało użyteczna, ale ponieważ stale powstaje dużo układów planetarnych, więc być może w przyszłości da się ją jakoś spożytkować. Narodziny Wszechświata żadnej szansy w tym zakresie nie dają.

Doprawdy jest budujące, że tak wielu ludzi pasjonuje się czystą wiedzą, która nie zrodzi żadnych korzyści materialnych. Szlachetny podziw dla geniusza odkrywającego tajemnice pochodzenia Wszechświata, czyli dającego odpowiedź na najbardziej podstawowe pytanie „skąd pochodzimy i jak powstaliśmy?”, ujawnia piękną cechę natury ludzkiej.

Ten obraz jest niestety zbyt sielankowy i w 2021 r. ukazała się krytyczna książka amerykańskiego dziennikarza naukowego, Charlesa Seifego, „Hawking geniusz i celebryta”, który wykazał, że zachwyt wynikał z wykreowania postaci Hawkinga jako nadludzkiego mędrca-celebryty, wygłaszającego autorytatywnym tonem poglądy na przeróżne tematy. Głębsze zrozumienie jego doniosłego i bardzo trudnego dzieła było i jest znikome.

Było to w lipcu 1980 r., w drugim dniu międzynarodowej konferencji z fizyki grawitacji w Jenie w NRD. Po szerokich schodach wiodących do gmachu dwu ludzi niosło coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak cienki manekin w garniturze. Z garnituru sterczała, a właściwie leżała bezwładnie na ramieniu jednego z niosących, żywa męska głowa w okularach. U szczytu schodów czekał już fotel inwalidzki, niesionego posadzono w nim i położono obie jego ręce na prawej poręcz. Człowiek powoli przesunął dłonie i z wyraźnym wysiłkiem nacisnął klawisz. Fotel ruszył. Przyciskając z trudem inne klawisze, pasażer nadał mu pożądaną kierunek. Manewrom tym przyglądała się, zachowując pełen szacunku dystans, grupa uczestników konferencji.

Tak ujrzałem legendarnego Hawkinga. Nazajutrz miał wykład plenarny. Siedział koło tablicy nieruchomo, z głową na zagłówku, a tekst referatu czytał jego asystent. Po wykładzie ktoś zadał pytanie; Hawking drgnął i obrócił fotel. W ogromnej amfiteatralnej sali, wypełnionej kilkuset osobami, zapadła taka cisza, że usłyszałem tykanie zegarka człowieka siedzącego przede mną. Po dłuższej chwili Hawking wydał z siebie szereg niezrozumiałych dźwięków. Asystent przełożył je na angielski. Następne pytanie i procedura powtórzyła się, tyle że odpowiedź była dłuższa i asystent musiał parokrotnie przekładać światęsa na dostępną innym mowę. Trwało to długo, lecz u nikogo nie dostrzegłem zniecierpliwienia.

Wieczorem, ku mojemu zdumieniu, Hawking pojawił się na bankiecie konferencyjnym. W otoczeniu paru przyjaciół i opiekunów ustawił swój fotel za jednym ze stołów. Pielęgniarz założył mu serwetkę pod brodę i zaczął karmić. Po pół godzinie wielki uczony wyglądał jak małe dziecko przymuszone do jedzenia nielubianej kaszki. Z trudem wytłumaczyłem sobie, że nikt postronny nie powinien czuć się zażenowany tym mało estetycznym widokiem.

Paraliżująca choroba Hawkinga była głównym tematem mediów przez całe jego publiczne życie. Z jednej strony to było pozytywne, bowiem stwierdzenie rozsiane zwykle zabija po paru latach, zamiast niwyszy uprzednio ofiarę w roślinę. Hawking przeżył z nią, w pełnej sprawności intelektualnej, ponad pół wieku; widzimy więc, że przynajmniej w niektórych przypadkach siłą woli można zmobilizować organizm, by stawiał opór chorobie i zatrzymał ją na pewnym etapie. Warto podkreślić, że nie mogąc pisać, Hawking wykonywał długie obliczenia, czyli przekształcał skomplikowane wzory, w pamięci; u każdego, kto wykonywał podobne rachunki na papierze, budziło to najwyższy podziw. Sprawność intelektualna jego umysłu była absolutnie imponująca.

Z drugiej strony, bezsporne jest, że choroba była jedną z głównych sił kreujących legendę. Został on bowiem uznany za realizację idei rozważanej od samego początku w niezliczonych wersjach w literaturze s.f. i nie tylko, tak że stała się elementem kultury masowej oddziałującej na wyobraźnię ogółu; idei, którą można dosadnie wyrazić sformułowaniem „żywy mózg w słoiku”. Został odcieleśniony i z fizycznego człowieka pozostał tylko żywy biologiczny komputer; wszelkie działania fizyczne stały mu się niedostępne. Uwolniony od nich mógł się umysłem wzniesć na wyżyny intelektualnej abs-

rych nie da się opisać. Istnienie osobliwości oznacza, że OTW wyznacza własną nieprzekraczalną granicę stosowalności, podczas gdy granice stosowalności innych teorii trzeba nakładać na nie eksperymentalnie z zewnątrz (np. granicą stosowalności zwykłej mechaniki są prędkości bliskie prędkości światła), bo same z siebie zdają się uniwersalne ważne. Co więcej, w osobliwości załamuje się nie tylko OTW, lecz w ogóle nasze poznanie naukowe, naukę potrafimy bowiem uprawiać tylko w regularnej czasoprzestrzeni (od kilkudziesięciu lat podejmujemy próby sformułowania fizyki w czymś odmiennym od czasoprzestrzeni, lecz jak dotąd wyniki nie są interesujące).

A przy tym osobliwości nie są rzadkim dziwactwem czasoprzestrzeni — obaj uczeni dowiedli, że fizycznie sensowna czasoprzestrzeń, np. naszego Wszechświata, musi mieć osobliwość i to wolne od osobliwości czasoprzestrzenie są rzadką egzotyką. W naszym świecie osobliwość to pierwotny Wielki Wybuch, z którego ten świat się narodził i od którego liczymy dzieje Kosmosu.

Oprócz osobliwości Wielkiego Wybuchu Hawking i Penrose ustalili, że istnieją osobliwości drugiego typu, prowadzące do powstania czarnych dziur.

Czarna dziura to obszar czasoprzestrzeni zawierający osobliwość. Jego brzegiem jest powierzchnia zwana „horyzontem zdarzeń”. Ten horyzont działa jak horyzont geograficzny sprawiając, że obszar czarnej dziury wraz z jej rdzeniem, osobliwością, jest niewidoczny z zewnątrz. Osobliwość jest skromnie osłonięta, „ubrana” w horyzont. To możliwe dzięki temu, że wszelka materia, sygnały, światło, mogą jedynie wpaść do czarnej dziury z zewnątrz, natomiast nie mogą wydostać się z jej wnętrza przez horyzont na zewnątrz. Jeżeli czarna dziura ma

## Za sto lat Hawking może być przykładem genialnej intuicji prowadzącej nieomylnie uczonego w ciemnościach – albo odstrasżającym przykładem, na jakie manowce może zbłądzić myśl badacza

trakcji, niedostępne zdrowym cieleśnie uczonym. Genialność za cenę utraty ciała.

Hawking heroicznie usiłował temu przeczyć i starał się normalnie żyć jako mężczyzna, mąż i ojciec rodziny. To jeszcze bardziej ekscytowało dziennikarzy i czytelników, bo temat ten nie wymaga od jednych i drugich większej wiedzy, a tym bardziej wysiłku umysłowego.

Bezsporne jest więc, że jego sława mocno by zmaląła, gdyby choroba cofnęła się całkowicie lub nigdy na nią nie zapadł; lecz jak bardzo, to trudno określić. Sława otaczająca każdego wybitnego twórcę, artystę czy uczonego jest zawsze skutkiem misternego spplotu dzieła, życia i okoliczności zewnętrznych. Do sławy Einsteina przyczynił się styl zachowania, malowniczość postaci oraz olbrzymia liczba aforyzmów wygłaszanych przy różnych okazjach, w których ukazywał się jak mędrzec ze Wschodu.

Twórczość naukową Hawkinga dzieli się na dwa okresy, które można nazwać „klasycznym” i „kwantowym”. On sam często powtarzał, że w okresie „kwantowym” podważał swoje wyniki z okresu „klasycznego” i to świadcząc o specyfice jego badań, którą przejęło wielu badaczy zajmujących się fizyką fundamentalną. „Klasyczny” oznacza badania z zakresu ogólnej teorii względności Einsteina, która jest podobna do klasycznej fizyki XIX wieku w tym, że nie zawiera żadnych elementów fizyki kwantowej, jest natomiast od niej istotnie odmienna.

„Klasycznie” Hawking i Penrose udowodnili, że OTW przewiduje, iż regularna czasoprzestrzeń (którą jakoś sobie wyobrażamy) generuje swoje „osobliwości”, czyli miejsca, w których ta regularna czasoprzestrzeń się załamuje, znika czas i przestrzeń, a materia przechodzi w ekstremalne stany, w któ-

tło w postaci rojowiska jasnych gwiazd, to widać ją w postaci czarnego koła, z którego żadne światło nie dochodzi. Natomiast kosmologiczna osobliwość Wielkiego Wybuchu jest „naga”, nie okrywa jej żaden horyzont i cały Wszechświat z niej wyleciał; w zasadzie, gdyby nie rozliczne późniejsze procesy astrofizyczne, to moglibyśmy ją zobaczyć.

Niedawno mogliśmy obchodzić 50. rocznicę rozpoczęcia przez Hawkinga „okresu kwantowego”. Przedstawiona poniżej jego historia, a przede wszystkim jej kontekst są rzeczą wielce kontrowersyjną i spodziewam się, że wywoła stanowczy sprzeciw wielu fizyków.

Fizyka fundamentalna, rozumiana jako teoria budowy materii, czyli własności cząstek elementarnych i ich oddziaływań, stoi na dwu filarach: fizyce kwantowej, zwanej „kwantową teorią pola”, i einsteinowskiej OTW. Wszelka materia ma naturę kwantową i jej oddziaływania fundamentalne: elektromagnetyczne i silne oraz słabe siły jądrowe też są kwantowe. Pozornie ciągła fala elektromagnetyczna jest faktycznie polem kwantowym złożonym z roju kwantów tego pola, fotonów. Korpuskularna natura fotonów ukazuje się dla fal bardzo krótkich, w falach radiowych jest słabo widoczna. Oddziaływania fundamentalne są specyficzne, bo elektromagnetyczne wymagają obecności ładunków elektrycznych, a silne jądrowe działają pomiędzy kolorowymi ładunkami kwarków. Prawdziwie uniwersalnym oddziaływaniem są siły grawitacyjne, gdyż wytwarza je energia, a materia ma sens fizyczny, gdy niesie energię. Grawitacja kształtuje czasoprzestrzeń, zatem można powiedzieć, że czas jest pewnym aspektem grawitacji. Skoro tak, to kwantowa materia winna wytwarzać siły grawitacyjne o naturze kwantowej. To mocny argument i można go

wesprzeć rozumowaniem, że w pewnych sytuacjach kwantowa materia nie może wytwarzać klasycznego pola grawitacyjnego. Próbowano obejść ten argument, lecz nieskutecznie.

Powszechny jest pogląd, że grawitacja ma naturę kwantową i że należy ją ujawnić, kwantując ją, czyli skonstruować kwantową teorię grawitacji, do pewnego stopnia analogiczną do kwantowej teorii pola elektromagnetycznego.

Fakt, że dwa zjawiska są silnie powiązane, nie oznacza, że naturę ich związku łatwo ustalić. Już w odległej przeszłości prehistorycznej wiadomo było, że dziecko pojawia się w wyniku określonej współpracy kobiety i mężczyzny, lecz w średniowieczu, a potem aż po wiek XVIII, wyobrażenia, jak to się dzieje, były fantastyczne i fałszywe; dopiero w wieku XX poznaliśmy poprawnie biologię rozrodu, aż do poziomu molekularnego.

Okazało się, że dwie teorie, które usiłujemy zjednoczyć, kwantowa teoria pola i einsteinowska OTW, tworzą skrajnie nie dobraną parę, i obie stawiają zaciekle opór próbom mariażu. Prace nad tą unifikacją zaczęły się około 1948 r. badaniami Paula Diraca w Cambridge oraz zespołu Petera Bergmanna, dawnego współpracownika Einsteina, w USA. Po kilku latach ten program badawczy zyskał powszechne uznanie i właściwie wszyscy znani fizycy zajmujący się badaniami fundamentalnymi, przez jakiś czas w nim pracowali. Wyniki są jak w dawnym dowcipie politycznym: budowa kwantowej teorii grawitacji jest jak budowa socjalizmu w krajach demokracji ludowej i dzieli się na dwa okresy — pierwszy to trudności wzrostu, a drugi to wzrost trudności. Okazało się, że niemal wszystkie pojęcia zaczerpnięte z istniejącej fizyki tracą sens, podobnie z większością pojęć matematycznych. Trudności są niewyobrażalne. Bezsposornie stworzenie kwantowej teorii grawitacji jest najambitniejszym i najtrudniejszym intelektualnie zadaniem w dziejach ludzkości. Po trzech czwartych wieku niepowodzeń zasługuje na refleksję, czy warto je kontynuować.

Powody porażki nie są całkiem jasne, przypuszczalnie program jest przedwczesny. Przykładem pytanie, które może zadać małe dziecko: „dlaczego słońce świeci?”. W większości starożytnych religii słońce było bóstwem i świeciło mocą nadprzyrodzoną, więc problemu nie było, lecz już w średniowieczu było tylko ciałem niebieskim krążącym wokół Ziemi i pytanie było zasadne. Stało się ono ważne z końcem XIX w., gdy fizycy ustalili, ile energii w przybliżeniu Słońce emituje, że jest ona zachowana i nie dopływa do niego z zewnątrz (np. upadek meteorów). Było jasne, że świeci na koszt własnych zasobów energii, ale gdzie ta energia jest zmagazynowana i jak zamienia się w promieniowanie? Wszelkie reakcje chemiczne, np. spalanie, zostały wykluczone. W 1854 r. fizyk niemiecki Hermann von Helmholtz wysunął hipotezę, że Słońce kurczy się i świeci na koszt energii grawitacyjnej. Tak jak spadające swobodnie ciało zamienia swoją potencjalną energię grawitacyjną na energię kinetyczną ruchu, a ta po uderzeniu w ziemię przekształca się w energię termiczną, tak zewnętrzne kuliste warstwy kurczącego się Słońca zamieniają energię grawitacyjną na energię spadania. Warstwy te są gazowe, ich atomy zderzają się i zamieniają energię ruchu do centrum na energię chaotycznych ruchów cząstek, czyli na ciepło. Gaz się rozgrzewa i zaczyna świecić. Ten proces kurczenia nie może trwać długo.

Ideę tę podjął angielski fizyk, lord Kelvin (ten od skali temperatur). Po 1859 r. skrytykował teorię ewolucji Darwina, twierdząc, że Słońce i Ziemia są zbyt młode, by powolny dobór naturalny mógł dać znaczące efekty. Poza darwinistami skrytykował geologów twierdzących, że najstarsze skały mają ponad 500 mln lat. W 1897 r. wyliczył, że Słońce zmniejszyło swój promień dwukrotnie w ciągu 20-40 mln lat, zatem Układ Słoneczny nie może być dużo

starszy i zarzucił geologom rażące błędy w datowaniu. Wybuchła potężna awantura publiczna. Dopiero w 1907 r. opracowano radiometryczną metodę datowania skał na podstawie zawartości izotopów promieniotwórczych. Okazało się, że ziemskie skały są jeszcze starsze, niż sądzono – a źródło energii słonecznej pozostało zagadką. Rozwiązała ją dopiero w latach 1936-38 fizycy niemieckiego pochodzenia, Hans Bethe i Carl von Weizsaecker. Konieczna do tego jest fizyka jądra atomowego, mechanika kwantowa i szczególna teoria względności.

Żaden z tych czynników nie istniał na przełomie wieków i Kelvin był bez szans. Zasadne wydaje się przypuszczenie, że obecnie nie znamy jakiegoś istotnego czynnika z fizyki grawitacji lub fizyki kwantowej i dlatego spójne połączenie obu teorii nie może się powieść.

Wracamy do Hawkinga sprzed pół wieku. Świadomy, że fizyka fundamentalna ma za sobą dwadzieścia pięć lat niepowodzeń na polu kwantowania grawitacji, uznał, że problemu nie można atakować frontalnie i liczyć na jego pełne rozwiązanie, lecz trzeba opisywać konkretne zjawiska kwantowej grawitacji bez odwoływania się do nieistniejącej jeszcze teorii.

Pomysł, by przewidywać przebieg jakichś zjawisk, nie dysponując odpowiednią teorią, wydaje się absurdalny. Sensem istnienia teorii naukowej jest jej zdolność przewidywania nowych, nieznanych dotąd faktów empirycznych. Jeżeli nowe fakty można przewidywać, jakościowo i ilościowo, bez teorii, to jest ona zbędna. Lecz jedynym znanym nauce prawomocnym sposobem prognozowania jest właśnie teoria: zdolność przewidywania utożsamiamy z teorią. Skończony i możliwy do ogarnięcia umysłem system twierdzeń tworzących daną teorię pozwala przewidzieć i opisać szczegółowo potencjalnie nieskończony zbiór faktów empirycznych. „Nie ma nic lepszego niż dobra teoria” powiedział pewien uczyony.

Jeżeli jednak interesują nas tylko wybrane zjawiska i zadowolimy się przybliżoną znajomością ich przebiegu, teorię można obejść, zastępując ją zgadniętymi intuicyjnie modelami. Przykład - podany przez Nielsa Bohra przed powstaniem mechaniki kwantowej planetarny model atomu wodoru. Elektron, niczym planeta wokół Słońca, krąży wokół jądra atomu i gdy jego orbity są odpowiednio dobrane, to model dobrze opisuje rzeczywisty wodór.

Ale własności atomów wieloelektronowych tak prosto przybliżać się już nie da. Hawking postanowił zastosować reguły kwantowej teorii pola do czarnej dziury, nieco wcześniej bowiem niektórzy badacze jęli sygnalizować, że czarne dziury mogą mieć zadziwiające własności fizyczne, niewynikające z OTW. Ogólna reguła tworzenia przybliżonych modeli, przyjęta przez Hawkinga i jego naśladowców, to: badać potencjalne zjawiska kwantowe metodami kwantowej teorii pola, niezależnie zmodyfikowanej grawitacją, czyli krzywizną czasoprzestrzeni. Aktem wiary Hawkinga

(przyjętym przez innych) było, że grawitacja nie zmienia zasadniczo teorii kwantowej, tylko ilościowo ją modyfikuje w przewidywalny sposób.

Tym sposobem Hawking dokonał w 1974 r. największego odkrycia tego okresu, „promieniowania Hawkinga”: czarna dziura świeci! W sprzeczności z teorią klasyczną teoria kwantowa przewiduje, że czarna dziura emituje światło i inne cząstki elementarne. Świeci, ponieważ jest „ciepła”, ma temperaturę. Każde ciało mające dodatnią temperaturę promieniuje elektromagnetycznie; ciało ludzkie ma temperaturę ponad trzysta kelwinów i emituje w podczerwieni, co jest wykorzystywane militarnie. Temperatura zależy od masy; czarne dziury o masach gwiazdowych, czyli najpospolitsze, są chłodne, mają temperaturę dziesięciomilionowej części kelwina i ich promieniowanie jest niewykrywalnie słabe; czarne dziury sto miliardów razy lżejsze od Słońca są już jak ono gorące. Horyzont nie jest ciałem materialnym, lecz matematyczną granicą w czasoprzestrzeni i wprawdzie temperaturę czarnej dziury wiążemy z jej horyzontem, lecz to nie jest temperatura ciała zbudowanego z atomów, ale temperatura w pewnym uogólnionym abstrakcyjnym sensie.

Przypuszcza się, że gdyby umieścić termometr blisko horyzontu, to pokazałby temperaturę wyliczoną przez Hawkinga. Ponieważ zjawisko jest opisane tylko przybliżonym modelem, a nie ścisłą teorią, nie znamy jego dokładnego przebiegu, np. nie jest jasne, czy promieniowanie przechodzi przez horyzont z wnętrza czarnej dziury na zewnątrz (a więc horyzont nie zamyka ściśle jej zawartości, można uciec), czy też jest kwantowo kreowane nad horyzontem.

Nowy scenariusz jest następujący. Po ustaniu reakcji termojądrowych gwiazda zapada się, powstaje czarna dziura, bardzo zimna i według koncepcji Hawkinga emituje bardzo słabe promieniowanie. Siły grawitacyjne na jej powierzchni są małe, więc użyte przez niego przybliżenie wydaje się sensowne i opis początkowego etapu ewolucji winien być wiarygodny. Z czasem masa czarnej dziury maleje unoszona przez promieniowanie, siły grawitacyjne na horyzoncie rosną, czarna dziura staje się coraz gorętsza i świeci coraz mocniej, mamy wyraźne dodatnie sprzężenie zwrotne. Przybliżenie załamuje się i faktycznie nie wiemy, co się dzieje. Model opisuje zatem tylko początkowe stadium „parowania” czarnej dziury, gdy ma niską temperaturę. Popularna hipoteza głosi, że proces „parowania” trwa nadal, jest coraz szybszy i czarna dziura kończy żywot spektakularnym wybuchem, w którym wyrzuca nie tylko fotony, lecz także cząstki ciężkie, elektrony i protony. Być może tak jest, lecz jest to daleko poza wiarygodnym przybliżeniem.

Promieniowanie Hawkinga było jedną z największych sensacji naukowych drugiej połowy XX w. Ledwo ludzie przyzwyczaili się do tego, że czarna dziura wchłania wszystko, co się do niej zbliży i niczego nie wypuszcza, a już trzeba było przyjąć, że w dość tajemniczy sposób promieniuje. Niedowierzanie sprawiło, że obliczenia Hawkinga powtórzyły na różne sposoby setki badaczy, w tym piszący te słowa — moim zdaniem, niezależny argument za tym, że coś w rodzaju promieniowania Hawkinga winno istnieć, pochodzi ze szczególnej teorii względności.

Te liczne powtórzenia pokazują, że błąd w obliczeniach nie ma, lecz wszystkie te sposoby, siłą rzeczy, opierały się na kwantowej teorii pola stosowanej daleko poza obszarem sprawdzonej jej stosowności. Nie można wykluczyć błędu systematycznego, konceptualnego. Argumentem przeciwko jest, że wszystkie sposoby obliczeń dały ten sam wynik. Dla wielu badaczy to świadectwo poprawności obliczeń i są przekonani, że promieniowanie Hawkinga (zwane zjawiskiem Hawkin-

ga) istnieje, a jego wykrycie obserwacyjne to tylko kwestia przyszłości. Jest podawane w wielu podręcznikach OTW i kosmologii jako prawda ustalona, która zostanie potwierdzona przez przyszłą ścisłą teorię i obserwacje.

Czy to nie jest nadmierny optymizm? Hawking poruszał się w nieznanym i grząskim terenie, wiedziony niezwykłą wyobraźnią i intuicją. Jego wynik jest w miarę wiarygodny, gdyż według obecnej wiedzy jest jednoznaczny, lecz nie prawomocny. Wiarygodny, czyli godny racjonalnej wiary i pewnego zaufania – natomiast wynik prawomocny daje tylko prawdziwa ścisła teoria w obszarze jej stosowności. Filozofowie spierają się, kiedy teoria naukowa jest prawdziwa i czy w ogóle może być prawdziwa. Fizycy mają określone kryteria i panuje zgoda, które istniejące teorie są prawdziwe.

Chcę wyraźnie powiedzieć, że te zastrzeżenia nie mają na celu podważenia wyniku Hawkinga. Chodzi o to, że on raczej zgadywał go, niż dowodził. Mówiąc obrazowo: za sto lat Hawking może być równie dobrze przykładem genialnej intuicji, prowadzącej nieomylnie uczonego w ciemnościach, jak i odstrasającym przykładem, na jakie manowce myśl badacza może zbłądzić. Pierwsze zapewne jest bliższe prawdy, lecz wątpliwości nie można tłumić. Obowiązuje bowiem stara zasada, w Polsce sformułowana przez filozofa i logika Kazimierza Ajdukiewicza, że stopień zaufania do jakiegokolwiek tezy nie może przewyższać stopnia jej uzasadnienia.

Po 1975 r. rozpoczął się ostatni, czysto „kwantowy”, okres twórczości naukowej Hawkinga. Przez ostatnie czterdzieści lat życia poruszał się po trzęsawisku w fizyce fundamentalnej.

Fizyka jest nauką empiryczną: zajmuje się obiektami, które można pomierzyć w laboratorium lub obejrzeć przez teleskop na niebie. Jej specyfiką jest ścisła współpraca eksperymentu i teorii. Eksperyment mówi, co istnieje i jakie ma własności, teoria jako uporządkowany logicznie system twierdzeń opisuje znane już zjawiska i przewiduje olbrzymi zbiór zjawisk dotąd nie obserwowanych, z których część może stanowić podstawę techniki. Ta współpraca, od czasów Galileusza i Newtona, udostępniła ludzkości największą znaną nam moc, dzięki której nasze życie różni się istotnie od życia w średniowieczu.

Zaczęła się ona pśuć w drugiej połowie XX w. właśnie w obszarze fizyki fundamentalnej. Własności cząstek elementarnych poznajemy, niemal wyłącznie dokonując ich zderzeń. Eksperymenty te pokazały, że zwiększając energie zderzających się cząstek, obserwujemy nowe zjawiska i nowe cząstki i należy je opisywać nowymi prawami fizyki. W ten sposób doszliśmy do Modelu Standardowego Cząstek, który uporządkował znane ich własności. Jego domknięciem było odkrycie w 2012 r. bozonu Higgsa, stanowiącego teoretyczny fundament Modelu. W tym celu wybudowano akcelerator LHC w ośrodku CERN w Genewie.

Lecz akcelerator ten stanowi kres naszych możliwości eksperymentalnych w fizyce cząstek. A Model Standardowy nie odpowiada na szereg fundamentalnych pytań, np. dlaczego proton jest dużo cięższy od elektronu — według niego obie cząstki mogłyby mieć równe masy. Istnieją sensowne argumenty, że gdy energie zderzających się cząstek będą miliony razy większe, to pojawiają się jakościowo nowe zjawiska i będziemy mogli głębiej wyjaśnić naturę ich naturę. Niestety, akcelerator dający potrzebne energie musiałby mieć rozmiary większe od Układu Słonecznego. Skoro eksperyment, siłą rzeczy, wypada z gry, to również badania teoretyczne winny być zawieszono co najmniej na kilka stuleci, zanim technika nie rozwinie się dostatecznie. To oczywiście absurd, więc teoretycy od kwantowej teorii

**Z fizycznego człowieka pozostał tylko żywy biologiczny komputer; wszelkie działania fizyczne stały mu się niedostępne. Uwolniony od nich, mógł się umysłem wznieść na wyżyny intelektualnej abstrakcji, niedostępne zdrowym cieleśnie uczonym. Genialność za cenę utraty ciała**



FOT. PAP/EPH/ZERO GRAVITY CORPOR

pola i cząstek jeli uprawiać czysto intelektualną twórczość, nieskrepowani żadnymi faktami materialnymi.

Twórczość ta, oparta tylko na pomysłowości badaczy, poszła we wszystkich możliwych kierunkach. Wymienimy tylko parę z nich. Oprócz intensywnych wysiłków skwantowania grawitacji rozwijano nową ideę cząstek fundamentalnych (elektrony, fotony, kwarki) oraz wymyślono kwantową kosmologię (Wszechświat jako obiekt kwantowy). Dotychczas cząstki fundamentalne (z nich zbudowane jest kilka-set cząstek elementarnych) traktowano jak punkty materialne bez rozmiaru, teraz pojawił się pomysł, że są mikroskopijnymi strunami (bardzo cienkimi sznurkami).

Początkowo teoria strun odniosła pewne sukcesy, wywołując euforię, potem ją grzęznąć w coraz trudniejszych problemach matematycznych i tak jest do dzisiaj. Aby je pokonać, zmieniano założenia wyjściowe, cząstki miały być dwuwymiarowe („membrany”), potem mieć więcej wymiarów („brany”), w końcu wyewoluowała skrajnie abstrakcyjna teoria M (pochodzenie tej nazwy nie jest jasne; złośliwi twierdzą, że bierze się od słów „magic, myth, mysticism”). W teorii strun pojawiła się metafizyczna koncepcja „wieloświata”, „multiverse” – którą niektórzy uważają za dowód, że teoria ta jest bez sensu. W kosmologii odrzucono ortodoksyjny obraz początku Wszechświata w Wielkim Wybuchu, uzasadniony przez Hawkinga i Penrose’a w okresie „klasycznym” i wprowadzono mnóstwo koncepcji radykalnie odmiennych; duża część z nich ma wspólną nazwę „wszechświaty inflacyjne”. Konstrukcje te noszą dumną nazwę teorii, lecz w rzeczywistości są albo zalążkami teorii, albo prawie teoriami zawierającymi dowolne elementy – tak, że niewiele z nich wynika. Tylko dla porządku dodam, że nie dają żadnych przewidywań, które moglibyśmy sprawdzić.

Aby nie powstał fałszywy obraz fizyki, stwierdzam, że rozbrat teorii i eksperymentu wystąpił z konieczności w obszarze fizyki fundamentalnej. W pozostałych działach fizyki tworzą jej dwa „skrzydła”, które pracują zgodnie i przynoszą wymierne wyniki, np. szybki rozwój elektroniki.

**Einstein powiedział ludziom, że niewiele wiedzą o czasie i przestrzeni, Hawking wyjaśnia im, skąd i jak wziął się cały świat. Jeżeli dotąd potrzebowali do tego Boga, to teraz mogą odesłać Go na emeryturę: nauka w osobie Hawkinga ostatecznie czyni Stwórcę zbędnym**

W ten pogmatwany i niestabilny świat badań fundamentalnych wszedł Hawking i istotnie przyczynił się do wzrostu obu tych cech. Badał efekty kwantowe w grawitacji, stosując wspomniane przybliżenie za pomocą zmodyfikowanej kwantowej teorii pola; metodę powszechnie używaną w ślad za nim przez innych. Nie dało to większego sukcesu.

Najważniejszym jego osiągnięciem było odkrycie w 1976 r. paradoksu utraty informacji w czarnej dziurze. Da się on sformułować poglądowo. Wyobraźmy sobie trzy czarne dziury o równych masach, z których jedna powstała przez zapaść olbrzymiej piramidy komputerów i telewizorów, druga z równie wielkiej piramidy stołów, krzeseł i innych mebli, a trzecią utworzył kolaps stosu cegieł. Bezspoornie każda wchłonęła odmienną ilość odmiennej informacji. Dopóki czarna dziura była idealnie czarna i niczego nie wypuszczała, my na zewnątrz z przyczyn zasadniczych nie mieliśmy dostępu do tej informacji, ale bezpiecznie mogliśmy założyć, że jest w jakiejś formie gdzieś w dziurze schowana. Zjawisko Hawkinga stawia trudny problem: te trzy dziury emitują jednakowo termiczne promieniowanie, niosące znikomą ilość informacji, aż do momentu, gdy wyparują i znikną. Gdzie jest teraz informacja o materii, z której powstały?

Paradoks ten oznacza, że teoria kwantowa w obecności grawitacji przestaje być deterministyczna. Teoria ta (jak każ-

da inna) przypisuje obiektowi kwantowemu (w tym przypadku kolapsującej materii) pewien stan, czyli sytuację fizyczną, w jakiej się on znajduje i określa ewolucję w czasie tego stanu. Teoria jest deterministyczna, jeżeli znając jakiś stan dzisiaj, jednoznacznie mówi nam, jaki stan był wczoraj i jaki będzie jutro. Dla materii przepracowanej w czarnej dziurze tak nie jest.

Paradoksem jest, że zjawisko Hawkinga to wynik „współpracy” kwantowej teorii pola i teorii grawitacji. I właśnie w nim obie teorie mocno się pogryzły.

Hawking uznał, że w polu grawitacyjnym teoria kwantowa przestaje być deterministyczna; dla teorii fizycznej brak determinizmu czyni ją mało wartościową. Dla większości fizyków, wychowanych na fizyce kwantowej, była to rażąca herezja. Wybuchł zażarty spór.

Po czterdziestu latach nie został zadowalająco rozwiązany i przypuszczalnie zostanie rozwiązany dopiero w ramach ścisłej kwantowej teorii grawitacji, czyli w dość odległej przyszłości. Obecnie większość fizyków uważa, że czarne dziury nie niszczą informacji i kwantowa teoria pola jest deterministyczna również w ich obecności. Argumenty odwołują się do teorii strun oraz do pewnego uproszczonego modelu kwantowej grawitacji. W obu przypadkach sądzi się, że oryginalne obliczenia Hawkinga (i jego naśladowców) były nadmiernie uproszczone: promieniowanie czarnej dziury składa się z głównej składowej, termicznego promieniowania Hawkinga, oraz ze składowych niosących informację o materii tworzącej tę dziurę. Sam Hawking przez prawie trzydzieści lat był przekonany, że ta informacja ginie i niechętnie zmienił zdanie.

W ciągu tych czterdziestu lat Hawking napisał wiele prac z kwantowych własności czarnych dziur, kosmologii kwantowej, ewolucji inflacyjnej i teorii strun. W zgodnej opinii ekspertów nie miał żadnych znaczących wyników. Jego sława jako genialnego uczonego i wielkiego celebryty rosła pod wpływem jego książek i niezliczonych wykładów publicznych, a jego autorytet w środowisku fizyków malał. O jego działalności popularyzatorskiej powiemy później, teraz zajmiemy się racjonalnością pracy badawczej w tym trzęsawisku.

Księga Koheleta głosi: „Wszystko ma swój czas i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem: (...) Jest czas rzucania kamieni i czas ich zbierania” (Koh 3,1; 3,5). Ta mądrość jest z oporami przyjmowana w świecie uczonych. W naukach ścisłych funkcjonuje empirycznie ustalona reguła, że wybitnych odkryć dokonać można najpóźniej przed czterdziestką, a potem uczony wpada w rutynę; odstępstwa od niej są niezmiernie rzadkie. Wielcy uczeni instynktownie usiłują jej zaprzeczyć. Psychologicznie jest trudno pogodzić się z tym, że przestaje się być postacią wiodącą, badaczem dokonującym przełomu w naszej wiedzy i wyznaczającym nowe kierunki, że trzeba zgrabnie zejść z czołówki. Historia nauki zna wiele przypadków, gdy wielcy do późnej starości usiłowali tworzyć nowe programy badawcze albo gdy nowy program wymyślił ktoś młodszy, z impetem się w niego włączyć i znowu znaleźć się na szczycie. Efekty były rozmaite, mówiąc delikatnie.

Na czym konkretnie miałoby polegać „zbieranie kamieni” przez wybitnego uczonego, jest kwestią indywidualną. Sytuacja najczęstsza, gdy dorzuca do setki prac dających minimalny postęp w danej dziedzinie własną pracę, równie doniosłą, jest niezbyt przemysłana. Zamiast tonąć w tłumie, mądrzej jest stanąć indywidualnie z boku jako obserwator i arbiter i korzystając z doświadczenia i intuicji oceniać sytuację. Równie pożyteczne jest pisanie artykułów przeglądowych i monografii.

Jak każdy celebryta Hawking umiejętnie wzbudzał i podtrzymywał medialny szum wokół swojej osoby, powtarzając wielokrotnie, że nie on go powoduje i mu na nim nie zależy.

Było to mało szkodliwe, jeżeli pominąć ubolewania konserwatystów, że to nie licuje z godnością poważnego uczonego. Hawking poszedł jednak dalej. Postanowił go skomercjalizować.

Popularyzacja jest podstawową formą dialogu świata nauki z resztą społeczeństwa, a przynajmniej z tą jego warstwą, którą można nazwać „inteligencją”. Generowana nauką technologia zmienia coraz silniej nasz świat, więc wzajemne zrozumienie obu tych grup ma wagę fundamentalną.

Ten dialog nie jest łatwy. Ponoć Maksym Gorki zapytany, jak należy pisać dla dzieci, odpowiedział „jak dla dorosłych, tylko lepiej”. W historii powstało kilka wybitnych dzieł popularyzatorskich, np. „Dzieje świecy” Michaela Faradaya; w bliższych nam czasach z bezliku książek popularnonaukowych (duża część z nich powstała na wzór tekstów Hawkinga) warto wyróżnić „Ewolucję fizyki”, przedstawiającą poglądy Einsteina spisane przez naszego rodaka z krakowskiego Kazimierza, Leopolda Infelda, a przede wszystkim „Pierwsze trzy minuty” Stevena Weinberga, najdoskonalsze z dzieł opisujących początki Wszechświata. Dopiero czytając je, widzi się, ile trzeba mieć talentu i ile pracy trzeba w nie włożyć.

Popularyzacja jest trudna, bowiem uczony pisze nie dla ludzi równych mu sprawnością intelektualną i wiedzą, lecz dla czytelników, którzy już zapomnieli większość skromnej szkolnej wiedzy z fizyki i matematyki. Musi bardzo starannie formułować twierdzenia i konstruować uzasadnienia tak, by każdy ich etap był zrozumiały dla czytelnika niemającego odpowiedniego treningu. Z kolei czytelnik nie może czytać tego, jak gazetę, musi wysilić się, by zrozumieć argument autora i każdą partię materiału uważnie przemyśleć. Ludzi skłonnych do takiego wysiłku, niedającego wymiernych korzyści, a jedynie satysfakcję ze zrozumienia jakiegoś fragmentu rzeczywistości, nie ma dużo.

Przez większą część życia miał Hawking problemy finansowe. To, co zdrowemu człowiekowi przychodzi za darmo, on musiał opłacać — całodobową opiekę całego zespołu pielęgniarek ze skromnej pensji angielskiego profesora, aby funkcjonować. Podobno dostał ofertę z uniwersytetu w Chicago z kilkukrotnie wyższą płacą, lecz ze względów patriotycznych ją odrzucił. Postanowił zarobić na popularyzacji. Było jasne, że prawidłowa popularyzacja tylko nieznacznie zwiększyłaby krąg ludzi coś rozumiejących z jego dokonań, a on potrzebował, by jego książkę czytały — a przynajmniej kupiły — tłumy. Zdecydował się, jak dawniej mówiono, „zadziwić mieszczan” i zakomunikować im, bez wdawania się w szczegółowe uzasadnienia, odkryte przez siebie najgłębsze tajemiki Kosmosu. Istotne było przy tym, by czytelnik nabrał przekonania, że największy uczony ujawnia mu odkrytą przez siebie fundamentalną prawdę o naturze Wszechświata i wyjaśnia ją tak, że znikają wszelkie wątpliwości.

Sugestia zamiast logicznych argumentów. Co więcej, mimo że na tym polu działała już spora grupa badaczy (lata 80.) i Hawking większość prac pisał ze współpracownikami, sugerował, że jest jedyny i wszystko jest jego dziełem („ja miałem ten pomysł i ja go zrealizowałem”). Tak powstała „Krótka historia czasu” (1988), rekordzistka sprzedaży.

Recenzje fizyków w specjalistycznych czasopismach były chłodne, niektóre sztycherce. Od uczonego tej miary można było się spodziewać czegoś dużo lepszego, ale nie o przekaz wiedzy, a o olśnienie czytelnika chodziło. Rzeczywiście, wielu ludzi szczerze twierdziło, że wywody Hawkinga zrozumieli. Aby wzmocnić wrażenie, że głosi prawdy ostateczne, Hawking zagrał na emocjach.

Najambitniejsze według niego zadanie, które niemal rozwiązał, brzmiało: „dlaczego Wszechświat jest taki, jaki jest?”. Według OTW, gdy cofamy się w czasie, to dochodzimy do pierwotnej „gołej” osobliwości Wielkiego Wybuchu i to jest jego początek; więcej dowiedzieć się nie możemy. Czy możemy pójść logicznie w przeciwnym kierunku i zapytać: „skąd się wzięła pierwotna osobliwość?”, „czy ona była konieczna?”, „dlaczego Wszechświat powstał?”. Osobliwości pierwotnych jest matematycznie wiele, a Wszechświat jest jeden, więc jaki czynnik wybrał jedną z nich i dał nam aktualny świat? Hawking powiada: być może wyboru dokonał Bóg, lecz być może jesteśmy w stanie

obejść się bez Niego. Wprowadził koncepcję „Wszechświata bez brzegów”, według której można uniknąć zarówno pierwotnej osobliwości, jak i wyboru jednego z możliwych światów.

Koncepcja ta została szybko obalona przez innych, lecz nie próbując jej przedstawić, warto powiedzieć, jak Hawking ją reklamował w „Krótkiej historii...”: „Taki Wszechświat byłby całkowicie samowystarczalny i nic z zewnątrz nie mogłoby nań wpływać. Nie mógłby być ani stworzony, ani zniszczony. Mógłby tylko BYĆ. Tak długo, jak Wszechświat ma początek, można przypuszczać, że istnieje jego Stwórca. Ale jeżeli Wszechświat jest naprawdę samowystarczalny, nie ma żadnych granic ani brzegów, to nie ma też początku ani końca, po prostu istnieje. Gdzież jest wtedy miejsce dla Stwórcy?”.

Hawking używał trybu warunkowego, lecz bez wątplenia wierzył w to, co mówił i tę wiarę chciał przekazać laikom. Dla Einsteina Bóg był personifikacją harmonii świata i liczne jego o Nim aforyzmy wyrażały zachwyt nad doskonałością przyrody („Pan Bóg jest wyrafinowany, ale nie jest złośliwy”). Dla Hawkinga Bóg jest bogiem religii, a zarazem — konkurentem w sformułowaniu zasad rządzących światem. Tutaj Hawking bije na głowę Einsteina: ten powiedział ludziom, że niewiele wiemy o czasie i przestrzeni, Hawking zaś wyjaśnia im, skąd i jak wziął się cały świat. Jeżeli dotąd potrzebowali do tego Boga, to teraz mogą odesłać Go na emeryturę: nauka w osobie Hawkinga ostatecznie czyni Stwórcę zbędnym.

Nie trzeba być profesjonalnym filozofem, by dostrzec w tym cytacie dwa niesamowite stwierdzenia. Po pierwsze, Hawking niedwuznacznie sugeruje, że co najmniej znalazł się na właściwej drodze do rozwiązania największego problemu filozofii, z którym filozofowie zmagają się — całkowicie bezskutecznie — od dwudziestu pięciu wieków: udowodnienia konieczności istnienia Wszechświata. W innym miejscu pyta: „Czemu Wszechświat trudzi się istnieniem? Czy jednolita teoria jest tak nieodparta, że Wszechświat sam powoduje własne istnienie?”. Rzecz w tym, że żadna teoria fizyczna — tak jak rozumiemy, czym jest fizyka — nie wymusza istnienia opisywanych przez nią obiektów. Fizyka mówi nam „jakie są właściwości istniejących obiektów?”, ale nie jest w stanie wyjaśnić „dlaczego coś istnieje?”, i raczej nie będzie tego potrafiła w przyszłości.

W ciągu minionego półwiecza fizycy przewidzieli istnienie szeregu egzotycznych cząstek elementarnych, lecz ich wykrycie było sprawdzianem teorii Modelu Standardowego Cząstek i gdyby ich nie było, to model ten zostałby odrzucony. Nie mamy i chyba mieć nie będziemy teorii absolutnie prawdziwej, która z racji swej prawdziwości wymusi istnienie opisywanych przez nią obiektów.

Po drugie — i tu już Hawking nie pozostawia cienia wątpliwości — jego zdaniem „Wszechświat bez brzegów i bez pierwotnej osobliwości” oznacza, że staje się on „samowystarczalny”. Co to właściwie znaczy? Hawking miesza (zapewne świadomie) dwa pojęcia, „samowystarczalność” i „samoistność”. Samowystarczalny jest zdrowy dorosły człowiek, który sam zdobywa pokarm, zabezpiecza wszystkie funkcje życiowe i nie potrzebuje pomocy z zewnątrz. W tym sensie samowystarczalność jest fundamentalną hipotezą roboczą wszystkich nauk przyrodniczych: każdy obiekt materii ożywionej i martwej funkcjonuje na mocy odpowiednich praw przyrody i nie potrzebuje wsparcia z zewnątrz. Ziemia krąży wokół Słońca na mocy prawa grawitacji, Słońce świeci na mocy praw rządzących reakcjami termojądrowymi w jego wnętrzu, a trawa rośnie tak, jak jej każą prawa biochemii.

Człowiek byłby natomiast samoistny, gdyby samowystarczalność osoby dorosłej powodowała, że zaistniała sama z sie-

**O ile nie jest łatwo dowiedzieć się, jakie są zasady fizyczne telewizji kolorowej czy telefonii komórkowej, to o początkach Wszechświata mamy spory wybór książek**

bie, bez rodziców. Filozofowie podzieliли wszystkie byty na przygodne i konieczne, którym można przypisać zaistnienie w akcie samokreacji. Jedynym bytem koniecznym jest Bóg (co kwestionują ateści), pozostałe są w istnieniu uzależnione od Niego, są bowiem elementami świata, który On swobodną swoją wolą stworzył, są więc przygodne. Dla Hawkinga Wszechświat jest drugim (a jeżeli Boga nie ma, to jedynym) bytem koniecznym, więc od niczego nie uzależnionym. Być może tak jest rzeczywiście, lecz jak to dowieść na gruncie fizyki?

Dalej Hawking pomylił samoistność z wiecznością. Odrzuca Wielki Wybuch jako początek i sugeruje, że Wszechświat istnieje od zawsze. A skoro nie było czasu, gdy Wszechświata nie było, to nie było momentu, gdy został stworzony, jest więc konieczny. Pomylenie to wynika z naiwnego operowania pojęciem czasu. Przez czas rozumiemy kosmiczny czas naszego świata, który mógłby rozciągać się w przeszłość nieskończenie daleko. To nie jest czas, który moglibyśmy odnieść do hipotetycznego stwórcy, któremu przypisujemy atrybut mocy stworzenia naszego świata. Stwórca działający w swoim czasie, niezależnym od czasu kosmicznego, mógłby stworzyć świat zarówno wewnątrznie odwieczny, jak i zaczynający się Wielkim Wybuchem. Stosując te identyfikacje, zasugerował Hawking, że fizyka (w domyśle — reprezentowana przez niego) wyjaśnia istnienie Wszechświata do końca i Stwórca jest zbędny.

Cel został osiągnięty: autoreklama wzbudziła takie emocje, że sprzedaż książki biła rekordy. Hawking zaimponował rzeszy czytelników za cenę namieszania im w głowie; można się jedynie pocieszać, że było to mało szkodliwe, bo nie mogli z tej wyimaginowanej wiedzy zrobić konkretnego pożytku.

Ale jedna książka nie dawała stabilnego sporego dochodu, więc Hawking, naśladując licznych reżyserów, którzy pojedynczy udany film rozmnażają do serialu, zdecydował powtórzyć wielokrotnie to samo. W ten sposób powstały kolejno „Jeszcze krótsza historia czasu”, „Ilustrowana krótka historia czasu” i „Wszechświat w skrupce orzecha”. Ten sam temat, ta sama treść stopniowo skracana na rzecz rysunków, te same twierdzenia podawane bez próby ich rzetelnego uzasadnienia, tworzone metodą „copy and paste”. Hawking miał spisane wiele wykładów i odczytów publicznych, kroił i komponował z nich nowe teksty, w efekcie powtarzał się wielokrotnie, trudno było znaleźć coś nowego.

Ludzie kupowali ze względu na autora, recenzenci coraz śmielej krytykowali, sukcesy finansowe były coraz mniejsze.

Można usprawiedliwiać Hawkinga tym, że nie miał innego sposobu zarobienia na utrzymanie się, lecz nie da się zaprzeczyć, że rażąco zaniżył standardy dialogu nauki ze społeczeństwem. Inni fizycy szybko dostrzegli, że skoro sławny uczony bez żenady uprawia głośną autoreklamę za pomocą kiczowatych tekstów, to oni też mogą. Popularyzowanie modnych tematów naukowych okazało się chlebodajnym zajęciem. Powstało mnóstwo takich książek.

Do pewnego stopnia to zabawne: o ile nie jest łatwo dowiedzieć się, jakie są zasa-

dy fizyczne telewizji kolorowej czy telefonii komórkowej, to o początkach Wszechświata mamy spory wybór książek. Lecz rzecz nie w tym, że pochodzenie Wszechświata jest bardziej ekscytujące niż telewizja, do której już przyzwyczailiśmy się. Rzecz w tym, że o początkach Wszechświata mamy mnogość całkowicie odmiennych fantastycznych hipotez i prawie żadnych faktów empirycznych, zatem wybór spośród nich jest kwestią gustu i upodobań, a nie obiektywnej rzeczywistości. Co więcej, hipotezy te nie są spójnymi teoriami fizycznymi, lecz załączkami takowych, mającymi spore kłopoty z dalszym rozwojem. A część kosmologów piszących takie książki nie przyznaje, że pracują z załączkami teorii, tylko zachowują się, jak gdyby dysponowali teoriami kompletnymi i sprawdzoymi.

W pewnym sensie nie mają wyboru — gdyby przyznali, że prawdziwej teorii nie mają, jedynie jej wyobrażenie, to ich dzieła nie byłyby interesujące. Ale poszkodowani są wprowadzeni w błąd czytelnicy. To nie podnosi zaufania szerokich warstw społeczeństwa do naukowców.

O Hawkingu powstała bardzo obfita literatura, jednak jeden aspekt jego działalności jest w niej lekceważony. Chodzi o zapewnienie maksymalnej efektywności badań naukowych, czyli o logistykę w nauce.

Obecny system finansowania nauki polega na systemie grantowym, czyli na bezpośrednim opłacaniu konkretnych projektów badawczych, mających — w zamierzeniu przynajmniej — doprowadzić do nowych odkryć. Ale to nie wystarcza. Pominięto kształcenie naukowców. Student potrzebuje dobrze napisanych i nowoczesnych podręczników, zatem nowe podręczniki muszą stale powstawać. Młody naukowiec wchodzący do grantowego projektu badawczego musi znać wyniki zawarte w kilkuset artykułach naukowych i przeczytanie ich wszystkich jest kłopotliwe. Również doświadczony uczony, kierownik projektu, musi znać bieżącą sytuację i tendencje badawcze w danej dziedzinie. Potrzebne są artykuły przeglądowe i monografie. Tymczasem aktualny system zarządzania nauką ocenia naukowców na podstawie ich prac badawczych; artykuł przeglądowy daje się jeszcze upchnąć w dorobku naukowym, natomiast podręczniki i monografie nie liczą się. Skutki są widoczne.

Na tym polu Hawking ma wybitną zasługę. W 1973 r. napisał wspólnie z fizykiem z RPA, Georgem Ellisem, monografię „The Large Scale Structure of the Space-Time”, w której wyłożył niemal całą istniejącą wtedy wiedzę o czarnych dziurach i globalnych własnościach Wszechświata, złożoną głównie z prac jego i Penrose’a. Dzieło stanowiło przełom w literaturze z OTW. Wyniki obu badaczy zostały osiągnięte przy użyciu nowoczesnej matematyki, daleko wykraczającej poza aparat matematyczny Einsteina. Hawking całość napisał w tym abstrakcyjnym języku i stworzył spójną całość, bowiem konsekwentnie w pierwszych siedmiu rozdziałach przeformułował całość teorii grawitacji Einsteina.

Czytelnik znający podejście Einsteina zawarte w jego „Istocie teorii względności” i istniejące podręczniki OTW musiał być zdumiony: Hawking oferował coś, co wydawało się mocno odmienne. Dopiero wnikliwa lektura pozwalała dostrzec, że wprowadził równoważny system aksjomatów i geometrię różniczkową, a zarazem w treści fizycznej niczego nie zmienił, nie ujął i niczego nowego nie wprowadził. Żadna z tego, na których Einstein oparł swoją teorię, nie została zmieniona, jedynie zmieniła się ich ranga: Hawking uznał, że inny system postulatów pozwoli nadać teorii taką postać, by łatwiej było opisywać własności czasoprzestrzeni, kolaps i początki Wszechświata. Do tego celu wprowadził wiele nowych pojęć. Ta wersja OTW

została powszechnie uznana i od wielu lat jego monografia stanowi najbardziej miodajny wykład teorii. Jedynie elementarne wykłady OTW nadal stosują podejście tradycyjne.

W naukach przyrodniczych monografia sprzed pół wieku uchodzi za relikw przeszłości. Dzieło H-E zupełnie się nie zeszarało i nie straciło wiodącej rangi. Choć to tekst trudny — powstał szereg książek naśladowujących styl Hawkinga i funkcjonujących jako próby przystępniejszego przedstawienia trudniejszych partii jego dzieła. Lektura go budzi podziw. Składa się z dużej liczby abstrakcyjnych twierdzeń, większość z których wymyślił i dowiódł Hawking. Dopiero widząc ich dowody, z konieczności złożone i trudne, można docenić potęgę intelektu Hawkinga i jego pomysłowość. Gdyby go nie było, te twierdzenia i dowody byłyby żmudnie konstruowane przez wielu autorów przez dłuższy czas.

Również w tym dziele Hawking pokazał swoją osobowość. Wkrótce po jego opublikowaniu obszerną recenzję napisał Roger Penrose. Wytknął autorom dwie grupy błędów. Pierwsza — to nieprzestrzeganie przyjętych konwencji w definicjach i wzorach; te błędy łatwo dostrzec i są względnie nieszkodliwe. Druga grupa to błędy merytoryczne; ich wykrycie wymaga głębszej wiedzy. W kolejnych dodrukach książki (ponad dwudziestu) Hawking uwzględnił przyjęte konwencje, natomiast błędów merytorycznych nie poprawił. Zapewne uznał, że jego dzieło jest dla fachowców, którzy sami wykryją te błędy, a pozostali czytelnicy są mu obojętni.

To dzieło ukazuje istotną odmienność wyników badań Hawkinga z jego okresu „klasycznego” od dokonań w okresie „kwantowym”; w tym drugim powstanie analogicznego dzieła było niemożliwe.

W ostatnim rozdziale swojej popularnej biografii „Hawking, Hawking” Charles Seife zestawia Einsteina i Hawkinga, określając ich jako proroków i celebrytów. Celebrytami stali się ze względu na okoliczności i cechy osobowe; przy czym Hawking daleko bardziej starał się zostać celebrytą niż Einstein, czemu żarliwie przeczył. Prorokami zostali, bowiem odkryli i głosili ważne i nieoczekiwane prawdy o Wszechświecie.

Ocena dzieła i działalności Hawkinga pozostaje niejednoznaczna. Jego ranga jako celebryty stopniowo maleje, była bowiem chwilowa: duża część słuchaczy jego licznych wykładów popularnych przychodziła nie po to, by się czegoś dowiedzieć, lecz by zobaczyć niezwykle człowieka. Jego dokonania z okresu „klasycznego” stanowią doniosły i trwały wkład do wiedzy o grawitacji. Hipoteza promieniowania Hawkinga zostanie przypuszczalnie potwierdzona w bliżej nieokreślonej przyszłości, gdy powstanie teoria kwantowej grawitacji i zapewne okaże się, że jest ono jedynie wiodącym składnikiem rzeczywistego promieniowania czarnej dziury. Jego późniejsza twórczość zostanie uznana za nieproduktywną.

Nie ulega natomiast wątpliwości ogromna, genialna wręcz intuicja, wyobraźnia i pomysłowość tego człowieka. Piszący te słowa już wiele lat temu był przekonany, że jego największym pechem, większym nawet niż choroba, było to, że żył w epoce swoistego zastoju między wielkim przełomem w fizyce, dokonanym w pierwszej połowie XX wieku, a wielką unifikacją, która nastąpi w odległej zapewne przyszłości. Zdolnościami twórczymi przewyższał Hawking niejednego z twórców mechaniki kwantowej i można przypuszczać, że dokonałby więcej niż oni, gdyby stanął przed takimi możliwościami, jakie były otwarte przed nimi. Zarówno bowiem talenty twórcze, jak i obiektywne możliwości ich działania nie są równomiernie rozłożone w kolejnych generacjach. ●

# Językoznawcy po złej stronie mocy

Wśród katolickich nastolatków są osoby LGBT+? No, może w Niemczech



Michał Rusinek

Na stronie internetowej, a być może także i w papierowym wydaniu „Naszego Dziennika” ukazał się niedawno artykuł Jacka Sądeja pod tytułem „Walka o normalność”. Autor cieszy się w nim decyzją chadeckich władz Bawarii dotyczącą zakazu używania języka neutralnego płciowo w szkołach, urzędach i na uniwersytetach.

Red. Sądej już na samym początku wyraża zdumienie, że tej decyzji sprzeciwiają się „niektóre organizacje katolickie”. Na przykład Katolickie Stowarzyszenie Niemieckich Kobiet (KDFB) skomentowało tę decyzję jako „godny pożałowania krok wstecz”, ponieważ „język podlega ciągłym zmianom, rozwija się wraz ze społeczeństwem, ale także kształtuje świadomość i myślenie”, a więc i „stanowi instrument promowania równości”. Stowarzyszenie Młodzieży Katolickiej w Bawarii (BDKJ) również wyraziło sprzeciw wobec tej decyzji obawiając się, że będzie ona miała negatywne skutki na osoby LGBT+ w szkołach: „Niezliczona liczba nastolatków katolickich po Wielkanocy pójdzie do szkół i na uniwersytety i zderzy się z nauczaniem, w którym nie będzie miejsca na ich własną odmienność” — powiedziała liderka Stowarzyszenia Maria-Theresia Kölbl.

Red. Sądej przeciera oczy ze zdumienia. Wśród katolickich nastolatków są osoby LGBT+? No, może w Niemczech. Ale jak katolik może nie sprzeciwiać się ideologii gender? To dla Polaka-katolika prawdziwy dysonans poznawczy. Z pomocą oszołomionemu red. Sądejowi przychodzi na szczęście Krzysztof Kasprzak z Fundacji Życie i Rodzina, który uspokaja, że „ten niczym nieuzasadniony sprzeciw pokazuje, że nie każda organizacja, nazywająca siebie katolicką, jest taką w istocie”. Stwierdza, że bawarskie organizacje katolickie są teraz zaledwie „katolickie” w cudzysłowie, bo „tak naprawdę wyparły się Kościoła i jego nauki i stały po stronie zła. To pokazuje, jak daleko może zajść współczesna »otwartość« Kościoła: dochodzi do zanegowania doktryny, podstawowych prawd”. Czyli, po pierwsze, nie wszystko złoto, co się świeci, a po drugie, to, co niemieckie, zwykle jest po złej stronie mocy. Taka już natura Niemców. Bawaria — land katolicki — wypowiedział słuszną wojnę genderowi, ale bawarski katolik się owej wojnie sprzeciwia, bo „otwartość” niemieckiego Kościoła spowodowała go na szatańską ścieżkę. Kasprzak ostrzega, że i „w Polsce widzimy podobne ruchy, gdy różnego rodzaju organizacje lub ludzie uważani za przedstawicieli Kościoła bronią LGBT albo namawiają do dialogu z nimi”. Tu Kasprzak

zaczyna grzmieć: „Ze złem się nie rozmawia. Złu stawia się tamę i nie pozwala mu się rozlewać i krzywdzić. Oby kolejne kraje jak najszybciej odchodziły od promowania zgubnych ideologii takich jak LGBT” — nawołuje i wraca do budowania metaforycznej konstrukcji hydrotechnicznej służącej wytworzeniu i utrwaleniu nowego brzegu na cieku. Rzecz jasna, na zachodniej granicy, bo zło, zdaniem Fundacji Życie i Rodzina płynie z Zachodu.

Do chóru obrońców decyzji bawarskiego rządu dołącza na koniec dr Andrzej Mazan, zwracając uwagę, że rząd ów występuje „w obronie czegoś, co jest jakimś fundamentem człowieczeństwa”, a więc jest to „element walki o normalność”. Dr Mazan wprowadza następnie podział na sprawiedliwość (która „polega na tym, aby dać każdemu to, czego mu brakuje, ale udoskonalając przy tym jego sytuację życiową” i „żeby nie szkodzić”, tylko „oprzeć się na pewnym fundamencie”) oraz sprawiedliwość roszczeniową („która polega na przekonaniu, że »mam prawo do...«”). Jego zdaniem rząd bawarski „dąży [...] do tego, aby dobro wspólne, które jest podstawą wspólnoty, ocalało. Natomiast dążenie do sprawiedliwości roszczeniowej rozdziela społeczeństwo i wspólnotę, nie budując łączności”.

## „Nasz Dziennik” cieszy się decyzją chadeckich władz Bawarii nieco na wyrost

Red. Sądej i dr Mazan cieszą się, że Towarzystwo Języka Niemieckiego (GfdS) „wsparło decyzję władz Bawarii”. Dr Mazan wygłasza nawet zdanie ogólne dotyczące natury języka: „Język odzwierciedla to, co jest rzeczywiste i dobre”, a przeciw gender to zjawisko nierzeczywiste i złe. „Ideologia genderowa — wyjaśnia czytelnikom i czytelniczkom „Naszego Dziennika” — jest próbą »włamania« się do języka [...]. Jest jakby formą zaadoptowania się pewnego wirusa językowego, który usiłuje się wprowadzić jako normę. Stanowisko niemieckich językoznawców jest jak najbardziej słuszne, ponieważ mówią nie wobec obcych i sztucznych twórców, również wobec natury”. To dość pokraczne z gramatycznego punktu widzenia zdanie chyba trzeba rozumieć tak: językoznawcy niemieccy bronią języka przed elementami, które opisują byty nie tyle nieistniejące, ile będące wynaturzeniami, które powołuje do życia „ideologia gender”.

Może jednak uściślijmy fakty. Istotnie, 19 marca rząd Bawarii zatwierdził poprawkę do ogólnego regulaminu dla bawarskich urzędów i sfery publicznej. Zgodnie z nią, niedopuszczalne jest posługiwanie się zapisem rzeczowników osobowych z tzw. placeholderami, czyli znakami zastępczymi: gwiazdką, podkreślnikiem, ukośnikiem lub dwukropkiem (np. Student\*innen, Student\_innen). W języku polskim nazywamy

takie formy iksatywami i są one — obok neutratywów, osobatywów i dukatywów — jednym ze sposobów wyrażania neutralności płciowej w języku. Dodajmy, że sposobem najbardziej kontrowersyjnym, bo czysto graficznym: iksatywów nie da się przeczytać. W miejscu znaków zastępczych można co najwyżej zrobić krótką pauzę, co może grozić niezrozumiałością.

Zakaz wprowadzony przez bawarski rząd nie dotyczy zatem języka neutralnego płciowo w ogóle, ale wyłącznie iksatywów, zatem radość red. Sądeja i dr. Mazana jest nieco na wyrost. Owszem decyzję władz Bawarii przyjęło z zadowoleniem Towarzystwo Języka Niemieckiego argumentując — jak czytamy na stronie Deutsche Welle — że „stosowane w języku neutralnym płciowo znaki specjalne są sprzeczne ze zrozumiiałym i poprawnym językiem”, a także „nie są one objęte zasadami pisowni i mogą powodować błędy gramatyczne [...]”. Znaki specjalne w środku wyrazów mają wpływ na zrozumiałość, czytelność i możliwość automatycznego tłumaczenia, a także jasność i pewność prawną terminologii i tekstów”. Red. Sądej pominął informację, że Towarzystwo Języka Niemieckiego wyrażnie opowiada się za językiem neutralnym płciowo, ale stoi na stanowisku,

że powinien on być „zrozumiały, czytelny, jednoznaczny i zgodny z zasadami pisowni”. Proponuje więc inne formy wyrażania neutralności: zapisy z użyciem nawiasów, ukośników, imiesłowów czy innych form zastępczych.

No i cały pogrzeb na nic, bo nie tylko „katolickie” organizacje niemieckie, ale i językoznawcy niemieccy okazali się stać po złej stronie mocy. Czy red. Sądej i dr Mazan mogą liczyć na polskich językoznawców, że włączą się do budowy wspomnianej tamy przeciwko gender i nie pozwolą na szerzenie się „wirusa” tej „zgubnej ideologii”? Szczerze mówiąc, raczej nie. Bo chyba inaczej niż obaj panowie rozumieją oni normalność. Owszem, staną oni niebawem przed koniecznością unormowania kwestii związanych z językiem neutralnym płciowo w polszczyźnie i z pewnością odbędą się niebawem gorące dyskusje na ten temat. O wiele gorętsze niż w przypadku feminatywów. To prawda, że język polski jest silnie zgenderyzowany, ale to nieprawda, że — w przeciwieństwie do angielskiego czy niemieckiego — nie da się sprawić, by wprowadzić lub przypomnieć w nim formy odgenderyzowane. Warto prowadzić dyskusję na ten temat, bo neutralność językowa ma szansę przyczynić się do stworzenia bardziej otwartego, inkluzywnego i sprawiedliwego społeczeństwa, co przecież stanowi ważny cel dla każdej demokratycznej społeczności. ●

# PUENTA BEZ PUENTY

– Jesteśmy w jednej drużynie, nie chcemy sobie przyłożyć – deklarują Urszula Honek i Grzegorz Bogdał.

**Z GRZEGORZEM BOGDAŁEM I URSZULĄ HONEK rozmawia Wojciech Szot**

**Wojciech Szot: Jesteście dla siebie pierwszymi czytelnikami?**

**GRZEGORZ BOGDAŁ:** Tak, szczerymi.

**URSZULA HONEK:** Początkowo biegałam do Grzegorz z każdym wierszem, jaki napisałam. Potem pomyślałam: muszę zaufać też sobie. Teraz pokazuję mu wiersze czy teksty, dopiero gdy już jestem z nich sama zadowolona. Ale wciąż czytamy siebie nawzajem.

**Kłóćcie się?**

**UH:** Było kilka trudniejszych momentów.

**GB:** Czasem się wkurzam, gdy Ula mówi, że nie rozumie jakiegoś fragmentu mojego opowiadania. Dlaczego coś się tam znalazło? Ale to normalne, podobnie wygląda praca z redaktorem. Tylko że tutaj emocje są intensywniejsze.

**UH:** Gdy dajemy sobie tekst do przeczytania, to druga osoba wychodzi z domu. Biorę psa i wychodzę.

**GB:** Też tak robię.

**UH:** Jest za duże napięcie. Mamy niewielką przestrzeń w mieszkaniu. Trudno tak siedzieć i patrzeć. I czekać.

**GB:** Zawsze proszę Ulę, żeby podzieliła się uwagami po tym, jak już przeczyta całość. Nie w trakcie lektury.

**UH:** Zdarza się, że czytając tekst Grzegorza, krzyczę do niego: to jest bardzo fajne, a to może być zmienić.

**GB:** Ula ma taki temperament, że jeszcze czyta, a już mnie woła z drugiego pokoju. Trudno to wytrzymać.

**UH:** Chociaż niedawno role nam się zamieniły.

**GB:** Było spięcie.

**UH:** Pozwól mi to opowiedzieć. Moja najnowsza książka poetycka, „Poltergeist”, jest o kimś, kogo oboje znaleźliśmy. Dzięki tej osobie się poznaliśmy. To książka o jej śmierci. Miałam wrażenie, że bardzo dużo napięcia między nami wynikało już z samego faktu, że o niej piszę. Gdy pokazałam pierwszą wersję Grzegorzowi, coś takiego się wydarzyło, że trochę się na siebie obraziliśmy.

**GB:** Ja się nie obraziłem.

**UH:** OK. Ja się obraziłam. Chciałam od ciebie natychmiastowej reakcji, żebyś mi powiedział, co myślisz, a ty tego nie zrobiłeś.

**GB:** Poczułem się złapany w pułapkę. Nie wiedziałem, że w znacznej części ta książka dotyczy kogoś, kto był i wciąż jest nam bliski. Trudno w takiej sytuacji rozmawiać o samej warstwie literackiej... A może też się obawiałem, że ewentualną krytyką mogę cię w tym przypadku zranić. Potrzebowałem więcej czasu niż zwykle, żeby na te wiersze popatrzeć jak na zwykły tekst.

**UH:** Cieszę się, że w Grzegorz mam czytelnika, który jest absolutnie szczerzy. Ale też życzliwy, nie krytykuje dla samego krytykowania, tylko po to, by pomóc znaleźć rozwiązanie.

**GB:** Jesteśmy w jednej drużynie, nie chcemy sobie przyłożyć.

**UH:** I znamy swój potencjał. Wiemy, co możemy zrobić lepiej.

**GB:** Pilnujemy się przed nadmiarem.

**Tego w waszych książkach rzeczywiście nie ma.**

**UH:** Grzegorz potrafi zauważyć, kiedy mam za dużo wierszy w książce, wyłapuje podobne do siebie, dzięki niemu udaje mi się ją odciążyć.

**GB:** Mnie też się zdarza zaszałec z frazą.

**Co to znaczy „zaszałec z frazą”?**

**GB:** Czasami napiszę coś efekciarskiego tylko dla brzmienia. Jakbym opowiadał niekończąco zabawny żart. Albo jak coś jest...

**UH:** Dociśnięte.

**Czyli?**

**UH:** Na przykład jak puentuje się puentę.

**GB:** Myślę też o przesadzie w opisie, w charakterystyce czy zachowaniu postaci. Lepiej powiedzieć mniej, zostawić przestrzeń.

**UH:** W literaturze Grzegorza nie ma za bardzo co poprawiać. On pisze z namysłem, wszystko jest idealnie przygotowane.

**GB:** To nie tak, że wszystko jest już gotowe. Walcuję tekst. Jeden raz, drugi, trzeci, aż dojdę do wniosku, że już nie ma czego walcować i można pokazać, co się napisało. To jest długa, wyczerpująca praca.

**UH:** Podziwiam to u ciebie.

**Jest tytaniczny?**

**UH:** Tak.

**GB:** Jeśli jakieś zdanie jeszcze mi nie leży idealnie, to muszę poprawiać do skutku. Nie jem, nie piję, nie wstaję. To obsesja.

**Perfekcjonizm przekłada się na Twoje codzienne życie?**

**GB:** Lubię w miarę uporządkowaną przestrzeń, ale bez przesady. Nie składam skarpetek w kostkę.

**Ula, też „walcujesz” tekst?**

**UH:** Im jestem starsza, tym bardziej. Teraz dużo więcej wyrzucam, piszę z większym namysłem, zwłaszcza w poezji lubię to czytelowanie. Nigdy nie wyrzuciłam tak wiele jak przy książce, nad którą ostatnio pracowałam. Zaskakuje mnie to, że potrafię się lepiej pilnować, by mówić to, co naprawdę potrzebuję powiedzieć.

**Twoją najnowszą książkę, „Idzie tu wielki chłopak” od debiutantkiej „Florydy” dzieli sześć lat. Sporo.**

**GB:** Naprawdę? Takie mam tempo. Chociaż właściwie nie chciałbym tak się określać. Bo może kolejna książka wyjdzie szybciej? Za dwa lata? I wtedy okaże się, że jednak mam inne tempo.

Piszę powoli. Do tego dużo skreślam, wyrzucam. Robię dwa kroki do przodu i jeden do tyłu. A poza pisaniem jest życie, praca, z różnymi sprawami trzeba się uporać. To nie ułatwia. Kiedy siadam do pisania, potrzebuję odłączenia od świata.

**Ula, jesteś dużo bardziej niż Grzegorz obecna w mediach. Nie utrudnia Ci to pisania?**

**UH:** Najważniejsze to mieć w sobie radar, by rozpoznać moment przesady. Takie medialne obecności są bardzo mile i ważne. Ale też utrudniają pisanie. Myślę, że wiem, kiedy się trzeba schować.

**Gdzie mieszkacie?**

**UH:** Krążymy. Najczęściej jesteśmy jeszcze w Krakowie. Wiosną i latem tamtego roku mieszkaliśmy w Wyszowatce. Teraz przygotowujemy się do przeprowadzki do Biecza.

**GB:** To miasteczko na Pogórzu Karpackim, pod Gorlicami, ze średniowieczną zabudową.

**UH:** Przeprowadzamy się do położonego na wzgórzu nad miastem domu po mojej babci. Powoli go remontujemy. Jest w stanie wymagającym wielkiego nakładu pracy. Zaczęliśmy od wymiany instalacji elektrycznej. Teraz zrobiliśmy ogrzewanie gazowe. Ograniczamy inwestycje, bo to wszystko jest kosztowne. Zobaczymy też, jak długo w nim pomieszkamy. Co jakiś czas zmieniamy miejsce.

**Kiedy się to krążenie zaczęło?**

**UH:** Kiedy się poznaliśmy z Grzegorzem.

**GB:** Tak, trzynaście lat temu. Mieszkaliśmy w dwóch miejscach w Krakowie. Potem w Krzeszowicach. Długo, prawie cztery lata. Od sześciu lat jesteśmy z powrotem w Krakowie. Tak się ułożyło. Albo coś nas nosi.

**UH:** Ja jednak czuję potrzebę zmian. Chcę widzieć różne rzeczy. Gdy patrzę wstecz, to okazuje się, że każda moja książka powstawała w innym miejscu. Ciekawie jest budzić się i co rano widzieć coś innego. Szukamy miejsca dla siebie i może kiedy je znajdziemy, to wytrzymamy w nim dłużej? Marzę o tym, żeby kiedyś zamieszkać, choć na chwilę, gdzieś na opuszczonej farmie w Stanach Zjednoczonych. Ale ostatnio najbliższym mi miejscem jest Wyszowatka.

**GB:** Oboje lubimy tam jeździć.

**UH:** To mieszkanie w popegeerowskim dwupiętrowym bloku. Bez ogrzewania i ciepłej wody. W stanie rozkładu.

**Jak na nie trafiliście?**

**UH:** To moje znalezisko. Trafiłam na ogłoszenie w sieci. Pojechałam tam w sylwe-

stra, ponad trzy godziny drogi z Krakowa. I od razu się zdecydowałam: wynajęłam je za 500 złotych miesięcznie.

**Dlaczego?**

**UH:** Dla okolicy. To niezwykle miejsce, graniczące z nieistniejącą już wsią Długie. Głęboki Beskid, tuż przy granicy ze Słowacją.

**Jak tam jest?**

**UH:** Cicho. Niezwykle cicho. Zwłaszcza nocami. Napisałam tam latem ubiegłego roku dużą część „Poltergeista”, który ukaże się w maju. Wyszowatka daje mi odosobnienie, bardzo tego potrzebuję.

**GB:** Mnie więcej daje to, co jest dookoła. Wzgórza, zarośla, błota. Jest gdzie się zmęczyć i ubrudzić. Słychać wilki. Nie ma zbyt wielu ludzi. Do tego zwierzęta gospodarskie. I nasza sześćioletnia suczka Iwa: patrzy przez okno, co tam wyprawiają jaskółki, które się zagnieździły pod dachem.

**UH:** Wartością jest również to, że nie jest to wieś turystyczna, tylko wieś pracująca. Nie jak kolorowe wsie beskidzkie, w których pozostały już niemal wyłącznie domy na wynajem. Wyszowatka to wciąż miejsce życia i pracy.

Długo szukaliśmy dla siebie domu w Beskidzie Niskim. Ale prawda jest taka, że nie stać nas na Beskid. Podczas pandemii trafiła się okazja, jednak też nie mieliśmy pieniędzy. Dzisiaj ten dom jest pewnie kilka razy droższy. Czasem jestem na to zła. Jakby ten teren mnie nie chciał. Kredytu i tak pewnie byśmy nie dostali. Te ceny są nie normalne i niemoralne. Mam poczucie, że powinnam urodzić się wcześniej. Gdybym urodziła się dwadzieścia, trzydzieści lat temu, to rozmawialibyśmy zupełnie inaczej.

**GB:** Kiedyś cisza była tańsza.

**Wspominaliście o przeprowadzce do Biecza. Powrót do rodzinnych domów kojarzy nam się z silnymi emocjami. Jak jest w Waszym przypadku?**

**UH:** Nie jest mi łatwo na to odpowiedzieć. Z jednej strony są emocje, a z drugiej to decyzja wynikająca również z kwestii ekonomicznych. Nie ma co ukrywać – opłaca nam się tam przeprowadzić, wynajmowanie mieszkania w Krakowie to finansowy kosztmar. A emocje? Ten dom ma ciemną historię. Babcia została wcześniej wdową, miała niewiele ponad 40 lat i resztę życia mieszkała sama, z nikim już się nie związała. Jako dziecko nie myślałam o jej samotności, o tym, jak sobie z nią radzi. Babcia po prostu była. Spędziła tam całe życie.

Przeprowadzka do Biecza będzie też niejako powrotem do rodziców. Mieszkają kilka kilometrów dalej. To budzi we mnie wiele emocji. Pamiętam, jak idąc na studia, wsiałam do autobusu w kierunku Krakowa. Sprzed remizy. Pamiętam, w co byłam ubrana. Ten obraz zostanie ze mną na zawsze.

**Dlaczego jest tak silny?**

**UH:** Bo zawsze chciałam stamtąd wyjechać. Zobaczyć inny świat. Uciec. Powrót to bardzo dziwne doświadczenie, jestem jego ciekawa. Także literacko może coś mi to otworzyć. Szukam rzeczy, miejsc zaczepienia, żeby coś przeżyć, zobaczyć.

Chciałabym odmienić historię tego domu. Zostawić go jaśniejszym. Gdy poczuję, że to się udało, możemy ruszać dalej. ●

**ONA** – poetka i prozaiczka.

Zadebiutowała w 2015 roku tomem „Sporysz”. Za tom „Zimowanie” była nominowana m.in. do Nagrody Literackiej Gdynia. Debiut prozatorski Honek, „Białe noce” przyniósł jej m.in. Nagrodę Kościelskich, Nagrodę Conrada i nominację do Paszportów „Polityki”. Angielski przekład opowiadań autorstwa Kate Webster został nominowany do Międzynarodowego Bookera

**ON** – prozaik. Debiutancka „Floryda” (2017) przyniosła mu nominację do Nagrody Literackiej „Gdynia” i Nagrody Conrada. W 2023 roku ukazał się doskonale przyjęty przez krytykę tom opowiadań „Idzie tu wielki chłopak”, za który został nominowany do Paszportów „Polityki”.



# TAK DZIAŁA TA FIRMA

Ksiądz może być „fajny”  
czy „ludzki”, ale nie biskup



• Kwiecień 2023, Katowice, arcybiskup Adrian Galbas podczas metropolitalnego śniadanie wielkanocnego dla potrzebujących

Z **IGNACYM DUDKIEWICZEM**, AUTOREM KSIĄŻKI „PASTWISKO. JAK PRZESZŁOŚĆ, STRACH I BEZWŁAD RZĄDZA POLSKIM KOŚCIOŁEM”, ROZMAWIAJĄ **ARTUR NOWAK I STANISŁAW OBIREK**

**IGNACY DUDKIEWICZ:** Czy są jeszcze jacyś „fajni” biskupi w Kościele?  
**ARTUR NOWAK I STANISŁAW OBIREK:** – Sugerujecie, że kiedyś byli? Fajni – pewnie tak. Ale biskupi na miarę czasów i wyzwań? Takich nie widzę.

Określenie „fajny biskup” powstało w środowiskach nastawionych do Kościoła krytycznie, ale poszukujących kanałów dialogu z nim. Były w tym nadzieja, że „nie wszystko jeszcze stracone”, i niekiedy poczucie wyższości wobec modelu duszpasterzowania w Polsce.

Takie poszukiwania nie brały pod uwagę mechanizmów, według których funkcjonuje Kościół jako instytucja. A są one ważniejsze niż osoba tego czy innego biskupa. Jeśli katolik szuka „fajnego” księdza, który nie głosi polityki czy nienawiści, jest dobrym kaznodzieją i człowiekiem, w pełni to rozumiem. Ale nie to, że ktoś pokłada nadzieję w jednym czy drugim hierarsze.

**Pisząc „Pastwisko”, rozmawiałeś z nimi i o nich. Jacy ci biskupi w zasadzie są?**

– Różni. Choćby w tym sensie, który obecnie zajmuje wszystkich najbardziej, że niektórzy kryli gwałcicieli dzieci – rozmawiałem także z takimi – a inni nie.

Z jednymi rozmawiało mi się lepiej, z innymi gorzej, jedni byli kulturalni i sympatyczni, inni wyniosli i książęcy w obyciu. Spośród jedenastu jeden, arcybiskup Adrian Galbas, zapytał mnie o zdanie. Podobne pytanie nie mieści się w, nazwijmy to, algorytmie działania większości biskupów. To przekracza ich wyobraźnię.

Ale czy Galbas – ostatnio powołany na metropolitę katowickiego – podola? Zobaczymy. A poza tym fajnie, że miło się z nim gada, że pyta o zdanie, ale to przecież nie wystarczy. Kiedy arcybiskup Grzegorz Ryś zostawał kardynałem, pozwoliłem sobie na komentarz, że „nie po czapkach ich poznać”. I też nie po tym, czy ktoś jest sympatyczny w obyciu. Nie zachwycajmy się normalnością.

**Piotr Szela, były ksiądz, mówił nam, że zaniżony standard związany ze zdemoralizowaniem biskupów jako grupy – grubiańskiej, wyniosłej, niedostępnej – sprawia, że niewiele się od nich oczekuje. I wierni cieszą się, jak biskup przysiądzie się przy ognisku na pielgrzymce, pośpiewa, pożartuje. Może bycie „fajnym” biskupem to wręcz strategia?**

– Dla niektórych pewnie tak, wśród biskupów widać nadreprezentację cyników. Ale też nie wszyscy nimi są. Wielu hierarchów nie umiałoby być „fajnymi”, bo zwyczajny kontakt z wiernymi nie przyjdzie im nawet do głowy. A ci „fajni” to często ludzie, którzy wyrosli w „fajnym” duszpasterstwie i robią to, do czego są przyzwyczajeni. Jednocześnie nie zauważają, że to naprawdę, naprawdę za mało. Od biskupów, którzy przyjęli na siebie poważną odpowiedzialność, oczekiwałbym więcej. Gdy Ryś na pielgrzymce śpiewa piosenkę o Arce Noego, to jest to wesołe i sympatyczne, a gdy głosi Ewangelię – znacznie mądrzej niż wielu kolegów – to także pozytywne. Ale – powtarzam – to za mało. Milczenie Rysia w wielu sprawach Kościoła i społeczeństwa stanowi źródło dużego rozczarowania u wielu wiernych.

**Mówi się, że piuska gasi rozum. Może czapka kardynalska gasi zapal?**

– Niby moglibyśmy czekać z ocenami, bo kardynałem jest od września, a wybory

FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

prezydium episkopatu zawsze coś zmieniają w układzie sił, ale nie widzę powodu, by się wstrzymywać. Po pierwsze, nie ma czasu. W przypadku większości procesów istotnych dla przyszłości Kościoła i chrześcijaństwa w Polsce i tak jest już za późno. Po drugie, ile można czekać? Niektórzy wierzyli, że kiedy Ryś z biskupa pomocniczego bez realnej władzy stanie się metropolitą, to coś się zmieni. Albo gdy zostanie kardynałem. Dajmy temu pokój. Podobnie czekano, aż „obudzi” się kardynał Kazimierz Nycz. I tak doczekano do jego rezygnacji.

**Według ciebie, dlaczego milczą?**  
– Można dywagować o sile ich osobowości, ale kluczowe są systemowe siły, które na nich oddziałują. Po pierwsze, ogólny kształt Kościoła. Ci odrobinę bardziej progresywni polscy biskupi – czyli mniej konserwatywne skrzydło konserwatywnej instytucji – wiedzą, że większość duchowieństwa, które im podlega, ma inne poglądy niż oni. Nycz wie, że większość księży z archidiecezji warszawskiej ma inne sympatie polityczne niż on. Podobnie jest w sprawach uchodźców, jakiegokolwiek niuansowania spojrzenia na prawodawstwo aborcyjne i tak dalej. W tym sensie biskupi nie tylko rządzą księżmi, ale także są przez nich rządzeni czy wręcz się ich boją.

Po drugie, oddziałuje na nich pozycja w Episkopacie. To klasyczna teza, że boją się „losu Ży-cińskiego”, czyli marginalizacji. I to po części prawda, a po części mitologizacja postaci takich jak właśnie Józef Życiński, Franciszek Macharski, Tadeusz Gocłowski czy Tadeusz Pieronek.

**Nie różnili się aż tak od kolegów?**  
– We wszystkich diecezjach, którymi zarządzili, pojawiały się te same mechanizmy patologii, co w innych. Pieronek był sekretarzem Episkopatu – wybranym przez większość biskupów. A gdy sięgniemy do ich wypowiedzi – takich jak niesławne słowa Pieronka o Izabeli Jarudze-Nowackiej jako o „feministycznym betonie, na który kwas solny nie pomoże” – to trudno mówić o naprawie jakościowej różnicy. Raczej o rozłożeniu akcentów.

**Jako katolik masz wobec biskupów jakieś oczekiwania?**  
– Żadnych. I dlatego nie są w stanie mnie rozczarować. Dopuszczam ewentualność, że w którymś z nich obudzi się odważny człowiek stojący radykalnie po stronie sprawiedliwości: choćby dla osób skrzywdzonych przemocą seksualną w Kościele. Ale to nadzieja, której nie odrzucam z powodów religijnych i ogólnej wiary w człowieka.

**Z tego, co piszesz, polscy hierarchowie zostali wybrani na patencie kolesiowskim, niekiedy także homoseksualnym czy finansowym. To zasada czy wyjątek?**  
– Zasada. To nie znaczy, że biskupami nie zostają sensowni duszpastarze czy ludzie o większym formacie intelektualnym. Ryś jest znakomicie wykształconym, inteligentnym, świetnie mówiącym człowiekiem. Ale sposób wyboru biskupów wciąż nie bazuje na poszukiwaniu podobnych cech czy przymiotów takich, jak odwaga.

za nuncjusza Józefa Kowalczyka to był rządzony przez kilka osób układ. Jeśli ktoś spoza zo-

stawał biskupem, to albo przez przypadek, albo ze względu na osobiste relacje z bardzo znaczącym hierarchą lub samym Janem Pawłem II. Przy tym w Polsce biskupów aż do śmierci Jana Pawła II wybierano poprzez „krótką ścieżkę” stworzoną dla krajów autorytarnych czy ogarniętych wojną. A to pozwalało omijać watykańskie instytucje opiniujące.

**Mówiłeś o Rysiu, pogadajmy o prymasie Wojciechu Polaku. Na ile on jest inny? Może system potrzebuje właśnie takiego człowieka, który potrafi w miarę zachować się w mediach, dając episkopatowi pokorną i zawstydzoną twarz w miejsce biskupiej buty?**

– Polak nie jest cynikiem. Bywa bezradny, niekiedy nie ma sprawczości, ale w sprawie wykorzystywania seksualnego dzieci przez duchownych i ich systemowego ukrywania przez biskupów, prymas zrozumiał bardzo wiele, chyba najwięcej spośród polskich hierarchów. Zgodził się tym zająć, gdy inni nie chcieli. I działa – przeciw dużemu, choć powoli słabnącemu, oporowi wielu kolegów. Przeprasza często, a problemem jest to, czy idą za tym czy nie całego Episkopatu.

Polak jest też jedynym biskupem, który złamał zasadę niekrytykowania kolegów. Zrobił to po drugim filmie braci Sekielskich, kiedy ogłosił, że przekaże sprawę biskupa Edwarda Janiaka do Watykanu.

**Nie masz wrażenia, że niczym nie ryzykował? Janiak był nie do obrony.**

– Mógł nic nie robić, a sprawa skończyłaby się tak samo – wywaleniem Janiaka z urzędu przez papieża. Wśród biskupów publiczna, skierowana do mediów i wiernych deklaracja, że oto jeden z nich zgłasza sprawę innego hierarchy do Watykanu, wywołała olbrzymie poruszenie. Do teraz wielu się w głowie nie mieści, że tak trzeba.

**To może warto zapytać prymasa, gdzie był, kiedy wybuchła sprawa Głódzia, gdzie był, gdy Dziega tuszował sprawę Dymera...**

– Niestety prymas odmówił spotkania ze mną na potrzeby książki. Nie jestem adwokatem Wojciecha Polaka. Gdybym miał robić ranking hierarchów najlepiej odpowiadających na wyzwania stojące przed Kościołem, pierwsze dziesięć miejsc zostawiłbym puste. Jedenasty byłby Polak. To, co mówię, to analiza, a nie laurka.

**O biskupach można gadać bez końca, ale porozmawiajmy też o „fajnych” księżach. W książce skupiłeś się na tych, którzy zostali, jak Adam Świeżyński czy**

**Andrzej Kobyliński. Obaj profesorowie z USKW to w istocie sygnaliści. Czy dali ci nadzieję na zmianę?**

– Nie. Przede wszystkim dlatego, że im wierzę, a sami wskazują, że o ile pozycja Kościoła w społeczeństwie się zmieni, o tyle zmiana dotycząca władzy w Kościele, nie tylko polskim, to projekt rozpisany na dziesięciolecia, najpewniej wieki. Jednocześnie rzeczywiście, ich postawa trwania w Kościele mimo braku nadziei oraz ceny, jaką zapłacili za to, że stanęli po stronie przyzwoitości i prawdy, mąci pewniki.

Zgoda, że nie warto gadać tylko o biskupach, frakcjach czy sporach między nimi. Piszac „Pastwisko”, chciałem zrozumieć także księży, opisać, co wpływa na to, jak funkcjonują. A są to poczucie podległości, zależności, niepewności i presji, niekiedy także strach i przemoc. Oczywiście, one są bardzo obecne w diecezjach Głódzia niż Rysia, ale kluczowe są mechanizmy, nie osoba biskupa, który zmienia się parokrotnie w trakcie życia księdza. Nawet jeśli chwilo-wo jest w diecezji lepiej, to ksiądz nie ma żadnej gwarancji, że nie będzie jeszcze fatalnie.

**A czy w ostatnim czasie nie doszło do zmiany? Franciszek powoli mebluje także Kościół w Polsce. Ze stanowisk odeszli biskup Kaszak z Sosnowca czy Dziega. Watykan opublikował dokument o sygnalistach, tworząc ścieżkę bezpośredniego**

**informowania Stolicy Apostolskiej o nadużyciach finansowych. Może zmiana nadejdzie z Watykanu?**

– W jakimś stopniu nadchodzi, ale nie przeceniałbym tego potencjału. Franciszek jest papieżem od jedenastu lat i nieustannie zмага się i ze swoimi ograniczeniami, i z oporem kościelnej materii. W diecezjach Świeżyńskiego i Kobylińskiego nie rządzą już biskupi, którzy ich szykanowali i wypychali z Gdańska i Plocka. I co? I nic. Są spaleni, bo złamali fundamentalne zasady działania systemu: postawili się przełożonym i informowali o patologiach czy to nuncjusza, czy media. Nowi biskupi niczego nie zmienili, cały czas pozostają na marginesie. Franciszek nie nada im parafii, nie powoła na rektorów seminariów. A biskupów wybiera z tych, którzy są i którzy się zgodzą na nominację – a tak obecnie komentowany arcybiskup Tadeusz Wojda, nie był pierwszym wyborem. Inni odmówili.

Tym, co w przypadku Franciszka silnie oddziałuje na Kościół w Polsce, jest zmiana geografii Kościoła. Po latach rządów polskiego papieża, uchodzenia za rdzeń chrześcijaństwa, Polska znaczy coraz mniej w Europie,

która znaczy coraz mniej w Kościele powszechnym.

**Widzimy to choćby po mapie podróży Franciszka, który odwiedza Mongolię, w której mieszka parę tysięcy katolików, a do Polski przyjechał tylko podczas zaplanowanych przez poprzednika Światowych Dni Młodzieży.**

– Widzimy też po tematach, które podejmuje – nierówności ekonomiczne, wyzysk krajów Globalnego Południa czy katastrofa klimatyczna. Oraz po nominacjach kardynalskich. Kardynała mają Wyspy Tonga, które w całości są mniejsze niż „tradycyjnie kardynalskie” Kraków czy Wrocław. W Mongolii też jest kardynał. Kościół w Polsce nie jest to gotowy mentalnie, intelektualnie i, powiedziałbym, godnościowo.

**Twoje środowisko pozycjonuje się jako „katolewica”. To dość szaleńcze w polskich realiach. Czy po czterech latach pisania książki masz nadzieję na odrodzenia się nurtu lewicowego namysłu nad katolicyzmem? Odrodzenie, bo ten nurt istniał: Turowicz, Świeżawski, Kornilowicz, Zieja, Stojałowski...**

– Jeśli mówimy o klerze, to badania robione w seminariach tę nadzieję utrudniają. Raczej pojawi się istotna grupa księży o poczuciu bycia wybranym do szczególnej misji – czujących się jak nowy Noe, który ma zbudować arkę wobec potopu

Że kolaboracja księży z bezpieczeństwem to margines. I że to Kościół – ze szczególnym udziałem Jana Pawła II, któremu przypisuje się cechy superbohaterskie – obalił PRL, a nawet cały Związek Radziecki.

Historia była bardziej skomplikowana, bo Kościół – i nie oceniam tego negatywnie – latami układał się z władzą. Lepiej, gorzej – ale się dogadywał. Twarda martyrologia była stosunkowo krótka i zdecydowanie mniej brutalna niż w przypadku innych krajów regionu. Współpracowników wśród księży było nie tak mało – również wśród ówczesnych lub późniejszych biskupów. Jedni hierarchowie byli nastawieni bardziej lojalistycznie wobec władzy, przenosząc na jej prośbę niewygodnych księży, inni mniej, ale Kościół jako całość nie szczególnie przychylnie patrzył na wolnościowe zrywy – zwłaszcza ten w 1968 roku – czy inicjatywy, szczególnie na powstały w 1976 roku Komitet Obrony Robotników.

Na „Solidarność” biskupi też patrzyli z niepokojem. Widzieli w niej słuszne aspiracje i że jej istotna – zwłaszcza robotnicza – część jest bliska Kościołowi, ale obawiali się rozchwiania sytuacji społecznej. Po ogłoszeniu stanu wojennego hierarchowie podzielili się w opinii, co robić: walczyć o „Solidarność” czy spisać ją na straty. Kościół odegrał rolę w przemianach demokratycznych, ale „Solidarność” nie po-

## Spośród jedenastu biskupów, z którymi rozmawiałem, jeden zapytał mnie o zdanie. Podobne pytanie nie mieści się w algorytmie działania hierarchów. To przekracza ich wyobraźnię

wstała z pobudek religijnych, ale z poczucia społecznej niesprawiedliwości.

Te wszystkie półcienie zniknęły w 1989 roku. Kościół przyjął narrację, że należy mu się dywidenda za niezmać bohaterstwo. I miał wystarczająco mocne karty w ręku, by to egzekwować.

**Co to były za karty?**  
– Po pierwsze, był stabilną, sprawną instytucją w sytuacji, gdy państwo podczas zawieruchy ekonomicznej i geopolitycznego przełomu dopiero stawało się. Po drugie, miał wystarczający wpływ na debatę publiczną i postawy wielu obywateli, by trzeba było się z nim liczyć. Nie było oczywiście tak, że kogo Kościół wskazał, tego ludzie wybierali. Gdy biskupi od Głódzia po Życińskiego, żeby zatrzymać Sojusz Lewicy Demokratycznej, straszili powrotem „komuny” do władzy – ten ostatni porównywał to do powrotu NSDAP w Niemczech po II wojnie – to Polki i Polacy już w 1993 r. wybrali inaczej, a w 1995 prezydentem uczynili Aleksandra Kwaśniewskiego. Mimo to pójście na udry z Kościołem przez całe lata 90. nie wchodziło w grę w przypadku żadnej władzy, bo był on wy-

starczająco sprawny w wykorzystaniu nawet ograniczonej siły społecznej, zwłaszcza przy słabości państwa.

#### A jaki jest drugi element kluczowy dla zblatowania Kościoła z prawicą?

– To umeblowanie personalne Episkopatu na określoną modłę. Biskupami zostawali księża o silnie konserwatywnej proveniencji, do tego niezdolni, by w imię zasad – takich jak nauczanie Soboru Watykańskiego II – samoograniczyć się w korzystaniu z wpływów i apanaży.

Pozycja społeczna Kościoła oczywiście się zmienia, ale nie w wyniku refleksji biskupów, tylko czynników zewnętrznych. Gdy będzie mniej wiernych, mniej księży, mniej pieniędzy, to i biskupi zaczną funkcjonować inaczej. Zresztą coraz więcej księży odmawia zostawania biskupami, wiedząc, że to już nie jest tak atrakcyjna sprawa, jak przed laty – nawet dla oportunisty.

**To porozmawiajmy trochę o ludzie Bożym na tym „Pastwisku”. Nie masz wrażenia, że wielu wiernym to, o czym mówimy, absolutnie nie przeszkadza? Że to układ, w którym ludzie są wzywani do walki o symbole czy do określonych politycznych wyborów, ale nie do pracy nad sobą – co jest wygodne – a jednocześnie przytykają oczy na zachowania biskupów, którzy są, jacy są, ale pozwalają na poczucie funkcjonowania w wyjątkowej wspólnocie?**

– Nie chcę uogólniać. Nawet biskupów trudno wrzucić do jednego worka, tym bardziej księży, a już zwłaszcza wiernych. Niektórzy na pewno funkcjonują tak, jak mówisz. Ale jednocześnie Polska ma od wieków tradycję także ludowego, oddolnego antyklerykalizmu. To niekiedy wytwarzało i wytwarza podwójność, gdy krytyka księdza w domu nie przeszkadza w kłanianiu mu się w Kościele, ale trudno mówić o wiernopoddąństwie.

Tym bardziej że przez dekady ludzie nie mieli gdzie i jak nauczyć się podmiotowego uczestniczenia w życiu Kościoła i wpływania na jego kształt. Formalna i symboliczna nierównowaga sił między wiernymi a księżmi była przez wieki jeszcze potężniejsza niż obecnie, co ma także wymiar praktyczny. Krytykując proboszcza, wierni wiedzą, że parafialny cmentarz pozostaje w jego zarządzie. A chcą pochować mamę we wspólnym grobie z tatą. Wiedzą też, że niektórzy księżą nie wahają się, by piętnować konkretne osoby z ambony, co jednak jakoś rezonuje w społeczności.

To dość przebiegły element relacji w Kościele. Większość katoliczek i katolików, także księży, nie spotkała się osobiście ze złem, które wołałoby o zgłoszenie do prokuratury, mediów, przełożonych kościelnych. Ale to nie znaczy, że te relacje są zdrowe. Tyle tylko, że nieempatyczne potraktowanie kogoś w kancelarii trudno nagłośnić. Co masz zrobić z zachłannością proboszcza? Z tym że ksiądz kupił nikomu niepotrzebne organy? Bardzo powoli stawiamy te granice jak wierni z Nowielina, którzy odebrali księdzu klucze do kościoła.

Trudno mi więc oceniać, że ludzie w Kościele nie są sprawczy,

skoro nigdy nie mieli możliwości, by tej sprawczości doświadczyć. To się zmienia, gdy jako wierni zaczynamy rozumieć, że mamy prawo ostro i publicznie krytykować biskupów, nie pytać ich o zdanie i domagać się ich odwołania. Ale to proces.

**Mówisz „my, wierni”, bo jesteś katolikiem. My zaś stawiamy tezę, że system kościelny zawsze będzie generował patologię, a jednocześnie utrzymywał przy władzy hierarchię i organizował wokół niej ludzi: choćby dzięki wbijaniu ich w poczucie winy i lęk. I zawsze będzie wynosił do władzy ludzi bezwzględnych. A ty, zostając w Kościele, tworzysz im – chcąc czy nie – osłonę, bo mogą powiedzieć: „patrzcie, w Kościele jest też taki Dudkiewicz”.**

– Zmiana systemu władzy w Kościele jest rzeczywiście trudna do wyobrażenia w rozsądnej perspektywie, bo spotkałaby się z ogromnym oporem materii. Do tego wymagałaby nie tylko zmian w zarządzaniu ludźmi czy finansami, ale także w teologii: potrzebny byłby wielki namysł nad znaczeniem święceń kapłańskich, w tym biskupich. Dlaczego wiążemy je z władzą? Czy musi tak być? Jak uwzględnić powszechność Kościoła w myśleniu o jego wewnętrznym funkcjonowaniu? Jak odejść od modelu z kastą wybranych warunkujących maluczkim dostęp do Bożych tajemnic?

Siadałem do tej książki z silnymi hipotezami, ale bez twardych tez. Nie chciałem pisać, co mi się wydaje, tylko dziennikarskimi metodami dowiedzieć się, kto rządzi Kościołem w Polsce. Stąd kilkanaście podróży, kilkadziesiąt rozmów, kwerendy medialne i książkowe, zagłębienie do archiwów... W trakcie zmieniłem „pytanie badawcze”, bo okazało się, że kluczowe nie jest to, kto, ale co rządzi Kościołem. Są ludzie, którzy odpowiadają za konkretne decyzje czy skandale, ale wielokrotnie silniejszy od ludzi – i dobrych, i złych – jest system, którym rządzą przeszłość, strach i bezwład.

A czy jestem osłoną dla biskupów? Nie sądzę. Publicznie powtarzam, że obchodzi mnie los chrześcijaństwa, a nie Kościoła jako instytucji. Nie zajmuję się myśleniem o jej reformowaniu



FOT. TOMASZ STAŃCAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

### Prof. dr hab. Stanisław Obirek

• ur. w 1956 r., antropolog kultury, teolog, historyk. Były jezuita – wyświęcony w 1983 r., w 2005, po serii krytycznych ocen polskiego katolicyzmu i nakazie milczenia, wystąpił ze stanu duchownego. Wydał m.in. „Umysł wyzwolony. W poszukiwaniu dojrzałego katolicyzmu”, „Wąska ścieżka. Dlaczego odszedłem z Kościoła” (w formie tradycyjnej na Kulturalnysklep.pl, w cyfrowej na Publio.pl) i – razem z Zygmuntem Baumanem – „O świecie i sobie samych”.

rozumianym jako wymiana pojedynczych mechanizmów. No i czemu to ja miałbym odchodzić w powodu biskupów? Jestem u siebie.

**To do czego są w tak rozumianym Kościele – jako wspólnota chrześcijańska – biskupi? Ich nie ma. To biurokraci, których bardziej identyfikuje się jako notabłów niż pasterzy.**

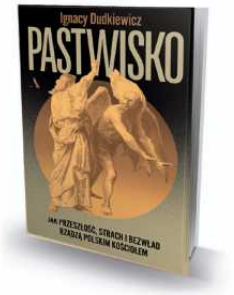
– Mnie biskupi nie są do niczego potrzebni – jedynie do pracy, zajmuję się nimi zawodowo jako dziennikarz i komentator. Jeden z moich duchownych rozmówców mówił o „zbędności biskupów”, którzy nie wykonują swojej podstawowej pracy, nie „dowożą” żadnej sprawy. Przykładając do tego ewangeliczne kryterium poznawania po owocach, widzimy, że biskupi nie powinni rządzić wspólnotą Kościoła. Tu się z wami całkowicie zgadzam. I coraz więcej osób tak uważa, klerykalne myślenie jest kwestionowane przez kolejnych i kolejnych wiernych. ●



FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

### Ignacy Dudkiewicz

• filozof, bioetyk, społecznik, publicysta. Redaktor naczelny „Magazynu Kontakt”, obserwator Kościoła i życia duchowego w Polsce i na świecie. Jego właśnie wydana książka **„Pastwisko. Jak przeszłość, strach i bezwład rządzą polskim Kościołem”** dostępna na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl.



FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

### Artur Nowak

• ur. w 1974 r., adwokat reprezentujący ofiary pedofilii w Kościele, pisarz, publicysta. Współautor – z Ireneuszem Ziemińskim – nowej książki **„Chrześcijaństwo. Amoralna religia”**, dostępnej w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.

## Żal mi was, zaangażowani katolicy

Wybory nowego przewodniczącego episkopatu przypomniały mi dowcip o papieżu Franciszku

#### Magdalena Czyż

P o polskich zakrystiach krąży dowcip o tym, jak papież Franciszek zwołał synod na temat celibatu księży. Niemieccy biskupi zaczęli natychmiast przekonywać, żeby koniecznie znieść, afrykańscy biskupi, aby koniecznie utrzymać. Polscy biskupi natomiast orzekli, aby... zostało tak, jak było.

Wybory nowego lidera Kościoła w naszym kraju przypomniały mi ten dowcip, bo wybrano takiego, o którym wiadomo niewiele (jest znany z tego, że jest nieznanym, jak powiedział Tomasz Terlikowski), ale wiadomo jedno: został wybrany po to, aby pilnował, żeby było, tak jak było.

Zbigniew Nosowski w niekryjącym dezaprobaty dla tego wyboru, gorzkim tekście na łamach „Więzi”, próbuje się pocieszać, pisząc: „Jedyna pociecha jest taka, że wybory w KEP mogły się skończyć jeszcze gorzej. Nie w tym jednak szukajmy nadziei. W ogóle nie szukajmy nadziei na przyszłość Kościoła w hierarchach. Skoro w swoich decyzjach zdecydowana większość z nich troszczy się bardziej o własny krótkofalowy interes niż o przyszłość wiary w Polsce, to niech się dalej obnoszą ze swoimi infułami, pastorałami i ekscelencjami. A my róbmy swoje!”.

Chodzą mi ciągle po głowie te słowa, gdy myślę o tym, co czują po wyborze abp. Tadeusza Wojdy na przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski, zaangażowani w życie Kościoła polscy katolicy. Mam na myśli tych, którzy jego dobro definiują poprzez dobro wiernych, a nie instytucji. I jest mi ich zwyczajnie żal. Zwłaszcza że słowa Nosowskiego na smutną nutę współgrają ze słowami Błażeja Kmiecika.

Były przewodniczącego Państwowej Komisji ds. Pedofilii, również na łamach „Więzi”, opisuje drogę przemiany swojego myślenia o Kościele i dochodzi do smutnej konstatacji: „Obawiam się, że na naszych oczach rodzi się pokolenie wypychanych z Kościoła. Myślę o swoich doświadczeniach z hierarchią, ale także o tych wszystkich – także świeckich – którzy chcą tchnąć normalność w, jak to mówią, relacje eklezjalne; którzy nie chcą już słuchać kurialnej paplaniny o grzechu i pokusach w kontekście przestępstw seksualnych, ale pragną uczciwego stosowania paragrafów także wobec nosicieli koloratek. Myślę też o tych, którzy przez lata byli, czasem uporczywie, pytani przed duchownych o jakość własnej wiary, a teraz chcieliby zadać pytanie zwrotne: co z twoją wiarą, bracie prałacie?!. Do wypychania dochodzi wtedy, gdy stawiamy granice nieprzystwoitości systemu klerykalnego; gdy głośno mówimy: stop i dość”.

Chyba większość demokratycznie nastawionych Polaków potrafi sobie wyobrazić co by czuli, gdyby 15 października po raz trzeci wygrało PiS. Brak nadziei, bezsilność i rozpacz, że kraj, z którego byli dumni, na ich oczach obróci się w pogardy godną ruinę. A nade wszystko poczucie, że nie ma już w ich kraju dla nich miejsca, że z własnego kraju są wypychani. Należę do tych, którzy jeszcze przed 15 października poważnie rozważali emigrację. Dlatego wiem, co mówię, gdy do takich osób jak Kmiecik czy Nosowski, mówię: współczuję. ●

**wyborcza** | magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

**REDAKCJA:**  
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa  
**Telefon:** 22 555 66 00;  
**E-mail:** redakcja@wyborcza.pl  
**Lista do redakcji:** lista@wyborcza.pl  
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.  
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl  
**REDAKTOR NACZELNY:**  
Adam Michnik;  
**PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL:** Roman Imielski;

**ZASTĘPCY:** Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieleński;  
**WOLNA SOBOTA:** Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski  
**GRAFICY:** Paweł Kapusta, Jacek Konarski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski  
**FOTODYDZIA:** Dominik Gajda  
**WYDAWCA:** Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;  
NIP: 526-030-56-44  
**Biuro reklam i ogłoszeń:**  
reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44

**DYREKTOR WYDAWNICZY:**  
Wojciech Bartkowiak  
**DRUK:** Agora SA  
  
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

## WYBIERZMY NASZĄ EUROPE



• Człowiek w masce z podobizną premiera podczas hinduistycznego święta Holi w Varanasi, 25 marca

Największa demokracja wybiera

## MOCARZ MODI

Zazwyczaj po dwóch kadencjach elektorat ma chęć wymienić użytą władzę na nową. Tymczasem premier Indii Narendra Modi po długich wiosennych wyborach **nie tylko będzie rządził dalej, ale cieszy się poparciem większym, niż jakikolwiek inny przywódca państwa demokratycznego.**

Robert Stefanicki

Według sondażu Morning Consult, Modi podoba się 77 proc. mieszkańców Indii, co czyni go ponad dwa razy popularniejszym od partii, której przewodzi. Czyli Hindusi kochają premiera bardziej niż jego politykę. Wydaje się, że Modi jest odpowiedzią na tęsknotę narodu za porywającym sercem i umysłem liderem, jakim ostatnio była Indira Gandhi. Mimo że przecież opozycję reprezentuje wnuk Indiry, Rahul, który jednak do polityki nie ma talentu.

73-letni Modi jest natomiast biegły w czytaniu nastrojów społecznych, ma dar do wyrażenia krótkich wypowiedzi, umiejętnie wbija szpile przeciwnikom. O swój wizerunek dba do tego stopnia, że złośliwi zrymują się na „kult jednostki”: jego uśmiechnięta twarz widnieje na billboardach zachwalających programy opieki społecznej i projekty infrastrukturalne,

a nawet na świadectwach szczęścia.

Sprzyja mu pochodzenie. Urodził się biedny i jest w dużej mierze samoukiem, co pozwala mu bez hipokryzji kreować się na swojego. Znów w kontraście do Rahula Gandhiego, który jest w połowie Włochem, a kształcił się w Anglii.

#### Modi śladem Xi

W wyborach, które zaczną się w połowie kwietnia, a skończą w czerwcu, koalicja pod wodzą Modiego, według ostatniego sondażu, ma szanse zdobyć cztery razy więcej mandatów, niż koalicja opozycyjna.

Hindusi głoszą na Modiego i jego Indyjską Partię Ludową (BJP) m.in. dlatego, że nie widzą dobrej alternatywy. Lecz rządzącemu od dekady Modiemu nie można odmówić dokonań.

Indie są najszybciej rozwijającą się dużą gospodarką świata; w ostatnich kwartałach wzrost PKB przekroczył 7 proc. Kraj ma obecnie znacznie lepszą infrastrukturę transportową, silniejsze banki i rynek finansowy, ogromne rezerwy walutowe, uproszczony i sprawniejszy system podatkowy, mniej korupcji. Przemysł partycypuje w globalnych łańcuchach dostaw, energetyka szybko zieleń, a gigantyczny sektor technologicz-

ny ma nadzieję zarobić fortunę na wdrażaniu sztucznej inteligencji.

Krytycy wskazują na kilka błędów BJP, które ich zdaniem niekorzystnie odbiły się na gospodarce: wymianę pieniędzy, rzekomo w celu zwalczania korupcji; nieudane reformy w sektorze rolnym; chronienie wielkich konglomeratów przemysłowych przed konkurencją krajową i zagraniczną. Ale bilans jest pozytywny, a perspektywy – świetlane.

Modi obiecał, że podczas jego trzeciej kadencji Indie staną się trzecią co do wielkości gospodarką świata (obecnie są piątą). To wykonalny, a nawet mało ambitny plan dla najludniejszego kraju świata. Jeśli jednak przyjąć dochód na głowę, Indie są na 138. miejscu, poniżej Konga, Sri Lanki czy Filipin.

Śmielsze założenia znalazły się w sztandarowej wizji o nazwie „Viksit Bharat”, czyli „Rozwinięte Indie”. W setną rocznicę niepodległości, czyli w roku 2047, kraj ma doszłusować do ligi krajów rozwiniętych.

Budzi to skojarzenie z nakreśloną w poprzedniej dekadzie wizją Xi Jinpinga, zgodnie z którą Chiny mają być krajem rozwiniętym do 2035 r., a „potężnym i bogatym” – do 2050. Obietnice tyle przyjemne, pobudzające dumę narodową, co puste, bo definicje ta-

kich przymiotników są elastyczne i władza zawsze może stwierdzić, że słowa dotrzymała.

Są pewne różnice między wizjami Modiego i Xi. W Chinach osią zmian jest partia, naród ma być posłusznym wykonawcą jej poleceń. „Viksit Bharat” kładzie nacisk na „wzmacnianie jednostek, społeczności i instytucji, aby mogły stać się samodzielnymi agentami zmian”.

Padają obietnice przezwyciężenia podziałów społecznych, rozbudowy infrastruktury, poprawy stanu edukacji i opieki zdrowotnej.

Indie mają umacniać się na pozycji czołowej potęgi światowej, a nawet wszechświatowej. Do 2035 r. chcą założyć stałą stację kosmiczną, pięć lat później wysłać człowieka na Księżyc.

#### Indiom sprzyja demografia

Podczas gdy Chiny się starzeją, prawie dwie trzecie Hindusów ma mniej niż 35 lat. Wzrostowi służy

**Do 2035 r. Indie chcą założyć stałą stację kosmiczną, a pięć lat później wysłać człowieka na Księżyc**

też geopolityczna strategia „wielostronności”, która pozwala Indiom jednocześnie wzmacniać więzi z Zachodem, utrzymać stabilne stosunki z Chinami i kupować taniej ropę z Rosji. To kontrast w stosunku do Chin, które w ramach rywalizacji z USA i ich sojusznikami borykają się z sankcjami gospodarczymi i technologicznymi. Indie, obok Meksyku i Wietnamu, prezentują się jako alternatywa inwestycyjna wobec Chin. Jednocześnie rząd Modiego, tak jak chiński, realizuje program „Make in India”, którego celem jest budowanie samowystarczalności poprzez promowanie krajowej produkcji i ograniczanie importu w strategicznych sektorach, takich jak elektronika, samochody i sprzęt medyczny.

Szkopuł w tym, że te sektory są przede wszystkim kapitałochłonne. Tworzą niewiele miejsc pracy, a jeśli już, to dla pracowników wysoko kwalifikowanych. Tymczasem w Indiach poziom wykształcenia jest zasadniczo niski. Skupienie się rządu na zaawansowanych technologicznie towarach i usługach doprowadziło do wzrostu bezrobocia wśród niewykształconych – inaczej niż w Chinach, gdzie o pracę zgodną z kwalifikacjami trudniej osobom po studiach.

#### Latryny zamiast tam

Ponieważ Indie są demokracją, rząd musi zadowolić również biedniejsze masy, a nie tylko klasę średnią i wyższą. Dlatego Modi stworzył programy opieki społecznej, np. gwarantowany dochód dla rodzin na obszarach wiejskich czy darmowe posiłki dla uczniów. Świadczenia socjalne wpływają na konta bankowe, co zmniejsza korupcję i wzmacnia kobiety, które nie muszą wciąż prosić o parę rupii swoich mężów.

O ile pierwszy rząd niepodległych Indii kierowany przez Jawaharlalę Nehru stawiał zapory wodne, nazywane „nowymi świątyniami”, o tyle sztandarowym programem Modiego jest budowa toalet. W ciągu pierwszej pięcioletki jego rządów postawiono 110 mln przydomowych latryn. Rząd zapewnił także milionom na wsi butle z gazem do gotowania, żeby porzucili piecyki, które często powodują pożary.

W zeszłym roku Indie przyjęły ustawę gwarantującą kobietom jedną trzecią miejsc w izbie niższej parlamentu i zgromadzeniach stanowych (począwszy od 2029 r.), którą usiłowano uchwalić od ponad ćwierćwiecza.

Te działania się oplacają – kobiety i biedacy coraz chętniej głoszą na BJP.

#### Szowinizm jako program

Jednak Modi nie jest jednoczytelem narodu. Od początku swojej kariery realizuje agendę szowinizmu wielkohinduskiego, której ostrze skierowane jest głównie przeciwko mniejszości muzułmańskiej (to 15-proc. populacji). Choć Indii nie da się oddzielić od islamu – pierwsi wyznawcy dotarli na subkontynent w VIII w., a w XVI w. założyli dynastię Wielkich Mogolów, władającą Indiami przez trzy stulecia – dla Modiego muzułmanie to potomkowie ko-

## WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

lonizatorów, najeźdźców. Są obcy nie mniej niż Brytyjczycy, którzy przejęli władzę po Mogolach.

W styczniu Modi przewodził ceremonii konsekracji nowej świątyni hinduskiej w Ajodhii, postawionej kosztem 220 mln dol. na miejscu XVI-wiecznego meczetu, który 32 lata wcześniej został zrównany z ziemią przez tłum fanatyków. Wandale twierdzili, że „korygują błąd historyczny”, gdyż meczet wzniesiono na ruinach świątyni, która rzekomo wyznaczała miejsce narodzin boga Ramy.

Otwarcie świątyni w Ajodhii było spełnieniem marzenia nacjonalistów hinduskich i symbolicznym początkiem kampanii wyborczej ich lidera, Modiego. Wcześniej rząd centralny odebrał autonomię Kaszmirowi, jednemu stanowi z większością muzułmańską. Kilka stanów rządzonych przez BJP uchwaliło przepisy zabraniające prozelityzmu, a stan Uttar Pradesh zakazał działania szkół muzułmańskich. Rząd wprowadził prawo umożliwiającej uzyskanie obywatelstwa indyjskiego uchodźcom z sąsiednich krajów muzułmańskich – o ile nie są muzułmanami.

W trzeciej kadencji deislamiizacja Indii będzie postępować. Działacze BJP agitują za zastąpieniem meczetów świątyniami w setkach innych miejsc. Modi chce zniesienia zapisów konstytucji dających muzułmanom odrębny kodeks rodzinny.

Drugim wrogiem nacjonalistów hinduskich są filary liberalnego porządku Indii: krytyczna prasa, organizacje pozarządowe i think-tanki, ostatnie niepokorne sądy. Zaprzysiężeni z władzą oligarchowie wykupują niezależne media, na niepokorne redakcje i organizacje nasyła się kontrole podatkowe, reporterzy są więzieni pod zarzutem terroryzmu, atmosfera strachu sprzyja autocenzurze.

Parlament indyjski przypomina Wiejską za rządów PiS – brak prawdziwej debaty, ekspresowo przepychane ustawy, stronnicy marszałkowie kneblujący opozycję. Służba cywilna i sądy zostały obsadzone lojalistami BJP. Modi przestał organizować konferencje prasowe z dziennikarzami zadającymi nieuzgodnione pytania. Politycy, przeciwko którym Centralne Biuro Śledcze wszczęło dochodzenia, są prawie wyłącznie z opozycji. Sam Rahul Gandhi został skazany na dwa lata za „zniesławienie nazwiska Modich”.

Pytanie, do jakiego stopnia agendę religijną i tłumienie krytyki można pogodzić z szybkim rozwojem gospodarczym. Przykład kilku autorytarnych państw Azji wskazuje, że to możliwe. Walec BJP w parlamencie i niezachwiana popularność premiera umożliwiły przeforsowanie trudnych reform, np. wprowadzenie podatku VAT w 2017 r.

Jeśli jednak Indie pod rządami Modiego dalej będą się staczały w stronę autorytaryzmu, instytucje państwowe ulegną osłabieniu, a sądy nie będą niezależne, może się to odbić na inwestycjach i globalnej pozycji Indii, które są wprawdzie „największą demokracją świata”, ale tylko ilościowo, nie jakościowo. ●

### Premier Ukrainy:

# Nie prosimy o wojsko, tylko o wyciągnięcie wniosków z agresji Rosji

– Rosja wykorzystuje cyberataki i specjalne operacje psychologiczne i dezinformacyjne, tworząc różne napięcia w UE. Nie ma ostrej debaty politycznej w UE, której sprytnym podsycaniem nie byłoby zainteresowane rosyjskie służby – przekonuje w Brukseli premier Denys Szmyhal.

Maria R. Sahuquillo

## EL PAÍS

**Raporty wywiadowcze ostrzegają, że Rosja przygotowuje nową ofensywę – a także donoszą o sygnałach świadczących, że Kreml zwiększa gotowość do ataku na państwa NATO. W UE wzmacnia się poczucie niepokoju. Co zmieniło się w ostatnich miesiącach, że znaleźliśmy się w takim punkcie?**

– Mentalność wielu europejskich polityków zmieniła się radykalnie. Słowa prezydenta Macrona to jedynie retoryczna realizacja nowego podejścia: jasnego i bezpośredniego mówienia o bezpieczeństwie Europy i zdolności obronnych UE.

W rzeczywistości Ukraina jest tylko etapem procesu, który Rosja rozpoczęła już w 2008 r.: wojny hybrydowej przeciwko krajom europejskim, w której będzie posuwać się stale naprzód. Ukraina jest pierwszym krajem, w którym ta wojna hybrydowa przeszła w radykalny wymiar militarny.

Dla Europy to jest naprawdę ostatni dzwonek, aby zdać sobie sprawę, że Rosja jest obecnie okrutnym, barbarzyńskim, agresywnym i terrorystycznym krajem, który nie zatrzyma się na Ukrainie – konfrontacja z Europą jest częścią jej strategii. Im szybciej wszyscy to zrozumieją, im szybciej weźmiemy odpowiedzialność z tego konsekwencje, tym szybciej będziemy przygotowani do realnej ochrony Europejczyków.

**Wojna trwa już ponad dwa lata, dlaczego ten alarm jest podnoszony akurat dopiero teraz?**

– To opóźnienie w dostawach pomocy z USA zadziało jak katalizator dla przywódców europejskich, którzy zdali sobie sprawę, że weszliśmy w okres, w którym Europa powinna inaczej myśleć o wojnie obronnej Ukrainy – mianowicie, że jest to zarazem wojna w obronie Zachodu. To prawdziwy punkt zwrotny, w którym stało się jasne, że musimy zwiększyć produkcję wojskową, ściśle współpracować i inwestować więcej w zaawansowane technologie.

**Według Macrona nie można już wykluczać wysłania żołnierzy na Ukrainę. Czy Kijów o to prosił?**

– Nigdy nie prosiliśmy o natowskich żołnierzy. Mamy własną, liczną i sprawną armię. Jesteśmy wdzięczni sojusznikom za szkole-

nie dziesiątek tysięcy naszych żołnierzy w Europie. Ale proponujemy teraz wysłanie instruktorów na terytorium Ukrainy, aby przyspieszyć proces szkoleń, bo to ułatwiłoby logistykę i komunikację. Jestem pewien, że Macron odnosi się w tej chwili do tego rodzaju współpracy. Dobrze rozumiemy, że żaden kraj europejski nie zgadza się na wysłanie swoich żołnierzy na pole bitwy, bo oznaczałoby to bezpośrednie zaangażowanie w wojnę, a w tej chwili jest to niemożliwe.

**Ukraina nadal bezskutecznie domaga się od Niemiec pocisków manewrujących Taurus.**

– Dlaczego nalegamy na przekazanie nam rakiet dalekiego i średniego zasięgu? Są one kluczowe, nie mniej niż dostawy artyleryjskie. Zapewniamy, że nie wykorzystamy tych pocisków do ataków na terytorium Rosji, tylko do niszczenia rosyjskiej logistyki na okupowanych terytoriach ukraińskich, do przecięcia linii kolejowych, zniszczenia mostów, słowem: uniemożliwienia Rosji dostarczania coraz większej ilości materiałów i żołnierzy na front.

Mamy nadzieję, że te decyzje zostaną podjęte w tym roku, ponieważ będzie on kluczowy. Jesteśmy jednak ostrożni w komunikacji o strategii, ponieważ wyciągnęliśmy wnioski z zeszłorocznej kontrofensywy. Było o niej głośno – i to zadziało przeciwko nam.

**Czy teraz, gdy zbliżają się wybory w USA, a pakiet z 60 mld dol. jest nadal zablokowany w Kongresie, obawia się pan permanentnej utraty wsparcia Waszyngtonu?**

– Mamy dwupartyjne poparcie w Kongresie, dobrze rozumiemy, że nie chodzi tam wcale o Ukrainę, ale o wewnętrzne rozgrywki polityczne związane z kampanią wyborczą. Jesteśmy cierpliwi. Mamy liczne kanały ścisłej komunikacji i współpracy z senatorami i kongresmenami z obu partii, którzy zgodnie przekazali nam ostrożny optymizm, że decyzja o pakiecie zostanie podjęta w kwietniu i że Ukraina będzie miała to wsparcie.

Liczymy głównie na pomoc wojskową w wysokości 50 mld dol. i wsparcie finansowe w wysokości 7,5 mld w tym roku. To mniej, niż spodziewaliśmy się parę miesięcy temu, ale to wystarczająco – dla Ukrainy i dla Międzynarodowego Funduszu Walutowego, który może otwierać wtedy linie kredytowe dla nas.

**A jeśli ewentualny powrót Trumpa przyniesie definitywne odcięcie wsparcia?**

– Nie sądzę, aby USA przestały wspierać nas finansowo i militarnie, ponieważ oznaczałoby to, że abdykują z odgrywania swojej globalnej roli mocarstwa.

Jest wiele głosów o zmęczeniu, o tym, że europejcy obywa-

tele są wyczerpani tą wojną. Ale my, na Ukrainie, nie jesteśmy wyczerpani. Będziemy nadal walczyć o nasze życie, domy i rodziny oraz o wyzwolenie naszej ziemi. W całym tym szumie wokół negocjacji jest kilka czynników: rosyjska propaganda, działalność ich „agentów wpływu”. Ponadto skądinąd słuszne pragnienie wielu ludzi i wielu polityków, aby zatrzymać tę wojnę.

Ukraina jest najbardziej zainteresowana zatrzymaniem tej wojny, w której każdego dnia giną jej żołnierze, dzieci, kobiety. Ale mamy kiepskie doświadczenia z sytuacji, w których Rosja wzywa do rozejmu. Tak było już w 2014 r. w Donbasie: proszą o zawieszenie broni, a następnie wykorzystują dobrą wolę naszych sojuszników, manipulują nimi, okłamują, a celem jest wywieranie na nas presji, abyśmy negocjowali. Każde tzw. zawieszenie broni zostałoby wykorzystane przez Rosję tylko po to, by wzmocnić armię i wrócić do agresji. Nie rozpoczęliśmy tej wojny – i nie możemy ją zatrzymać. To decyzja tylko jednej osoby: Putina. To na niego należy wywierać presję.

*Ukraina jest tylko etapem procesu, który Rosja rozpoczęła już w 2008 r.: wojny hybrydowej przeciwko krajom europejskim*

**Zapytam wprost: czy któryś z sojuszników sugerował już wam podjęcie negocjacji?**

– Nie ma bezpośrednich prób o negocjacje z Rosjanami. Ukraina przyjęła specjalnego przedstawiciela Chin, który przedstawił nam swoją wizję i rosyjską propozycję negocjacyjną. Ale oni po prostu położyli to na stole i wrócili do siebie.

Forsujemy formułę prezydenta Zelenskiego i organizujemy forum pokojowe w Szwajcarii, w którym weźmie udział około setki krajów i w efekcie zostanie stworzona globalna koalicja, aby przekonać Kreml, że zaprzestanie wojny i opuszczenie naszego suwerennego terytorium to jedyne opcja.

Zgadza się, że wojna musi zakończyć się przy udziale dyplomatów, przy stole negocjacyjnym, z gwarancjami międzynarodowymi zapisanymi w dokumentach. Zakończenie jej militarnie jest niemożliwe, po prostu dlatego, że Rosja jest krajem nuklearnym. I także z tego powodu Ukraina powinna być członkiem UE i NATO. To jest nasza strategia, nasza egzystencjalna wizja i będziemy podążać tą drogą.

**Przewodnicząca Komisji Europejskiej ostrzegła, że wybory do**

**europarlamentu mogą opóźnić negocjacje w sprawie członkostwa Ukrainy w UE.**

– Im szybciej zaczniemy, tym szybciej spełnimy kryteria. Zakończyliśmy samoocenę, wdaliśmy zalecenia i jesteśmy gotowi do rozpoczęcia negocjacji. Spodziewamy się, że decyzja zostanie podjęta jeszcze w pierwszej połowie tego roku. I jesteśmy gotowi odrobić naszą pracę domową, nie zajmie nam to więcej, niż dwa lata. Po tym czasie – chociaż istnieje wiele wyzwań, także politycznych i traktatowych – członkostwo Ukrainy będzie już decyzją właśnie wyłącznie polityczną.

**Przyszłe członkostwo Ukrainy już spowodowało pewne tarcia. Widzieliśmy to na przykładzie protestów rolników w Polsce. Czy te demonstracje podważają jedność UE w sprawie Ukrainy?**

– Widzimy, jak Rosja manipuluje sieciami społecznościowymi, zyskując bezpośredni wpływ i na Polskę, i na całą Unię, i dążąc usilnie do podważenia jedności Zachodu. Rozumiemy też naturę tych protestów w Polsce, które odbywają się z tych samych powodów, które występują w całej Europie.

Ale Rosja wykorzystuje te protesty do zwiększenia presji politycznej na polski rząd, Ukrainę i instytucje europejskie. Powinniśmy być uważni, ale przejrzystości i otwarcia, jeśli chodzi o nasze statystyki gospodarcze i obopólne korzyści z bliskiej współpracy handlowej i przemysłowej.

Jest to jeden z powodów, dla których w negocjacjach o akcesji do UE uzgodniliśmy, że rozdziały dotyczące rolnictwa powinny zostać otwarte w pierwszej kolejności. Dla nas priorytetem jest pokazanie naszym kluczowym sąsiadom, jak Polska, że rozumiemy oddziaływanie Ukrainy na unijny sektor rolny – i osiągnięcie rozwiązań, które nie będą miały nań szkodliwego wpływu.

Powinniśmy być świadomi, że my wszyscy w Europie jesteśmy pod wpływem rosyjskiej hybrydowej agresji. Rosja wykorzystuje cyberataki i używa operacji psychologicznych i dezinformacyjnych, tworząc różne napięcia. Przykładem takich ataków hybrydowych był kryzys migracyjny na granicy z Litwą, Łotwą i Polską. ●  
tłum. Łukasz Grzymisiński



Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPE finansowany jest ze środków UE wspierających instytucje społeczeństwa obywatelskiego w działaniach na rzecz edukacji oraz promocji uczestnictwa w wyborach do Parlamentu Europejskiego 2024. Teksty przedstawiają poglądy ich autorów. PE nie odpowiada za ich treść.

Z **PETEREM GODFREYEM-SMITHEM**,  
SŁYNNYM BADACZEM OŚMIORNIC,  
ROZMAWIA **KASPER KALINOWSKI**

**KASPER KALINOWSKI:** Wielu ekspertów nie uznaje terminu „umysł”. Twierdzą, że jest tym samym, co mózg. Co by im pan odpowiedział?

**PETER GODFREY-SMITH:** Czy starają się również unikać terminów „doświadczenie” oraz „doświadczenie oparte na aktywności mózgu”? Oczywiście, nasze doświadczenie wynika z aktywności mózgu. Jednak to aktywność mózgu z punktu widzenia osoby, która ten mózg posiada. Jest również prawdą, że różne aspekty umysłu to wyłącznie aktywność mózgu, ale doświadczana od wewnątrz.

Nie oznacza to, że jakiś element jest dawany do pracy mózgu lub że istnieje coś innego niż mózg – ale jednak to znacząca różnica, ta między mózgiem obserwowanym z zewnątrz, a mózgiem i tym, jak to jest być organizmem, który ten mózg posiada. Czyli umysłem.

**Zanim pojawił się mózg, a potem umysł, który ten mózg mógł analizować, było po prostu życie. Które powstało w wodzie. Dlatego jako filozof spędzasz tyle czasu, nurkując?**

– Moja praca wynika ze szczęśliwego zbiegu okoliczności. Nurkowałem trochę, kiedy byłem młodszy, a zanim zacząłem pisać „Inne umysły. Ośmiornice i prapoczątki świadomości”, przebywałem dłużej w Australii. Dostałem małe mieszkanie tuż nad oceanem, więc zacząłem spędzać więcej czasu w wodzie, i wkrótce natrafiłem na ośmiornice i gigantyczne mątwy. Wtedy po raz pierwszy dostrzegłem intelektualne i filozoficzne znaczenie tych zwierząt.

**Jakie są najcenniejsze lekcje z tysięcy godzin, jakie spędziłeś pod wodą?**

– Z pewnością zacząłem myśleć o świecie ożywionym jako o czymś zupełnie innym niż nasze wąskie doświadczenie. Czymś obejmującym znacznie więcej rodzajów doświadczeń, umysłów oraz sposobów odczuwania doświadczenia i umysłu w ciele, które w niektórych przypadkach w olbrzymim stopniu różni się od naszego. Życie znacznie różniące się od ludzkiego wydaje mi się już typową cechą świata.

Jeśli analizujemy życie umysłowe zwierząt tylko w kontekście znanych nam gatunków, jak kręgowce na lądzie, psy, koty czy naczelnie, otrzymujemy bardzo ograniczony obraz miejsca, jakie umysł zajmuje w świecie. Nurkowanie poszerzyło i zwiększyło moje zrozumienie obecności umysłu w żywym świecie.

**Przywołuje pan przykład niewidomego biologa Geerata Vermeija, który uważa, że większość ewolucyjnych innowacji narodziła się na lądzie, nie w wodzie. Zgadza się pan z jego obserwacjami?**

– Vermeij jest niewidomy od trzeciego roku życia, więc cała uprawiana przez niego nauka i precyzja, z jaką eksploruje mięczaki, odbywa się bez udziału wzroku. Twierdzi, że ląd jest miejscem bardziej twórczej ewolucji niż ocean. Moim zdaniem jednak odkłada na bok pewne innowacje, od których wszystko się zaczęło, a potem skupia się na zestawie innowacji behawioralnych w życiu zwierząt, które były o wiele późniejsze. Ja twierdzę, że nie powinniśmy odkładać na bok tych fundamentalnych kwestii, które pojawiły się w oceanie. Niemożliwe, aby wczesne etapy ewolucji zwierząt miały miejsce na lądzie.

Vermeij ma rację, że ewolucja na lądzie działa inaczej. Jednak na swojej liście nie uwzględnia ewolucji ruchu, percepcji czy uczenia się jako kluczowych innowacji. Są one zbyt podstawowe i zbyt odległe w czasie. Prawdopodobnie ewolucja ruchu nie byłaby możliwa, gdyby wszystko odbyło się na lądzie. To zbyt trudne zadanie. W skrócie – trudno poruszać się na lądzie. Trzeba być już dość sprawnym. Dlatego

to stawonogi były pierwszymi zwierzętami lądowymi. Myślę, że wszystkie podstawowe umiejętności pojawiły się w oceanie, a następnie były rozwijane.

Różnice są zasadnicze. Jak choćby mówić o technologii w przypadku środowiska wodnego, ponieważ trudno tam kontrolować obiekty i je kształtować? Najlepszym przykładem są ośmiornice, które mają coś w rodzaju przebłysków technologii. Jest ona jednak dość prymitywna w porównaniu z ptakami i ich skomplikowanym sposobem budowy gniazd. Wszystkie technologicznie uzdolnione zwierzęta to gatunki lądowe.

**Gąbki to zwierzęta, ale trudno zgodzić się, że posiadają umysł. Przypominają bardziej rośliny?**

– Cóż, w pewien sposób zbliżyły się do roślinnego stylu życia. Jednak nie są w stanie przeprowadzać fotosyntezy ani żyć bez konsumowania innego życia. Przypominają więc grzyby. Nie pomyślałem o tym wcześniej. Grzyby są przecież pod pewnymi względami podobne do roślin, ale muszą konsumować inne żywe istoty. Nie mogą tworzyć żywej materii ze światła słonecznego i materiałów organicznych.

**Możemy wskazać pierwsze zwierzę? Czym różniło się od współczesnych?**

– Od czasu, gdy napisałem „Metazoę. Od szklanych gąbek i morskich smoków do ukrytej krainy umysłu”, nie zaszły żadne znaczące zmiany w postrzeganiu pojawienia pierwszych zwierząt. Prawdopodobnie pierwsze zwierzę pojawiło się jakieś 550 do 600 milionów lat temu i był to organizm, który nie mógł się aktywnie poruszać. Obecnie trwają spory, czy niektóre bardzo wczesne zwierzęta mogły wyglądać przypominając meduzy, ale po prostu nie zostały odkryte w zapisie kopalnym. Na ogół więc pierwszeństwo przyznajemy gąbkom.

Pierwsze zwierzęta prawdopodobnie były przymocowane do dna morskiego. Odżywiały się materiałem organicznym, jednokomórkowymi szczątkami życia i być może wyglądały trochę jak rośliny, ale nie były już roślinami.

**Koralowce potrafią już sięgać i chwycić. Posiadają umysł?**

– Eksperci mają wiele wątpliwości. Koralowce mają układ nerwowy i wykonują proste działania. Jednak zapytany o zwierzę z najmnijszym układem nerwowym, co do którego dysponujemy pewnością, że cechuje je doświadczenie, wskazałbym zwyczajne muchy. Pszczoły miodne mają około miliona neuronów, a muchy mają ich kilkaset tysięcy.

**Tylko jak uniknąć arbitralności? Dwie osoby obserwując rybę i pantofelka, wskażą, że oba mają umysł – lub żadne z nich.**

– Nie sądzę, byśmy mogli dokonać tego na obecnym etapie wiedzy. Przykład życia jest interesujący. Nie sądzę, by istnia-

# CO ŚNISZ OŚMIORNICY

**Koralowce potrafią sięgać i chwycić, ryby zdają test Iustera. Czy mają umysł?**

ły jakiegokolwiek wątpliwości, kto żyje a kto nie, pomijam wirusy, które są częściowo żywe, są więc półżywe – ale jego początki są nadal niejasne. Nie wiemy, gdzie się zaczęło.

Oczywiście nie powinniśmy być pesymistami. Kiedyś się tego dowiemy, i podobnie dowiemy się, czy ryba i pantofelek mają umysł. To będzie stopniowy proces układania skomplikowanej układanki, aż ci dwaj naukowcy będą w stanie się zgodzić.

**A co z układem nerwowym? Ponoć to najważniejsza innowacja w historii ewolucji.**

– Nie wiemy tego. Toczą się interesujące debaty, czy wyewoluował raz, czy dwukrotnie. Wszyscy myśleli, że ma jedno pochodzenie. Jednak żebroplawy, które wyglądają jak zwyczajne meduzy, ale są zupełnie inne, mogły rozwinąć układ nerwowy oddzielnie od pozostałych form życia. Kilka organizmów, w tym gąbki, w ogóle nie ma układu nerwowego.

**Jeśli chodzi o umysł, zwierzęta tworzą hierarchię od wyższych do niższych?**

– To nie hierarchia. Najprawdopodobniej istnieją różne wymiary. Można być bardzo skomplikowanym lub za-

awansowanym w wielu różnych wymiarach. Wiemy, że mamy niezwykle rozwinięte zmysły, potrafimy się dobrze komunikować i uczyć. Jednak wszystko to są odrębne umiejętności. Może istnieć zwierzę o doskonałych zmysłach, które nie potrafi się dobrze komunikować. Ośmiornica jest dobrym przykładem. Myślę, że to wystarczy, by stwierdzić brak hierarchii. To bardziej przestrzeń możliwości niż drabina.

**Ośmiornice ewoluowały w zupełnie innych warunkach, ale gdy podać im ecstazy, zachowują się jak ludzie. O czym to świadczy?**

– To bardzo zaskakujące. Nie mam odpowiedzi, tyl-

ko obserwację, że ośmiornice doszły do tego odmienną drogę ewolucyjną, a jednak działanie narkotyku jest u nich podobne, pomimo całego czasu, które spędziły w całkowicie odmiennym środowisku.

**Łączy nas również sen. Ośmiornice śnią?**

– Sen u wielu zwierząt, nawet ośmiornic, ma dwie fazy: sen NREM i faza REM. Istnieją pewne hipotezy, dlaczego sen NREM wydaje się rodzajem regeneracji narządów, a faza REM wydaje się mieć bardziej poznawczy charakter. Ma to wiele wspólnego z konsolidacją wspomnień. Kiedyś zrozumiemy, dlaczego faza REM w sposób naturalny powoduje śnienie.

**Potrąfimy wyobrazić sobie, jak to jest być ośmiornicą? Dużo mówi przywołwana przez pana historia Iana Watermana.**

– Ian Waterman, zwany też „Wodnym Pacjentem” lub „Wodnikiem”, utracił wszelką propriocepcję – czyli wszelkie wewnętrzne poczucie ułożenia własnego ciała, takie jak położenie rąk i nóg – z powodu infekcji, którą przebył w wieku dziewiętnastu lat. Musiał nauczyć się używać wzroku do śledzenia własnego ciała. Niektórzy badacze porównywali jego stan do funkcjonowania ośmiornic – Fred Keijzer twierdził, że być może ośmiornica jest takim „naturalnym Watermanem”.

Jednak ośmiornice, jeśli są „Wodnikami”, nie mają żadnych trudności ze śledzeniem własnego ciała. To kwestia budowy układu nerwowego. U zwierząt takich,

jak my, on jest po prostu zupełnie inaczej zaprojektowany. Większość neuronów jest skoncentrowana w czaszce. Mamy więc kontroler i kontrolowane przez niego ciało. Na podstawie naszej budowy oczekujemy tego od pozostałych zwierząt. Jednak jak pokazuje ośmiornica, możliwy jest całkiem inny układ, w którym kontroler jest rozproszony. A w głowie meduzy znajduje się mniej niż połowa neuronów. Pozostałe są rozproszone po całym ciele.

Ośmiornice mają osiem widocznych ramion, a większość komórek nerwowych znajduje się w ich górnej części. To można sobie wyobrazić. W takim przypadku istnieje pierwotna lub najbardziej złożona jaźń – mózg centralny – ale także osiem pomniejszych, zlokalizowanych w ramionach. Te mniejsze mogą nie być świadome, ale ogólnie rzecz biorąc, moglibyśmy taką konfigurację określić jako „1+8”. Istnieje również możliwość: „1+1”, w której sieci komórek nerwowych w ramionach ośmiornicy są nie tylko połączone z centralnym mózgiem, ale są też połączone ze sobą nawzajem, w górnej części ciała, gdzie spotykają się ramiona.

To naprawdę bardzo ważne pytania, ponieważ nieuchronnie próbujemy wyobrazić sobie zwierzęta. Próbuje je zrozumieć, biorąc pod uwagę rodzaj jaźni, jaki mamy ze względu na nasz układ nerwowy.

**Ludzie po zabiegu chirurgicznym – przecięciu ciała modelowatego, które łączy półkule – również posiadają dwa umysły?**

– Są dobrym przykładem. Możemy mieć do czynienia z pewną dwoistością, sytuacją dwóch umysłów w jednym ciele. W przypadku przecięcia ciała modelowatego nie przypomina to jednak prostego przejścia z jednego umysłu do dwóch, ponieważ między dwoma umysłami istnieje pewien wspólny obszar. To część emocjonalna, która wydaje się w większym stopniu wspólna niż percepcja. Pacjenci po takim zabiegu są bardziej oddzieleni od percepcyjnej strony umysłu niż od emocjonalnej.

**Wiele zwierząt jak jaszczurki czy ryby nie ma komunikacji między półkulami. Mają dwa umysły?**

– Badacze jaszczurek i ryb wręcz porównują te zwierzęta do przypadków „rozszczepionego mózgu” u ludzi. Chociaż lewe i prawe półkule mózgu są u nich do pewnego stopnia skomunikowane, połączenia są raczej wątle. Układ, w którym dwie połowy są zarówno wyspecjalizowane, jak i oderwane od siebie, wydaje się nieść bardzo wyraź-

ne koszty – pożywienie po lewej stronie ciała będzie zaniedbywane, a groźby z prawej strony ignorowane. Jednak te koszty są najwyraźniej warte poniesienia. Chodzi o korzyści w wydajności przetwarzania informacji: na przykład polepsza zdolność identyfikowania pożywienia, o ile jest widoczne po prawej stronie.

**Jeszcze ciekawiej jest w przypadku ryb. Można powiedzieć, że ich dotyk pełni rolę słuchu?**

– Linia naboczna ryb stanowi rodzaj mieszanek dotyku i słuchu. Składa się z małych zbiorowisk komórek z wystającymi włoskami, każde umieszczone w miękkim zagłębieniu. Te jednostki, rozmieszczone w wielu miejscach na ciele, nazywamy neuromastami. Są wrażliwe na ruch wody i komunikują się z nerwami pod skórą. Nawet dotyk i słuch są więc ze sobą ściśle powiązane, ponieważ słuch jest oddziaływaniem mechanicznym.

**Ryba to jedyne zwierzę, które nie jest ssakiem czy ptakiem, a zdaje test lustra. Ma świadomość?**

– Nie sądzę, by ten test były aż tak ważny. Aby go zdać, musisz polegać na wzroku. To rodzaj odczuwania, pokazuje coś o poczuciu własnego „ja”. Jego zaliczenie jest czymś ważnym, ale oblanie niekoniecznie.

**To jak zdefiniować świadomość?**

– To słowo jest obecnie używane w bardzo szeroki sposób. Wiele osób sięga po nie w odniesieniu do wszelkiego rodzaju uczuć. Prawdopodobnie nie możemy mieć świadomości bez układu nerwowego. Ale jeśli zapytamy, jak złożony musi być układ nerwowy, to obecnie udzielanie jednoznacznej odpowiedzi byłoby przedwczesne. To gradualistyczny obraz. Znow – pole możliwości, nie hierarchia.

**Od wieków filozofowie głowią się nad problemem qualiów. Może pojęcie jest zbędne?**

– Może wyjaśnimy pana czytelnikom, o czym mowa. Patrzenie na zielen lasu wiąże się z konkretnym odczuciem – w pewien sposób bardzo „pierwotnym” – i wrażenie to jest tak wyjątkowe, jak trudne do wyjaśnienia z biologicznego punktu widzenia. Terminem, który stał się standardowy w opisywaniu takich właściwości doświadczeń zmysłowych, są qualia. Opis naukowy nie jest w stanie zawrzeć w sobie doświadczenia, które próbuje opisać.

Qualia miały być tylko słowem, do którego można się odnieść. Jednak jest coś w tym określeniu, co kieruje ludzi na złą

ścieżkę rozumowania. Dlatego staram się nie używać go. Myślę, że do mówienia o tym, jak coś odczuwa zwierzę, wystarczy prosty język. Nie potrzeba języka technicznego. W tym prostszym sposobie mówienia wszystko zostaje uchwycone

**To czym zastąpić qualie?**

– Po prostu „sposobem doświadczania”.

**Czy nasze umysły to „ogrody otoczone murem”? Nikt inny nie ma do nich dostępu?**

– Wielu filozofów uważa, że to ilustracja, jak nie należy myśleć o umyśle – jako o rodzaju prywatnego królestwa, do którego dostęp dla innych ludzi jest zamknięty. Całkowicie się z tym nie zgadzam. Myślę, że istnieje coś w rodzaju ogrodzonego ogrodu, prywatność naszego doświadczenia. Nie wiemy jednak, w jakim stopniu prywatne pozostanie ludzkie doświadczenie w przyszłości, w miarę rozwoju technologii. Uważam, że jeśli kiedyś będziemy mogli odczytywać myśli innych ludzi, będziemy tego żałować.

**A czy funkcje układu nerwowego mogłyby nam realizować inny system? Przeszczepienie świadomości to marzenie twórców AI.**

– To znacznie trudniejsze, niż przypuszcza większość, oraz jedno z większych nieporozumień w dziedzinie AI. Zbyt różnimy się od komputerów i wzorców aktywności, które mogą być między nimi przesyłane.

Nie twierdzę, że nigdy nie uda się tego dokonać. Po prostu nie przy użyciu współcześnie dostępnej technologii. Sposób, w jaki to osiągniemy, będzie polegać na budowaniu zupełnie innych sztucznych systemów niż te, na których bazują obecne komputery. Większość ludzi wyobraża sobie, że komputer, jakiego używamy, mógłby w jakiś sposób ucieleśnić tę samą aktywność, jaką zawiera mózg, gdyby tylko był dostatecznie duży, potężny i zaprogramowany go we właściwy sposób.

Ludzie wyobrażają sobie, że mózg jest tylko siecią węzłów, które wpływają na inne węzły – odpalane są kolejne neurony. Nie wierzę w to. W mózgach dzieje się coś więcej niż tylko sieciowe interakcje. To te dodatkowe rzeczy mogą być bardzo ważne dla doświadczenia. Jeśli to prawda, to aby zbudować sztuczny umysł, trzeba by zbudować zupełnie inny obiekt fizyczny, niż jakikolwiek komputer, który znamy obecnie. ●



FOT. DANIEL BOUD

**Peter Godfrey-Smith**

• profesor filozofii w Graduate Center na Uniwersytecie Miejskim w Nowym Jorku oraz historii i filozofii nauki na Uniwersytecie w Sydney. Jego podwodne nagrania ośmiornic pojawiły się w „National Geographic” i „New Scientist”. Autor książek „Inne umysły. Ośmiornice i prapoczątki świadomości” oraz „Metazoa. Od szklanych gąbek i morskich smoków do ukrytej krainy umysłu”. Oba tytuły dostępne w dobrych księgarniach, na stronie wydawnictwa Copernicus Center Press oraz w formie e-booków na Publio.pl.





30 marca 1976 roku. Ja byłem świeżo po trzeciej miesięcznicy moich urodzin, gdy tymczasem w Londynie, na słynnej Oxford Street, w 100 Club szykowało się coś dużego.

Oto na scenie, która wcześniej gościła m.in. Louisa Armstronga, Benny’ego Goodmana czy Raya Ellingtona mieli wystąpić muzycy, serwujący zgola inne dźwięki.

Glen Matlock, Steve Jones, Paul Cook oraz John Lydon, znany bardziej jako Johnny Rotten (czyli „zgnili”, bowiem muzyk nie za bardzo dbał o swoje uzębienie, które cokolwiek zzieleniało). Sex Pistols.

Grupa powstała na gruzach kapeli The Strand, którą cztery lata wcześniej założyli Jones, Cook oraz Wally Nightingale. Pomysł na sceniczny image wyszedł od Malcolma McLaren’a, człowieka wielu talentów, m.in. projektanta mody, muzycznego impresaria i muzyka. To on, wizytując Stany Zjednoczone, usłyszał New York Dolls, zachwycił się protopunkowym brzmieniem i postanowił przenieść te dźwięki na grunt brytyjski.

Kryteria naboru do zespołu – nie wszyscy bowiem pasowali McLarenowi, Nightingale wyleciał – nie były zbyt wymagające. W zasadzie wystarczyło wyglądać trochę inaczej niż reszta. A jako że, jak mówił Matlock, wszyscy nosili długie włosy, to pytali każdego, kto miał krótkie, czy nie chciałby pośpiewać w ich zespole (jak pisał John Robb w „Punk Rock: An Oral History”).

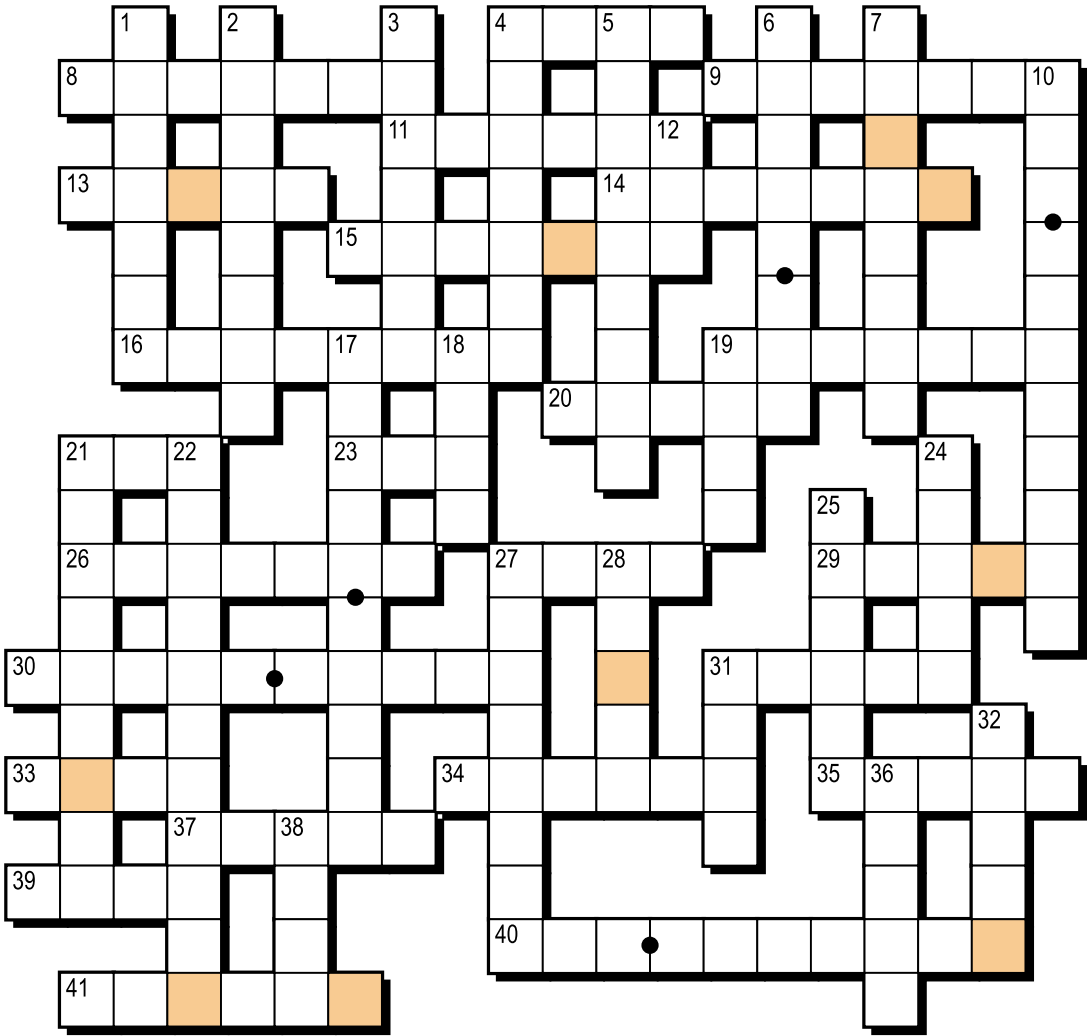
Lydon posiadał dodatkowy atut, bo włosy miał zielone, a poza tym na swojej koszulce zespołu Pink Floyd napisał własnoręcznie nad nazwą bandu „I hate” (nienawidzę) oraz porobił dziury w oczach członków zespołu. Takim zobaczył go swego czasu Bernard Rhodes, znajomy McLaren’a (późniejszy menedżer nie mniej sławnych The Clash) i od razu zaprosił do projektu Sex Pistols.

Nazwa ta wygrała „konkurs świadectw” z takimi pomysłami jak La Bomb, Teenage Novel, Crème de la Crème czy the Damned (później powstanie też taki zespół).

Przed koncertem w 100 Club Pistolsi mieli kilka występów, ale ten z 30 marca był wyjątkowy. Otworzył punk rockowi drzwi. Jeszcze w tym samym roku, we wrześniu w 100 Club odbył się dwudniowy 100 Club Punk Special, w którym oprócz Sex Pistols zagrali m.in. The Clash, the Damned, Siouxsie and The Banshees czy Buzzcocks. I zaczęło się na dobre.

Dlatego, z okazji rocznicy tamtego koncertu, dzisiaj „Weekendówkę” poświęcamy punkowi właśnie (hurra!). Z pewnością to jedna z moich ulubionych „Weekendówek”.

Andrzej Kulasek  
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 95 z 23.03:

Poziomo:

- 1) musicale, 7) smoking, 10) lata, 11) Kanada, 12) Grawitacja, 14) Rex, 15) Sinatra, 16) Fred, 17) Lean, 21) widownia, 23) Eliza, 24) Rhett, 25) Kingsley, 27) Zinnemann, 28) Bob, 29) Titanic, 31) Tom, 34) Marlon Brando, 35) Spielberg, 36) aktorstwo, 40) Ben Hur, 41) Jamal, 42) Tolkien

Pionowo:

- 1) DiCaprio, 2) My Fair Lady, 3) Schindler, 4) cesarz, 5) Ella, 6) Steven, 7) Sharif, 8) O’Hara, 9) Gigi, 13) Juliette, 14) rakiet, 18) Anglia, 19) Kazan, 20) seksbomba, 22) Bernstein, 25) Kabaret, 26) Guinness, 30) Costner, 32) Malden, 33) purpura, 37) Kwai, 38) Omar, 39) Wood

HASŁO: KLASYKA KINA

PUNKÓWKA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 4) „Ali ...”, w repertuarze 28 pionowo  
8) nazwisko założyciela zespołu z określenia 32 pionowo  
9) „Pretty Fly” grupy The Offspring lub „Should I Stay or Should I Go” The Clash  
11) w nazwie zespołu założonego przez Tomasza Lipińskiego  
13) Steve, gitarzysta Sex Pistols  
14) album Armii z 1991 r. (z „Opowieścią zimową” i „Trzema bajkami”)  
15) Malcolm, był menedżerem grupy Sex Pistols

- 16) kapela wykonująca kawałek „Ja stoje, ja tańczę, ja walczę”  
19) potocznie o 21 pionowo  
20) kurtki nabijane ćwiekami  
21) Iggy ..., jeden z pionierów punk rocka  
23) „Nocy ...”, album zespołu Rejestracja  
26) przydomek Kevina Wassermana, członka grupy The Offspring  
27) postpunkowa kapela Staszewskiego i Wieteski  
29) „... jak stygmaty”, album Pidżamy Porno  
30) Die ..., gwiazdy punkrocka z Niemiec  
31) The ... (wydali m.in. „London Calling”, „Combat Rock”)  
33) ... Hagen, nazywana matką chrzestną punk rocka

- 34) ... Muzgó  
35) uwielbiani przez fanów  
37) Piękny ..., gitarzysta grupy Big Cyc  
39) „Moje ...”, w repertuarze KSU  
40) basista Sex Pistols, zmarł z przedawkowania narkotyków  
41) kapela Kodyma

Pionowo:

- 1) uważani za pierwszą grupę grającą punkrocka („Sheena Is a Punk Rocker”)  
2) ikona polskiej sceny punkowej (Robal na wokalu)  
3) „... w słońcu”, polskie tłumaczenie piosenki Sex Pistols  
4) w nazwie zespołu założonego przez Tomasza Lipińskiego

- 5) Robert (zm. 2018), współzałożyciel grupy Armia  
6) amerykańska formacja znana z hitu „Basket Case”  
7) jeden z pierwszych polskich zespołów punkowych (Gdańsk, 1979 r.)  
10) założyciel grupy 31 poziomo  
12) „... alkoholika”, w repertuarze grupy Sedes  
17) utwór 16 poziomo zaczynający się słowami: „Gdy po schodach płynie sobie ciepła ludzka krew...”  
18) „White ...”, w repertuarze 31 poziomo  
19) „Pod ...”, kultowy album KSU  
21) z irokezem na głowie  
22) kapela z Pabianic („Pokój z kulą w głowie”, „Czarne szeregi”)

- 24) Patti, wokalistka i poetka kojarzona ze wczesnym punkrockiem (płyta „Horses”)  
25) amerykańska grupa grająca art punka (założyciel: Ian MacKaye)  
27) Dead ..., amerykański zespół grający hardcore punk  
28) Farben ..., płocka kapela  
31) „Clash ... Rockers”, w repertuarze 31 poziomo  
32) ... Mitffoch, muzyczny projekt 8 poziomo  
36) pseudonim Tomasza Adamskiego z zespołu 16 poziomo  
38) ... E. Smith (zm. 2018), był liderem postpunkowej grupy The Fall

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34295017

Byle do

weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.  
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI  
WYBORCZEJ

Pobierz z  
App Store

POBIERZ Z  
Google Play